

C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A

Wspomnienia z Rosji 1944-1946 Miedniki – Kaługa – Lasy podmoskiewskie

*Swoim wnukom i młodemu pokoleniu Polaków,
aby lepiej poznali przeszłość swych przodków*

Miedniki

Poniedziałek 17 lipca 1944 roku można uznać za punkt zwrotny w dziejach wileńskiej Armii Krajowej. Komendant Okręgu gen. „Wilk” (płk Aleksander Krzyżanowski) został zaproszony do dowódcy 3 Frontu Białoruskiego gen. Czerniachowskiego, do Wilna, ul. Kościuszki 16, w celu sfinalizowania polsko-sowieckiej umowy wojskowej. Dowódcy brygad mieli stawić się na odprawę z dowództwem sowieckim w Boguszach. Wieczorem do Komendy Okręgu dotarła wiadomość o rozbrojeniu i aresztowaniu oficerów polskich wezwanych na odprawę.

W Komendzie pozostało niewielu oficerów. Najstarszy stopniem i wiekiem ppłk Izidor Blumski, ps. „Strychański”, objął dowództwo. Z naszej radiostacji nadano depezę o nowo zaistniałej sytuacji. A jeszcze wczoraj, tj. 16 lipca, depeżowaliśmy: „Polskość miasta bije w oczy. Pełno naszych żołnierzy. Szpitale przepełnione, wszystkie w polskich rękach. W fabrykach i warsztatach tworzą się komitety i zarządy polskie. Władze administracyjne ujawnią się w najbliższym czasie.” O zmroku wyszedł do nas ppłk Blumski i ogłosił swoją decyzję: „Akcja «Burza» trwa. Będziemy przebijać się Puszczą Rudnicką do Warszawy. Do ostatecznego wyjaśnienia naszej sytuacji między aliantami nie należy wchodzić w działania bojowe z armią sowiecką. Ponieważ nasza sytuacja radykalnie się zmieniła, każdy żołnierz podejmuje samodzielną decyzję: czy pozostanie na rodzinnych terenach, wyczekując dalszego rozwoju wydarzeń, czy pośpieszy ku Warszawie.”

Oświadczenie to wywołało różne reakcje. Jedni, szczególnie miejscowi chłopcy, zdecydowali o pozostaniu, drudzy, bardziej zdeterminowani, postanowili przebijać się do Warszawy. Zdarzył się jednak i inny, odosobniony, przypadek: jeden z miejscowych podoficerów wyciągnął pistolet, rozpaczliwie wołając: „To zdrada! Nie możecie tu nas zostawić! Jesteśmy wojskiem, dowódcy odpowiadają za los swoich żołnierzy.” Z trudem udało się rozbroić desperata. Z bratem Jerzym (ps. „Mur”) bez wahania postanowiliśmy dołączyć do grupy zmierzającej do Warszawy. W późnych godzinach wieczornych nastąpiły pożegnania, wymienialiśmy się bronią. Mój brat dostał od kogoś, kto postanowił wracać do domu, sowiecką „dziesiątkę” (karabin samopowtarzalny, 10-strzałowy, Siemionowa-Tokariewa) oraz sporo granatów, zarówno „trzonkowych”, jak i „jajkowych”. Ja swego mauzera nie chciałem zamienić na inną broń. W nocy ruszyliśmy do Puszczy Rudnickiej. Nasza kolumna składała się z pieszych, konnych i wozów chłopskich, stanowiących tabory. Jeszcze nocą osiągnęliśmy skraj puszczy. W pewnym momencie poczuliśmy odrażającą, słodkawą woń rozkładającego się ciała. Nikt jednak nie próbował dociec, co to było.

W dzień tempo marszu spadło, gdyż musieliśmy być ostrożniejsi. Co chwila przelatywał niziutko „kukuruźnik” (samolot Po-2), z czerwonymi gwiazdami, gdzieś w dali słychać było pomruk czołgowych silników. Od paru dni jakieś oddziały sowieckie miały nas na oku. Z wyżywieniem było bardzo źle, pod wieczór dostaliśmy pierwszy posiłek – po menażce zupy z mięsa zabitej pociskiem krowy, bez ziemniaków, kaszy, soli i jakichkolwiek przypraw. Mimo głodu danie to spożywaliśmy niezbyt ochoczo, jedynie kawałki mięsa były jadalne, sama zupa, a właściwie ciecz – tłusta i bez smaku – była okropna. Każdy jednak zjadł swoją porcję. Nocą kluczyliśmy po leśnych wertepach. Byłem kompletnie wyczerpany, dokuczał głód, brak snu, owrzodzenia, a szczególnie duży czyrak na lewej nodze. Z zazdrością spoglądałem na nielicznych konnych i myślałem o swoich koniach z plutonu kawalerii ORKO.

Nad ranem, 19 lipca, rozdzielano resztki zapasów żywnościowych, chleb i słoninę, gdy nagle padło kilka strzałów i ujrzeliśmy otaczających już nas żołnierzy sowieckich. Części naszej grupy udało się wymknąć. Gdzieś na czele kolumny, dosłownie z rąk sowieckich, wymknął się na koniu inspektor mjr „Jarema” (Czesław Dębicki), ostatnio d-ca 3 Zgrupowania. Jego potężna postać tylko mignęła wśród drzew. Zostało nas zaledwie kilku. Trzymaliśmy się z bratem razem, nie odstępując od siebie na krok. Byliśmy zupełnie zdezorientowani. Nie mieliśmy żadnego planu działania i nie wiedzieliśmy, w jakim kierunku mamy podążać, brnęliśmy przez leśne chaszczki zupełnie na oślep. Około południa usłyszeliśmy krótkie serie „pepeszy” i gromkie okrzyki: „Zdawajcie się! Wy okrużenni!” (Poddawajcie się! Jesteście okrużeni!). Apatycznie wyszedłem na leśną drogę. Z dala zobaczyłem żołnierza – pogranicznika w ciemnozielonej czapce. Machinalnie wyciągnąłem z mauzera zamek i rzuciłem go w krzaki. Za mną mój brat szamotał się z magazynkiem swojej „dziesiątki”. Na polanie było już kilku obcych żołnierzy, którzy rozbrajali naszych chłopców. Jeden z nich, odbierając mi karabin, zapytał: „Czto, ty oficer?” Zdziwiło mnie to pytanie, gdyż byłem drobnym chłopakiem, bez nakrycia głowy, hełm porzuciłem wcześniej, wojskowa czapka została w motocyklu, a moje „szczenięce lata” nie pasowały do tej rangi. Odpowiedziałem, nieco wylękniony: „Nie”. On zaś, wskazując na porporczyki naszyte na moim płaszczu, kontynuował:

– „A eto czto ?”

– „13 pułk ułanów” – odpowiedziałem.

Wkrótce z małych grupek naszych chłopców, wyprowadzanych z lasu, zebrała się kilkudziesięciosobowa gromada. Pod konwojem przeprowadzono nas do wsi Rudniki. Poza wsią, opodal wiejskiego cmentarza, przy stawku i ciekawej dzwonnicy wystawionej ku pamięci polskich powstańców z 1863 r., założono nam prowizoryczny obóz. Patrząc nań, pomyślałem: czy my też podzielimy losy naszych pradziadów? Gdzie tym razem Moskwa nas wywiezie? Wieczorem dostaliśmy smaczną zupę z kuchni polowej, stojącej obok jednostki sowieckiej. Kucharz, mówiący po polsku, pocieszał nas: „Nie bójcie się, jeszcze zrobią z was porządne wojsko i będziecie razem z nami bić faszystów”. W podobny sposób uspokajał nas starszy stopniem oficer NKWD, którego przydzielono do pilnowania nas. Pilnowani byliśmy dobrze, spaliśmy na gołej ziemi, otoczeni strażą, z bronią gotową do strzału, z ustawionym odpowiednio ckm-em, ale traktowano nas dość dobrze.

20 lipca, o świcie, rozpoczęliśmy marsz do punktu zbornego w starym zamku królewskim w Miednikach. Dzień był upalny. Przechodziliśmy obok pól dojrzałego zboża. Rano nie dostaliśmy jedzenia, więc rwaliśmy kłosa, rozcieraliśmy je w dłoniach i jedliśmy ziarno. Na szosie dołączano do nas grupy rozbrojonych naszych chłopców, kolumna stale rosła. Co kilka kilometrów robiono odpoczynek, najczęściej nad rzeczką lub stawem, umożliwiając nam ugaszenie pragnienia i odświeżenie się. Po drodze spotykaliśmy miejscowych cywilów, eskortowanych przez uzbrojone patrole czerwonoarmiejców, z charakterystycznymi „sztykami” (bagnetami) na karabinach. W ten sposób odbywał się pobór rekrutów. Z bratem trzymaliśmy się ramię przy ramieniu. Rozważaliśmy nasze położenie i wtedy brat przekonał mnie o konieczności ucieczki. Przechodząc przez wieś Pawłowo, postanowiliśmy, że zrobimy to właśnie tutaj, bo brat znał tę okolicę. Przy pierwszej nadarzającej się okazji dał nura w boczną uliczkę, ja przez chwilę zawahałem się i wtedy... kolumna zatrzymała się. Konwojenci uformowali czworobok, mając baczenie na każdy niewłaściwy nasz ruch. Nieśmiała próba uskoczenia w bok wywołała natychmiastową reakcję konwojenta, warknął na mnie: „A ty kuda! Budu strelat!” (A ty gdzie! Będę strzelał!). Po chwili zacząłem szukać miejsca do ukrycia się w zaroślach nad stawem, ale na taki pomysł wpadli wcześniej już inni i odganiaли mnie stamtąd szeptem, by nie zwrócić uwagi strażników. Wkrótce jednak padła komenda: „W kołonnu stanawis!” (Stawać do kolumny!) i zrezygnowany wypełniłem rozkaz. Kiedy odchodziliśmy, konny konwojent, przejeżdżając obok stawu, oddał do zarośli kilka serii z automatu. Jak się okazało, ukrytym tam chłopcom nic się jednak nie stało.

Pod wieczór przekroczyliśmy bramę zamku w Miednikach, z którego pozostały tylko wysokie mury, bez budowli. Na środku placu postawiono baraki, gdzie mieściło się ambulatorium, szpitalik i dowództwo. Już przy bramie spotkałem wielu znajomych. Przydzielono mnie do 13 grupy, ale później przenieśli mnie do pierwszej, gdzie był Tosiek, Dan i inni koledzy. Kiedy po wielu latach, w 1980 r., odwiedzałem Miedniki z moim litewskim przyjacielem i podałem mu liczbę około 5-6 tysięcy tu internowanych, nie mógł uwierzyć, że można było tylu ludzi na tej przestrzeni pomieścić. Faktycznie, było bardzo ciasno. Spaliśmy obok siebie jak śledzie w beczce. Nie nadążano z kopaniem latryn. Zaraz po rozlokowaniu udałem się do ambulatorium. Rana na nodze wyglądała groźnie, nie chciała się goić, powstało tzw. „dzikie mięso”. Sanitariusz zapytał:

„Czy to postrzał?” Nie, to tylko wrzód. Otrzymałem pierwszy normalny opatrunek. Byliśmy okropnie zawszawieni. Próby odzawszawienia nas partiami, po 200-300 osób, w połowie „woszoprutce”, mało co dawały. Po powrocie do obozu każdy z nas mógł na zawołanie wyciągnąć ze swej odzieży małe żyjątko – wesz.

W niedzielę, 23 lipca, za zgodą sowieckiego komendanta obozu, przyniesiono z miejscowego drewnianego kościółka św. Kazimierza naczynia i szaty liturgiczne. Był piękny dzień. Błękit lipcowego nieba usłany białymi cumulusami, a w dole, otoczeni wiekowymi ruinami miednickiego zamku, klęczeli stłoczeni żołnierze. Odprawiała się ich ostatnia msza św. przed opuszczeniem ziemi rodzinnej. We mszy uczestniczyli wszyscy jak jeden mąż. Była to chwila podniosła i wzruszająca nawet dla ludzi o twardych sercach, którzy być może od dawna nie uczestniczyli w praktykach religijnych. W niejednym oku zabłysła łza. Po mszy kapelan udzielił powszechnego absolutorium „in articulo mortis” (wspowiedanie wielotysięcznej masy żołnierskiej było fizyczną niemożliwością). Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że następnej mszy św. w podobnym towarzystwie wysłucham dopiero 13 stycznia 1946 r. w Białej Podlasce, po powrocie z wygnania.

W następnym tygodniu, 25 lipca, do Miednik przyjechali wojskowym willysem: mjr Soroka, jakiś porucznik (niektórzy mówili, że mógł to być –Jerzy Putrament, inni zapewniali, że był to Anatol Mikułko – obaj znani z przekonań komunistycznych) i kapral – kierowca z armii gen. Berlinga. Wywołało to zrozumiałe poruszenie. Mjr Soroko ze sterty kamieni przy bramie wygłosił krótkie przemówienie, apelując o dobrowolne zaciągnięcie się do armii Berlinga, walczącej – jak mówił – u boku zwycięskiej Armii Czerwonej. Na pytania dotyczące spraw polskich, niestety, nie potrafił konkretnie odpowiedzieć. Wprawdzie mówił, że istnieje już rząd polski, ale poza nazwiskiem gen. Berlinga nikogo nie umiał wymienić.

W międzyczasie ustawiono kilka stolików, przy których młode dziewczęta, w mundurach najczęściej młodszych lejtenantów, rozpoczęły zapisywanie ochotników. Zgłosiło się około 300 chętnych, których następnie wyprowadzono poza mury naszego odosobnienia.

Nazajutrz mjr Soroka próbował jeszcze raz agitować i przekonywać, że nie ma dla nas innej rozsądnej drogi wyjścia. Jego niepoprawna polszczyzna, a raczej trochę polonizowana mowa rosyjska, nie budziła zaufania i wywoływała śmiech. Żądano powrotu naszego gen. Wilka. „Jesteśmy żołnierzami Armii Krajowej, mamy swoje dowództwo i Rząd Polski w Londynie. Chcemy walczyć z Niemcami tak, jak to robiliśmy dotychczas!”. Zdenerwowany agitator skwitował to lapidarnie: „Nie chatitie w armiu Bierlinga, to budietie kamieni woracziwat!” (Nie chcecie do armii Berlinga, to będziecie kamienie przewracać). I tak propagandowa akcja, mająca na celu „dobrowolne” przejście żołnierzy AK do armii gen. Berlinga, nie wypaliła. Nawet ochotnicy z poprzedniego dnia zostali przyprowadzeni z powrotem, tyle że było ich już mniej, bo część sama uciekła już wcześniej.

Któregoś dnia zawołali mnie koledzy, abym włączył się do grupy „beczkowozów”. Codziennie wóz z kilkoma beczkami, ciągniony przez 12-15 żołnierzy, kilka razy wyjeżdżał po wodę, czerpaną ze studni poza obozem.

Okazało się, że poza murami czekała na mnie moja Mama. Miała przygotowane dla mnie cywilne ubranie, samogon i pieniądze dla konwojentów. Dogadała się z konwojującymi żołnierzami, iż nie zauważą, że pozostaną poza obozem. Spotkanie było bardzo radosne. Mama namawiała mnie na powrót do domu. Nie posłuchałem, argumentując: „Nie może spotkać nas nic złego. Jest nas zbyt dużo, nasze władze nie pozwolą, aby stała się nam krzywda. Na pewno zostaniemy wcieleni do prawdziwego wojska polskiego”. Taka opinia panowała zresztą nie tylko wśród nas, bo zdarzało się, że młodzi Polacy, chcąc uniknąć poboru do sowieckiej armii, przychodzili dobrowolnie do naszego obozu. Biedna Mama, mimo łez i prośb, nie zdołała zmienić mego postanowienia, podobnie jak kiedyś nie powstrzymała mnie przed wyjściem do partyzantki. Ostatnie uściski, pocałunki, błogosławieństwa i wróciłem do obozu. Od Mamy wziąłem tylko swój dowód tożsamości, bo przewidywałem, że może mi się przydać, na przykład na wypadek ucieczki.

Upały, wszawica, brak podstawowych warunków sanitarnych – wszystko to spowodowało, że pojawiły się pierwsze przypadki tyfusu. Sytuacja wymagała jak najszybszego działania. Chorych izolowano i wywożono z obozu.

Moje pamiątki

Nowenna do Serca Jezusowego, wydana 6.02.1940 r. w Wilnie, z imprimatur biskupa Michalkiewicza, który bierzmował mnie w 1935 r. w kościele św. Michała w Wilnie. Służyła mi jako książeczka do nabożeństwa. Stale nosiłem ją przy sobie, razem z obrazkiem Matki Boskiej – stąd silne zużycie.

W piątek, 28 lipca, poddano nas bardzo ścisłej osobistej rewizji. Zabierano właściwie wszystko, nawet zegarki, a szczególnie wszelkie dokumenty, papiery. Poza metalową puszką od niemieckiej maski gazowej, która służyła mi za menażkę, nie miałem żadnego dobytku. Dowód tożsamości, który wziąłem od Mamy, ukryłem pod darnią. Podczas rewizji miałem przy sobie nowennę do Najświętszego Serca Jezusa i mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który otrzymałem od Ojca pocztą polową, jeszcze kiedy byłem w oddziale „Groma” (ORKO). Te jedyne „papiery”, jakie posiadałem, sam, bez oporu, złożyłem na stercie rekwirowanych rzeczy. I wtedy młody żołnierz, o skośnych oczach Azjaty, zapytał dyskretnie: „A eto k' moleniu?” (A to do modlitwy?). Potwierdziłem, a wtedy on rozejrzał się, czy nikt nie patrzy i wyszeptał: „Sprjaczi!” (schowaj). Skwapliwie schowałem te moje jedyne pamiątki z domu. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak ważną rolę odegra ten mały obrazek Matki Boskiej w najtrudniejszych chwilach mojego życia w Rosji.

W sobotę, 29 lipca, nastąpił wymarsz do stacji Kiena. Przemarsz odbywał się w zwartym szyku, pod silnym konwojem straży granicznej. Oficerów i podoficerów odseparowano od nas i odrębnym transportem odesłano – jak później dowiedzieliśmy się – do Riazania. Nasz przemarsz przez osiedla i wioski wywoływał wszędzie ogromne poruszenie. Nigdy nie zapomnę widoku bezradnych konwojentów, bezskutecznie spychających bagnetami w pochwach, nasadzonych na „dziesiątki”, tłum napierających kobiet, żegnających nas ze łzami. Być może były wśród nich matki, siostry naszych chłopców. Te biedne, zapłakane kobiety wynosiły z domów to, co miały: chleb, mleko, jabłka, ale co najważniejsze – swoje serca. Były to przejmujące sceny, świadczące w ciężkiej chwili historii o naszej jedności narodowej. Nawet wrogo do nas nastawieni konwojenci doznawali wstrząsu i okazywali się bezradni wobec takiej postawy bezbronno przeciw tłumowi. Na małej stacyjce Kiena załadowano nas do wagonów towarowych: po 90 osób do wagonów 4-osioowych, po 45 osób do 2-osioowych. Ciasnota była ogromna. Wagony, zadrutowane od zewnątrz i strzeżone przez uzbrojonych konwojentów sowieckiej straży granicznej, nie miały żadnego wyposażenia.

W nocy z 29 na 30 lipca transport ruszył poprzez Mołodeczno na wschód. Podobno były próby ucieczki, wtedy nikt z nas nie wiedział jednak, z jakim skutkiem. 31 lipca przekroczyliśmy w Olechnowiczach dawną granicę polsko-sowiecką, a 1 sierpnia przejechaliśmy Mińsk i Borysów. Zaczęła się prawdziwa gehenna. Upał był okropny. Dostawaliśmy tylko suchy prowiant – suchary, czasami chleb, rybę wędzoną i ani kropli wody lub innych płynów. Transport z trudem przeciskał się w głąb Rosji – „pod prąd” licznym eszelonom zmierzającym na zachód, na front. Pociągi te miały oczywiście pierwszeństwo, a więc ciągle wyczekiwaliśmy na wolny przejazd. W czasie postojów wołaliśmy o wodę, ale ludność, doświadczona strasznymi przejściami wojennymi, nie reagowała na nasze prośby. Brak współczucia wynikał i z tego, że mieliśmy strażników w zielonych czapkach pograniczników, zdradzających NKWD. Zdarzył się nawet przypadek, chyba w Orszy, kiedy gromadka wyrostków z okrzykami: „Prokljatyje frycy!” obrzuciła na stacji nasze wagony kamieniami. Prawdopodobnie wzięli nas za niemieckich jeńców, do których każdy pałał tu wówczas nieopisaną nienawiścią, powodowaną nie tylko intensywną propagandą, ale przede wszystkim ogromem krzywd wyrządzonych przez Niemców.

3 sierpnia dotarliśmy do Smoleńska. Zaczął padać zbawczy deszcz. Do wszelkich naczyń, jakie posiadaliśmy, łapaliśmy ściekającą deszczówkę. Nareszcie mogliśmy ugasić pragnienie. Większość z nas była w stanie psychicznej depresji. Stan ten wynikał z naszego beznadziejnego położenia, pogłębiał go również przerażający krajobraz całkowicie zniszczonego kraju, przez który snuł się nasz transport. Smoleńsk utkwiał mi w pamięci jako olbrzymi, potwornie okaleczały jar ruin i pogorzeliisk, w którym gdzieś próbowali gnieździć się ludzie, a właściwie ich nędzne cienie. Obraz ten do dziś tkwi w mojej pamięci jako memento przeciw wojnie, dowód ludzkiej nienawiści i barbarzyństwa.

Mimo apatii, która ogarnęła większość z nas, śledziliśmy kierunek podróży. Kiedy 4 sierpnia osiągnęliśmy

Wiaźmę i tam zmienił się nasz kurs ze wschodniego na południowo-wschodni, wstąpiła w nas otucha. „Jedziemy na południe, a więc jeszcze nic straconego! Przekażą nas zachodnim aliantom, będziemy znowu żołnierzami. Pójdziemy na bój za wolność naszej umęczonej Ojczyzny”. Dotychczasowe postępowanie z nami nie wróżyło jednak nic dobrego. Byliśmy przecież traktowani dotąd jak jeńcy wojenni.

Tylko raz dziennie transport zatrzymywał się w otwartym polu i wypuszczano nas z wagonów w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych. Z obu stron szpaler konwojentów, z bronią skierowaną ku nam, gotową do otwarcia ognia na wypadek próby ucieczki. Musiał to być arcyzabawny widok, kiedy każdy z nas wypinał swój nagi pośladek na skierowane złowrogo lufy pepesz strażników. Podczas jednego z ostatnich takich postojów odkryliśmy wodę w rowie przy torach. Błyskawicznie skoczyliśmy do wagonu po naczynia, ja po swoją menażkę, za którą służyła mi puszka po niemieckiej masce gazowej. W wodzie były kijanki i zielone glony, mimo to, po odcedzeniu przez brudny bandaż, łąpczywie gasiliśmy pragnienie po słonych śledziach, które stanowiły nasz ostatni posiłek. Na skutek długo nie czekałem – zachorowałem na krwawą dyzenterię.

5 sierpnia, w nocy, pociąg zatrzymał się w Kałudze. Rano usłyszeliśmy dźwięki wojskowej orkiestry, grano marsze wojskowe i krakowiaka. Wagony otworzono i padła komenda ich opuszczenia. Na peron wylała się kilku-tysięczna rzesza naszej braci. Byliśmy oszołomieni i tą orkiestrą i zmianą podejścia naszych „sojuszników”. Padła rosyjska komenda: „Strojsia!” Oficerowie i podoficerowie sowieccy uformowali nas w pododdziały tak jak jechaliśmy w wagonach. Nie bardzo rozumieliśmy, zarówno podawanych komend, jak i nagłej odmiany naszego losu. Naszych nowych przełożonych denerwowało, że nie reagujemy na ich komendy: „Smirno!”, „Szagom marsz!”, „Dzierży nożku!” i inne, które słyszeliśmy po raz pierwszy (Bacność! Naprzód marsz! Trzymaj krok!). Niektórzy próbowali nas strofować: „Czto wy za bojcy?”. Z naszej strony odezwały się głosy, że my żołnierze, a nie jeńcy.

W końcu potworzyły się małe kolumny i w takt orkiestry przemaszzerowaliśmy przed grupą oficerów na czele z płk. Jermolowem, który salutując taksował przechodzące oddziały okiem frontowego dowódcy. Maszerując przez miasto, domyślaliśmy się już, że zostaliśmy przekazani jakiejś jednostce wojskowej. Najważniejsze, że nie groziła nam eskorta z bronią gotową do śmiercionośnego strzału.

Zaczął się nowy etap w naszym życiu. Jak później nas pouczono na zajęciach wychowania politycznego („politizniantja”), zostaliśmy zmobilizowani przez „Wojenkamat Miedniki” do Czerwonej Armii. Uznano nas za obywateli Związku Sowieckiego, których obowiązkiem jest obrona napadniętego przez Niemców wielkiego Kraju Rad.

Droga do Kaługi:

29.07.44 – Kiena wyjazd
1.08.44 – Mińsk, Borysow
2.08.44 – Orsza
3.08.44 – Smoleńsk
4.08.44 – Wiaźma
4/5.08.44 – Kaługa
3.08.44 – Smoleńsk

Powrót do Polski:

10.12.45 – Barmino
13.12.45 – Moskwa, Kirow
3.01.46 – Kirow wyjazd
7.01.46 – Brześć n. Bugiem
11.01.46 – Terespol granica
12.01.46 – Biała Podlaska

Kaługa – Zaborie – Kaługa

W kałuskich koszarach dowiedzieliśmy się, że jesteśmy żołnierzami 361 zapasowego pułku piechoty zwycięskiej Armii Czerwonej. Podzielono nas na bataliony, kompanie (roty) i plutony (wzwoody). Z tych, którzy podali do ewidencji pochodzenie z terenów Polski centralnej, utworzono odrębny batalion, nazwany „zabużańskim”.

Niektórzy, posiadający lepsze buty lub inne części osobistego ekwipunku, wymieniali je na chleb, słoninę. Byłem świadkiem, jak sowiecki oficer lotnictwa, o semickich rysach, wymienił swoje podniszczone buty z brezentowymi, zielonymi cholewami na długie buty skórzane – naturalnie z dopłatą chleba i słoniny.

Nowe dowództwo starało się doprowadzić nas jak najszybciej do poziomu sprawnej jednostki wojskowej. Ostrzyżono nas „na zero”, w ramach zwalczania wszawicy wykąpano w łaźni pułkowej i przemundurowano w nowe sorty mundurowe. Z zachowanego do dzisiaj pokwitowania zdania starej odzieży wiem, że miało to miejsce dokładnie 12 sierpnia 1944 r.

Jak już wcześniej wspomniałem, w czasie drogi do Kaługi napiłem się wody z rowu przy torach i zachorowałem na krwawą dyzenterię. Ponieważ rana na nodze wciąż nie goiła się, zostałem wcielony do batalionu chorych („sanbat”), który mieścił się w odosobnionym budynku położonym między kompleksem koszarowym z dowództwem pułku a „białymi koszarami”, na terenie ćwiczebnym, gdzie ulokowano pozostałe bataliony. W mojej jednostce nie było nikogo ze znajomych. Stan mego zdrowia – męcząca biegunka i silny wstrząs psychiczny – wywołał stan apatii, kompletnego zubożenia. Wszystko wykonywałem jak bezduszny automat w jakimś koszmarnym półśnie. Zamknąłem się w sobie, nie dopuszczałem do świadomości jakiegokolwiek aprobaty tego, co się stało.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że obowiązują nas rygory i regulamin Armii Czerwonej przewidujący dużą ilość zajęć polityczno-wychowawczych, tzw. „politzanjatia”. Były one dla nas całkowitą nowością. Początkowo nie mogliśmy znieść naiwnych i kłamliwych interpretacji, szczególnie dotyczących spraw polskich. Polski Rząd Londyński był zaciekle atakowany przez politruków. Jako dowód jego zbrodniczej działalności wobec narodu polskiego wskazywali oni trwające w tym czasie Powstanie Warszawskie. Początkowo próbowaliśmy dyskutować z politrukami, ale widząc, że nic to nie daje, biernie słuchaliśmy ich wywodów, bez jakiegokolwiek akceptacji oczywiście. Politrucy z podziwu godnym uporem drażyli nasze umysły, do których jednak żaden ich argument nie trafiał. W końcu oni formalnie uznali, że spełniają swoje obowiązki należycie, a my po prostu nie reagowaliśmy nawet na największe absurdy. Na koniec wykładu padało sakramentalne: „Woprosy jest?”. Głuche milczenie słuchaczy było kwitowane prawie z ulgą: „No, choroszo, wsio jasno”.

Ten odcinek pracy uświadamiająco-wychowawczej politrucy uznali za wygrany. Za to wojskowi instruktorzy mieli inny orzech do zgryzienia. Nasi, doświadczeni w partyzantce, dobrze obeznani z bronią i nie stroniący od wykonywania żołnierskiego rzemiosła w nowych warunkach, bojkotowali język rosyjski. Większość z nas, szczególnie ci pochodzący z Wileńszczyzny, znali język rosyjski bądź ze szkoły, bądź z innych kontaktów z ludnością białoruską lub rosyjską. W krótkim więc czasie przyswoiliśmy sobie terminologię wojskową w tym języku: komendy musztry, nazwy broni i jej części składowe. Pytani przez szkolących nas podoficerów lub młodszych oficerów, odpowiadaliśmy prawidłowo, ale po polsku. Początkowo było to tolerowane, ale potem próbowano na różne sposoby zmusić nas do udzielania odpowiedzi po rosyjsku. W tym celu stosowano indywidualne kary porządkowe, jak np. sprzątanie poza kolejnością oraz kary zbiorowe dla całego plutonu. Były też i perswazje „dobrym słowem”, które polegały na odwoływaniu się do ambicji i dumy narodowej. Np. sierżant (podoficer) tak próbował nakłonić nas do odpowiedzi w urzędowym języku: „Wy, abrazowannyye ljudi, mołodyje i nie umiejecie otwieczat’ na ruskom jazyku. Ja uczył niegramotnych i oni mogli kak pałagajetsia. Dumaju, czto Polaki eto umnyj narod”. (Wy, wykształceni, młodzi ludzie i nie potraficie odpowiadać po rosyjsku. Ja uczyłem ludzi niewykształconych i oni potrafili odpowiadać tak jak trzeba. Myślę, że Polacy to mądry naród). W końcu jednak instruktorzy zrozumieli, że jest to forma protestu, buntu.

Podobnie było ze śpiewem zbiorowym. Początkowo tolerowano, kiedy na komendę: „Rota śpiewa!” – podejmowaliśmy ochoczo nasze polskie, żołnierskie piosenki. Później uczono nas piosenek rosyjskich, które najczęściej intonował sierżant „zapiewajło”, a reszta podejmowała wyuczony refren. Próby niepodjęcia refrenu lub śpiewania w jego miejsce piosenki polskiej były traktowane przez niektórych oficerów jako brak subordynacji, za co karano dodatkową porcją „strojawoj” (musztry).

Sowiecka kadra z niejednego pieca chleb jadła i doświadczyła znacznie więcej niż początkowo myśleliśmy. Kiedyś podjąłem rozmowę z sierżantem na temat odniesionych przez niego ran. W okresie wojny żołnierze radzieccy nosili na bluzach oznaczenia ran: żółty pasek oznaczał ciężkie ranienie, czerwony – lekkie. Opowiadając o bitwach i miejscach, gdzie go to spotkało, w pewnym momencie nadmienił: „Byłem wtedy d-cą roty, w stopniu st. lejł”. Zdumiałem się, jak jest to możliwe, skoro aktualnie nosił dystynkcje sierżanta,

czyli podoficera. On popatrzył na mnie z wyrozumieniem i odrzekł: „Dwukrotnie zaczynałem od szeregowca i dochodziłem do stopni oficerskich, przelewając krew na różnych frontach. Trzeci raz wystarczy mi już ten stopień. W wypadku poważniejszego okaleczenia na froncie będę miał większą szansę wrócić do cywila, oficerów tak szybko nie zwalniam”. Próbowałem wtedy mówić coś o zaszczytce bycia oficerem, ale popatrzył tylko na mnie z politowaniem i krótko skwitował: „Ech, malczik, czto ty znajesz o żyzni, ty nawierno jeszcze nastajaszczej wajny nie widał”. Znaczna część sowieckiej kadry musiała doświadczyć okropności wojny, wielu miało za sobą podobne przeżycia jak mój sierżant. Z tego wynikało ich podejście do niektórych obowiązków. Po porannej gimnastyce i śniadaniu pododdziały wyruszały na ćwiczenia, nasi dowódcy po przybyciu na pułkowy poligon robili nam dłuższe przerwy i opalali się razem z nami na sierpniowym słońcu, uważając, że podstawowe umiejętności żołnierskie już posiadamy, a reszty douczymy się na froncie. Sielanka być może trwałaby dłużej, ale któregoś dnia d-ca naszego pułku płk Jermołow wyruszył, niezauważony, konną bryczuszką na poligon, aby skontrolować osobiście przebieg szkolenia. Po powrocie z inspekcji wezwał „kombatów” (d-ców batalionów) i na oczach całego pułku poddał ich podstawowej musztrze rekruckiej. Kiedy kombackie „gimnastiorki” (bluzy wojskowe) zrobiły się mokre od potu, pułkownik przerwał musztrę i rozkazał: „A teraz powtórzyć to ze swoimi «komrotami» (d-cy kompanii), ci z kolei powtórzą reedukację z «komwzvodami» (d-cy plutonu), którzy podejmą właściwe szkolenie żołnierzy”.

No i zaczęło się wyciskanie z nas potu. Czas został wypełniony intensywnymi ćwiczeniami, stawaliśmy się automatami. Komendę „strojsia” zniecierliwiliśmy, sam jej dźwięk porażał nas. Dowódca pułku codziennie osobiście lustrował to jeden, to drugi batalion wyruszający na ćwiczenia. Później, tuż przed poligonem, na swojej słynnej, konnej bryczce, odbierał przegląd całości. Przeglądy urozmaicał różnymi ćwiczeniami, jak: szyk defiladowy, z „rużiom na rukie” (karabiny w ręce, z bagnetem tuż przy uchu poprzednika), bieg w maskach przeciwgazowych, normalny marsz w takt orkiestry lub z pieśnią na ustach itp. Powiedzieć trzeba, iż w czasie ćwiczeń używaliśmy broni niesprawnej, np. z przewierconymi komorami naboju, a często tylko drewnianych atrap karabinów. Najwięcej potu wyciskała z nas nauka okopywania się, a szczególnie kopanie tranzei z gniazdami na ckm czy rkm. Uczono nas nawet szermierki, tzn. podstawowych pchnięć bagnetem na karabinie („długim kłuj, krótkim kłuj” – długim kłuj, krótkim kłuj). Nie bardzo wierzyliśmy, aby ta nauka mogła być przydatna w prawdziwej walce, ale żołnierza nikt nie pyta o zdanie. Taki był program szkolenia.

Po kilku latach ktoś próbował przeanalizować dzienny rozkład naszych zajęć w Kałudze, zestawiając je w poniższą tabelkę*:

Godzina od-do	Rodzaj czynności	Czas trwania: godzin, minut	
6:00 – 6:04	Ubieranie się i opuszczenie koszar		4
6:04 – 6:08	Potrzeby fizjologiczne		4
6:08 – 6:35	Mycie się, przegląd poranny		27
6:35 – 7:10	Śniadanie		35
7:10 – 7:35	Zbiórka, przygotowanie do zajęć		25
8:00 – 15:10	Zajęcia przedpołudniowe	7	10
15:10 – 16:00	Obiad		50
16:00 – 19:00	Zajęcia popołudniowe	3	
19:00 – 19:30	Czyszczenie broni		30
19:30 – 20:30	Zajęcia polityczno-wychowawcze	1	
20:30 – 21:00	Kolacja		30
21:00 – 21:30	Czas wolny – zajęcia indywidualne		30
21:30 – 22:00	Zbiórka na apelu, przygotowanie do snu		30
22:00 – 6:00	Cisza nocna (sen)	8	

Zajęć praktycznych było 10 godzin. Wszystko odbywało się na komendę, np. zasiadanie do posiłku: na komendę się siadało, wstawało, a nawet były komendy: „zdejm furazerkę” i „włóż furazerkę”. Czas wolny z reguły był zajmowany na sąsiadujące z nim zajęcia. W rezultacie nie było czasu na jakiegokolwiek myślenie, tym charakteryzował się wyrafinowany system zagospodarowania czasu „bojca”.

Wszystkie budynki koszarowe były radiofonizowane, z głośników ciągle słyszeliśmy komunikaty

„Sowinformbiura” o zwycięskich walkach Armii Czerwonej, posuwającej się po terytorium Polski. Armia ta dotarła już pod Warszawę.

Zbliżał się finał naszego szkolenia. Mieliśmy jeszcze oddać po trzy strzały ze sprawnej broni na strzelnicy i złożyć przysięgę wojskową. Politrucy uczyli nas rotę przysięgi, zaczynającej się od słów: „Ja grażdanin sowieckowo Sojuza...”. To był główny powód naszej ostrej reakcji. Już przy mundurowaniu nas w sowieckie sorty protestowaliśmy. Tłumaczono nam, że nieważne, w jakim mundurze będziemy walczyć z odwiecznym wrogiem – Niemcami, że nosić mundur żołnierza bohaterskiej Armii – to wielki honor i zaszczyt. Polskiego umundurowania akurat teraz nie mamy, więc nie ma problemu – wyjaśniali. Mimo dokładnej rewizji w Miednikach, wielu z nas zdołało zachować różne drobne przedmioty, między innymi orzełki z czapek. Ja swojej czapki już nie miałem, ale schowałem noszoną przez nasz oddział tekstylną białą-czerwoną tarczę z literami WP (Wojsko Polskie). Do dzisiaj ją zachowałem jako jedną z nielicznych pamiątek partyzanckich. Po otrzymaniu furazerek z pięcioramiennymi gwiazdkami zamieniliśmy je na orzełki. Niestety, reakcja naszych nowych przełożonych była błyskawiczna i skuteczna. Przeprowadzano częste i niespodziewane rewizje, konfiskowano polskie oznaki, a za zdejmowanie z furazerek rosyjskich gwiazdek groziły regulaminowe, dokuczliwe kary porządkowe.

Kiedy przyszło do składania przysięgi, byliśmy jednak stanowczy i jednomyślni – jak jeden mąż kategorycznie odmówiliśmy. Politrucy podjęli karkołomną próbę przekonania nas. Sposób ich perswazji był następujący:

Oni: Każdy żołnierz idący na front musi złożyć przysięgę. Takie jest wojskowe prawo.

My: Przysięgę już składaliśmy jako żołnierze Armii Krajowej. Jesteśmy Polakami i przysięgę składamy polskimi władzom.

Oni: To dobrze, że jesteście Polakami. W Związku Sowieckim żyje wiele narodów. Jest ich ponad 100. Nawet Murzyni mieszkają w ZSRS, np. Paul Robson, słynny amerykański śpiewak, poprosił o azyl w Związku Sowieckim.

My: Jesteśmy polskimi obywatelami i nigdy nie byliśmy obywatelami innego kraju, Związku Sowieckiego też nie. Nie możemy więc składać przysięgi sowieckiej.

Oni: Nie macie racji. Nasza Konstytucja zapewnia automatyczne nabycie praw obywatelskich po trzyletnim pobycie w ZSRR.

My: Republikę Socjalistyczną Litwy proklamowano w czerwcu 1940 r. Niemcy po roku napadli na Was i dopiero w lipcu 1944 r. ponownie wróciliście na Litwę. Gdzie są te 3 lata Waszej władzy?

Oni: A Warszawa – to polskie miasto?

My: Oczywiście, to nasza stolica.

Oni: Widzicie, tam są teraz Niemcy. Podobnie było z Wilnem i innymi terenami okupowanymi przez Niemców. A więc od czerwca 1940 r. mieszkacie w sowieckiej republice i upłynął już trzyletni okres władzy sowieckiej, mimo niemieckiej okupacji Wilna. Przecież okupowana Warszawa jest nadal polskim miastem.

Każdy zdawał sobie sprawę, że złożenie przysięgi byłoby wyrażeniem zgody na uznanie nas za obywateli Kraju Rad. Nikt też sowieckiej przysięgi nie złożył.

Mimo konsternacji przełożonych z powodu naszej buntowniczej postawy nie nastąpiły drastyczniejsze represje. Coś się jednak zmieniło. Przerwano szkolenia, głównie ostre strzelanie. Jakiś czas zatrudniano nas przy różnych pracach, jak: przenoszenie kilometrami cegieł ze zbombardowanych domów w centrum miasta, przerzucanie hałd węgla w porcie rzeczonym celem zapobieżenia samozapłonowi, różne remonty na terenie koszar. Po śniadaniu, na zbiórce plutonów i kompanii, poszukiwano murarzy, ślusarzy, blacharzy, szewców i innych specjalistów, których kierowano do różnych doraźnych robót, zarówno w jednostce, jak i poza nią. Takie wyjścia na „robotę”, szczególnie poza koszary, dawały dużo sposobności do dokarmienia się. Często „pracodawca” częstował na przykład ziemniakami, ogórkami. Czasem można było coś zahandlować z miejscową ludnością, zdarzało się ukraść jakieś jarzyny z ogródków, dlatego każdy chętnie zgłaszał się, kiedy poszukiwano „fachowców”. Pewnego razu szukano murarzy i mój kolega namówił mnie, abyśmy się zgłosili. Oddelegowano nas do murowania kominów przy kuchni w „białych koszarach”. Większość „murarzy” miała takie samo pojęcie o murowaniu jak ja. Rezultat naszej całodziennej pracy był taki, że wysoki komin kuchenny runął zaraz po naszym odejściu. Na szczęście, nie spowodował szkód. W ogólnym chaosie organizacyjnym nie ustalono winnych tego incydentu.

* * *

Zapotrzebowanie na naszą siłę roboczą w samej jednostce zaczęło maleć. Kompletowano więc różne grupy do wykonywania prac poza Kaługą. Przed wyjazdem zabierano nam nowe umundurowanie i dawano stare, mocno już sfatygowane, wydawano też kurtki watowane, tzw. „buszłaty”.

We wrześniu lub na początku października wyjechałem z małą grupą (około plutonu) na roboty za Moskwę, do Zaboria – letniskowej miejscowości jakiegoś ministerstwa. Na drogę nasza grupa została zaopatrzona w suchy prowiant. Pierwszy raz dostaliśmy po kawałku solonej słoniny, suchary, nawet rybną konserwę, co wydało się nam nie lada luksusem. Czekaając na dworcu moskiewskim podmiejskiej kolei, nieoczekiwanie zobaczyliśmy polskie mundury, z czarno-czerwonymi wypustkami na kołnierzach płaszczów – byli to saperzy. Trochę udało się nam porozmawiać, ale niewiele się dowiedzieliśmy – po jakimś przeszkoleniu jechali oni do swojej jednostki, w Polsce jeszcze nie byli.

Zaborie – miejscowość, do której przyjechaliśmy, była atrakcyjnie położona – nad jeziorem, w lesie z charakterystycznymi rosyjskimi brzożami. Do niedawna stacjonowała tu duża jednostka wojsk spadochronowych, po których pozostały ziemianki oraz inne urządzenia. Front był już daleko i obiekty te były już wojsku niepotrzebne. Mieliśmy je rozbierać.

Liście już zaczęły żółknąć, zbliżała się pora złotej jesieni. Zdawałoby się, że ten uroczy pejzaż winien kojąco wpłynąć na moją zboląłą duszę. Wszystko jednak wydawało mi się tu obce, prawie wrogie – natura, krajobraz. Uderzało mnie ubóstwo fauny: ptaki trafiały się rzadko, ssaków było jeszcze mniej, prawie nie pamiętam zwierząt domowych, psów i kotów. Były to z pewnością skutki okropnej wojny, która swym bezlitosnym walcem przygniotła ten rozległy kraj. Wprawdzie armia niemiecka nie dotarła tutaj, ale z opowiadań miejscowych ludzi wiedzieliśmy, jak dramatyczne chwile oni przeżyli, kiedy wróg stał na przedpolach Moskwy w 1941 r. Wszyscy wtedy potracili głowy. Mówiono, że gdyby Niemcy zrzucili desant powietrzny poza linię frontu, najprawdopodobniej Moskwa zostałaby zdobyta. I dalsze losy wojny mogłyby potoczyć się trudnymi do przewidzenia torami.

Nasze życie toczyło się tutaj inaczej niż w Kałudze. Ustała koszarowa dyscyplina, która wszystkim nam dawała się we znaki. Nawet wyżywienie nieco się poprawiło. Po wyczerpaniu się zapasów suchego prowiantu nasz d-ca, nie mogąc uzyskać od lokalnych władz zaopatrzenia w żywność, podjął jedynie słuszną decyzję: wynajmowania nas jako siły roboczej.

Za pracę w okolicznych kołchozach i sowchozach otrzymywaliśmy głównie ziemniaki i ogórki, z chlebem było znacznie gorzej. Kołchozowa norma przewidywała tylko 200 g chleba dziennie, a nasza wojskowa 650 g. W kołchozie pracowaliśmy ochoczo i efektywnie. Kołchoźnicy to były same kobiety, w różnym wieku. Jedynym młodszym mężczyzną był „predsiedatiel” (przewodniczący). Był on inwalidą wojennym. Chodził w czarnej kurtce tankisty, z naganem przy pasie, wiecznie podpity. Kołchoz posiadał jeden traktor i parę koni, a obszar upraw wynosił około 1.500 ha. Byłem świadkiem, jak kilka kobiet ciągnęło bronę, bo nie było innej siły pociągowej. Wykonywaliśmy różne prace, najczęściej przy omłocie zboża.

Kiedy wreszcie dostaliśmy swoje zaopatrzenie, mogliśmy wrócić do Zaboria. Gospodarzem ośrodka był Gruzin – zdemobilizowany, wyższy oficer marynarki wojennej. Pilnował, abyśmy nie niszczyli materiałów budowlanych odzyskiwanych z rozbieranych przez nas urządzeń wojskowych, torów przeszkód, ziemianek itd. Zabrał się energicznie do porządkowania terenu, zaczął też porządkować dawny ogród tego ośrodka. Tam była najłżejsza praca. Często tam pracowałem i tam też nauczyłem się jeść surową kapustę, której sporo rosło w ogrodzie. Zjadałem parę główek dziennie.

* * *

W końcu października było już bardzo chłodno. Zachorowałem, miałem wysoką temperaturę, dotkliwie boleści w prawym boku, w pachwinie, straciłem całkowicie apetyt, co przełożonych przekonało o autentyczności mojej choroby. Miejscowa stara lekarka stwierdziła zapalenie wyrostka robaczkowego i

konieczność natychmiastowej operacji. Najbliższy szpital był w Moskwie. Dowódca obawiał się, że kierując mnie do szpitala może stracić z oczu „bojca”, więc wołał przekazać mnie do jednostki w Kałudze. Niech tam się martwią, co ze mną poczną. Czas upływał, mój stan pogarszał się z dnia na dzień. Wreszcie 7 listopada 1944 r. zostałem wyprawiony w asyście dwóch podoficerów do Kaługi. Do najbliższej podmiejskiej stacji kolei moskiewskiej było dobrych kilka kilometrów. Padał gęsty śnieg, mroźna wichura przenikała do szpiku kości. Miałem temperaturę powyżej 39 °C, zwiąłem się z bólu, w tym stanie dotarliśmy do Moskwy. Moskwa była skromnie, ale świątecznie wystrojona z okazji 27 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Byłem na wszystko obojętny, od kilku dni nic nie jadłem. Po dotransportowaniu do jednostki skierowano mnie do „sanczasti”, przeleżałem tam jeszcze dzień lub dwa. W końcu skierowano mnie samego, pieszo, bez konwojenta, do wojskowego szpitala w Kałudze. Przybyłem tam wieczorem, przyjęła mnie młoda pielęgniarka, wykąpano mnie i ułożono w sali pełnej rannych. Na kolację przyniesiono biały chleb, nie widziałem takiego już co najmniej od roku. Ale byłem tak obolały i wymęczony, że nie mogłem go zjeść; schowałem do szafki przy łóżku. Na drugi dzień, w czasie obchodu lekarskiego dokładnie mnie przebadano i stwierdzono, że niebezpieczeństwo minęło. Prawdopodobnie miałem już zapalnie otrzewnej i perforację, ale znaczne ochłodzenie w czasie marszu z Zaboria do stacji kolejowej spowodowało powstanie plastrona izolującego miejsce zapalne i zahamowanie procesu choroby. Uznałem to za przypadek graniczący z cudem.

Lekarze, widząc moją wymizierowaną postać, postanowili pozostawić mnie na rekonwalescencji. Pouczono mnie, iż przy następnym ataku będzie niezbędna natychmiastowa operacja. Tydzień pobytu w kałuskim szpitalu, a może nieco dłużej, zapamiętałem jako najbardziej komfortowy okres mego pobytu w Rosji. Nie można twierdzić, abyśmy cierpieli tam głód, ale brak dostatecznej ilości tłuszczów, witamin i innych niezbędnych składników w naszym wojennym jadłospisie powodował stałe łaknienie. Trudno nam było pogodzić się, że kiedyś, w niedalekiej przeciwieście jeszcze przeszłości, można było wstać od stołu, zostawiając na nim jedzenie. Psychoza niedosytu była tak silna, że jedzenie stało się wciąż powracającym tematem rozmów. Problem wyżywienia obrazują normy żywności, jakie nas obowiązywały. Sowiecki „bojec” poza frontem (3 kategoria) dostawał:

- c h l e b: 650 g – na obiad 250 g, na śniadanie i kolację po 200 g; jego jakość nie umywała się do normalnego pieczywa, był ciężki, klajstrowaty i na pewno odbiegał od wagowej normy; mówiono o dodawaniu do niego pewnej ilości trocin jako błonnika do wypełnienia masy pieczywa; stanowił podstawę naszego wyżywienia, a jego podział obrósł w legendę, został uwieczniony w licznych wspomnieniach, poezji obozowej, a nawet karykaturze (Tadeusz Ginko);
- t ł u s z c z: 30 g – nie dostawaliśmy go bezpośrednio, wchodził w skład „kotła”; w czasie bardzo rzadkich delegowań wydawano go w postaci słoniny, która była prawdziwym rarytasem, powszechnie cenionym i wielką rzadkością;
- m i ę s o: 50-70 g – pojawiała się głównie w postaci amerykańskich konserw; słynna „swinnaja tuszonka” również szła do „kotła”, jej smaku mało kto z nas próbował, stanowiła łakomy kąsek dostępny praktycznie kadrze oficerskiej, podoficerskiej, kucharzom, magazynierom; o olbrzymich dostawach tych konserw do Rosji świadczyło powszechne użytkowanie puszek po tych konserwach – nasze miski do jedzenia i mycia się, kociołki zastępujące menażki, gwiazdki na furazerki itd. były wykonywane z blachy po tych puszkach;
- c u k i e r: 15 g – płaską łyżkę stołową wydawano najczęściej za okres kilku dni; konsumowaliśmy go zazwyczaj z chlebem; był synonimem dobrobytu; jeden z sowieckich kierowców opowiadał nam: „Jeździłem z generałem. Wyobraźcie sobie, na stole sypano jemu sporą kupkę («kuczu») cukru, który jadł łyżkami do woli. Zawsze i mnie coś zostawało”;
- ś l e d z i e: jeden mały lub pół dużego, najczęściej jesienią lub zimą, prawdopodobnie w miejsce mięsa; głowy śledzi służyły do solenia gotowanych ziemniaków, najczęściej kradzionych z pól kolchozowych; stanowiły uzupełnienie naszych oficjalnych posiłków, przygotowywanych w kuchni batalionowej.

Zupę z kuchni pobierano w wiadrach, łącznie z chlebem, na 10 osób. Przypadało jej około pół litra na osobę. Najczęściej był to kapuśniak, który nosił różne nazwy, ale jedna zupa od drugiej niczym się nie różniła. W koszarach jadłospis był bardziej urozmaicony. Drugie danie obiadowe to zazwyczaj: makaron, częściej kasza jaglana, zwana „pszeno”, ryż lub ziemniaki, było tego bardzo mało. Ogólnie rzecz biorąc, gdyby obowiązujące normy trafiały do naszych żołądków, może i nie byłoby tak źle. Ale najgęstsza zupa z kotła

trafiała w podwójnej ilości dla kadry. Jeżeli doliczyć do tego „ubytki” na rzecz kucharzy, ich pomocników, dyżurnych i innych pośredników w rozdziale żywienia – to ubytki te stanowiły ponad 25 %. Jedynym pocieszeniem mogło być stwierdzenie, że wszędzie tak jest, kiedy są niedostatki. Większość z nas to byli młodzi, zdrowi i dlatego mimo dużego wysiłku fizycznego (intensywne szkolenie wojskowe, a później ciężka praca) przetrwaliśmy.

W lasach podmoskiewskich

Wkrótce po powrocie ze szpitala do koszar skończył się mój pobyt w Kałudze. Tuż przed Bożym Narodzeniem zebrano z koszar wszystkie „niedobitki” i sformowanym, pełnym transportem kolejowym odesłano nas do lasu, gdzie pracowała już większość naszych chłopców.

Prawie półroczny pobyt w nowych, trudnych warunkach wyrobił w każdym z nas silny zmysł zaradności. Czasami graniczył on z niezawinionym sabotażem czy przestępstwem, za co w normalnych warunkach należałyby się surowe kary. Oto drobny przykład. Do lasu jechaliśmy w nie zamkniętych wagonach, gdyż traktowano nas jak jednostkę wojskową, a nie jak więźniów, więc każdy postój wykorzystywaliśmy na szukanie pożywienia. Na stacjach stało zazwyczaj po kilka transportów z bronią, wojskiem i różnym zaopatrzeniem. W wynajdywaniu żywności byliśmy bezkonkurencyjni, błyskawicznie penetrowaliśmy każdy wagon. Jednego razu wyszperaliśmy wagon załadowany luzem ziarnem kaszy jaglanej. Pod wagonami ustawiła się kolejka. Ktoś przemyślny wywiercił otwór w podłodze zaplombowanego wagonu, z którego wartko sywał się strumień żółtej kaszy. Chwilę kręciłem się bezradnie, nie wiedząc, do czego mógłbym to dobro brać, kiedy zobaczyłem, że wychodzący spod wagonu taszcą dziwnego kształtu woreczki ze zdobyczą. Wtedy i do mnie dotarł prosty pomysł – wydieram rękaw z „buszłata” (watowanej kurtki) i dociskam się w kolejce do życiodajnego otworu. Jeszcze nie napełniłem do końca swego woreczka-rękawu, gdy rozległy się okrzyki, a potem strzały wartownika – konwojenta transportu, który zauważył podejrzany ruch pod wagonami. Cudem wydostałem się spod wagonu i klucząc między wagonami innych transportów wylądowałem bezpiecznie w swoim wagonie. Interwencja wartownika była jednak spóźniona, gdyż transport już powoli ruszał ze stacji. Próbowałem wyobrazić sobie, ile tego cennego, żółtożółcistego ładunku wysypie się po drodze. Nikt z nas nie miał jednak żadnych skrupułów. Uważaliśmy, że to dar czuwającej nad nami Opatrzności. To wydarzenie opisał w swoich wspomnieniach z Kaługi również dr Tadeusz Ginko. Podał jednak, iż naszym łupem była pszenica, a nie kasza jaglana, którą tam nazywano „pszeno”.

24 grudnia 1944 roku, w samą Wigilię Bożego Narodzenia, dotarliśmy do miejsca przeznaczenia – miejsca postoju 1 batalionu naszego pułku, znajdującego się na 27 kilometrze linii kolejowej, w pobliżu wioski Malejcha. Nikogo z dawnych znajomych tu nie spotkałem, byłem znowu osamotniony. Przez cały ten czas czułem się psychicznie fatalnie. Byłem apatyczny, obojętny na wszystko, co się wokół mnie działo. Nie byłem za to głodny, na Wigilię i Święta jedzenia miałem w bród – zdobyczną kaszę.

O naszym losie zdecydowano na wysokim szczeblu centralnym w Moskwie. Pułk jako jednostka nie został rozwiązany, ale przeznaczony na tzw. „front pracy”. Utworzono cztery robocze bataliony, które rozmieszczono w lasach podmoskiewskich w rejonie Korobowskim, wzdłuż linii kolejowej, którą wywożono eksploatowane drewno. Cały pułk pracował dla przedsiębiorstw „Metrostroj” i „Mosgortop” w Moskwie, zaopatrujących stolicę w opał, którego odczuwano szczególny brak. Niemcy podczas odwrotu zatopili kopalnie węgla w Donbasie. Obok nas w podobnych warunkach pracowali Uzbeki, skazani na długoletnie więzienie, ale nie mieliśmy z nimi styczności. Okresowo przywożono do pracy studentów, pracowników „Metrostroja”, pod koniec 1945 r. jeńców niemieckich, a na nasze miejsce przywieziono jeńców sowieckich, których wyzwolili Amerykanie. Ci poddawani byli śledztwu i ostrej weryfikacji. Dochodzono, w jakich okolicznościach trafili do niewoli. Najostrzej traktowano byłych oficerów politycznych i członków Partii, od których wymagano walki do końca. Nikt z nich nie miał prawa trafić żywy w ręce wroga.

W lasach podmoskiewskich wykonywaliśmy różne prace:

- Wyrąb lasu. Początkowa norma na parę ludzi wynosiła 4 m³, później wzrosła do 12 m³. Kloce drewna były 2-metrowe. Wzrost norm pracy wynikał z tego, że wykonanie 110 % normy dawało prawo do tzw. „depe” („dopałnitielnyj pajok”), czyli dodatkowej porcji chleba, a każdemu zależało na zwiększeniu racji.

Kiedy większość dostawała „depe”, podnoszono normę i w ten sposób stale ona rosła. Pomysłowość naszych chłopców w dążeniu do wykonania wysokich norm była przebogata: stare, już oznakowane sągi, przekładano, zacierając oznakowanie i zgłaszając je jako świeżą pracę; budowano tzw. studnie („kołodce”), czyli po prostu puste miejsca, niewidoczne z zewnątrz.

- Wywożenie drewna z lasu. Używane do tego były głównie amerykańskie „Studebakery”, ale jakiś czas były i sowieckie „Zis-y-5”. Kierowcami byli żołnierze z wojskowej bazy transportowej, a „Zis-y” prowadziły młode dziewczęta nie będące w służbie wojskowej. Nasi chłopcy tylko ładowali i rozładowywali te samochody.

- Załadunek wagonów. Przychodziły one w różnym czasie, bardzo często w nocy. Plutony wyznaczone do tej roboty były zobowiązane do natychmiastowego podjęcia pracy, nawet jeżeli pracowały poprzednio w ciągu dnia. Dodatkowym obciążeniem była czasami konieczność pokonywania kilku kilometrów do miejsca składowania. Zimą załadunek był bardziej uciążliwy, albowiem zamoczona w topniejącym śniegu odzież zamarzała w drodze powrotnej z pracy na „blachę”. W ziemiankach było ciepło, ale nie było miejsca na suszenie przemoczonej odzieży. Osuszano ją własnym ciałem. Ponieważ nie było koców ani pościeli, nasze „buszłaty” i watawane spodnie służyły do misternego przygotowania sobie pośłania. Niektórzy w tej dziedzinie dochodzili do perfekcji, każda część ubioru spełniała odpowiednią rolę.

- „Podczystka”. Były to prace porządkowe w lesie polegające na wycinie pozostawionych przez brygady pilarzy cieńszych drzew oraz porządkowaniu konarów i gałęzi. Była to znacznie lżejsza praca, ale uniemożliwiała uzyskanie „depe”, gdyż była pracą nienormowaną.

Poszczególne pododdziały wykonywały te czynności rotacyjnie, aby zachować sprawiedliwy podział pracy. Oprócz tego były pomocnicze funkcje, jak np. „dniewalny”, służbowy, który pozostawał w ziemiance do utrzymania porządków, dyżurni w kuchni, „pomkomwzvodni” (zastępca d-cy plutonu) i inni do specjalnych zadań.

Pierwszy list do domu napisałem dopiero 24 lutego 1945 r. Potwierdziłem w nim, że otrzymałem z domu 500 rubli. O moim adresie powiadomił rodziców Szaban, starszy pan, którego zwolniono wcześniej, w czasie naszego pobytu w Zaborie.

Następny list napisałem 1 kwietnia z okazji Świąt Wielkanocnych. Przytaczam go tu w całości:

Przede wszystkim chcę złożyć Wam życzenia świąteczne, oby jak najszybciej zobaczyć się z Wami wszystkimi. Najbardziej martwi mnie brak wszelkich wiadomości od Was, nie otrzymałem jeszcze żadnego listu. Dzisiaj mamy pierwszy dzień Świąt. Przed chwilą wróciliśmy z ładunku wagonów, mimo że jest dzień „wychodny”. Chcę Was zapewnić – jestem dzisiaj syty jak w domu. Święcone mieliśmy wspólne, bo kupiliśmy na pluton 10 jaj, dostaliśmy trochę święconej wody. Więc poświęciliśmy: jajka, sól i kromkę chleba, podzieliłiśmy się tym jajkiem, poplakaliśmy i każdy zabrał się do wielkanocnej uczt. Ja na święta miałem 1,7 kg chleba, oprócz codziennej porcji, która wynosi 650 g, następnie prawie całe pudełko konserwy mięsnej (połowę zjadłem na śniadanie), poza tym poczęstowano mnie babką kartoflaną, ale nie byle jaką – ze skwarkami, a na wierzch poszła nasza codzienna śniadaniowa zupka, z dwustugramową porcją chleba. Byłem syty jak bąk. Zaraz po śniadaniu poszliśmy znowu do ładowania wagonów, z którymi uporaliśmy się piorunem – trzy kwadransy i byliśmy w swoich ziemiankach.

Od tego czasu korespondencja się ożywiła. Otrzymywałem również przekazy pieniężne, do 10 maja dostałem trzy przekazy na sumę 1.500 rubli. Ceny rynkowe na produkty były w tym czasie następujące: 1 kg chleba – od 40 do 50 rubli, kociołek ziemniaków (około 1 kg) – 10 rubli, 1 litr mleka – 20 rubli. Ilość otrzymywanych listów wzrosła, kiedy wrócił do Wilna zdemobilizowany z polskiego wojska mój brat Jerzy. W sumie otrzymałem od rodziny 28 listów, sam napisałem 22 listy. 12 listów otrzymałem od kolegów z innych batalionów, z którymi spotkałem się dopiero w Kirowie.

Przez dwa miesiące, tj. od 24.12.44 do 12.02.45 r. pracowałem przy ładowaniu drewna na samochody ciężarowe i wywożeniu go na skład znajdujący się na 27 kilometrze. Później całą naszą rotą ładowaliśmy wagony i sztaplowaliśmy drewno na składzie. Bardzo często załadunek odbywał się w nocy. Zima powoli ustępowała, a była ona wyjątkowo uciążliwa. Mrozy dochodziły do –300C. Było dużo odmrożeń. Ja też miałem trochę przymrożone palce u nóg, jeszcze do dzisiaj to odczuwam.

W końcu z ociąganiem nadeszła wiosna, przynosząc ocieplenie i poprawę warunków pracy. Co ważniejsze, nadszedł długo oczekiwany koniec wojny, a więc i nadzieja na powrót do domu. 10 maja 1945 r. otrzymałem z domu banderolę z gazetami i papierem, którego u nas odczuwano dotkliwy brak. Nasi chłopcy, jak zwykle bardzo pomysłowi, wpadli na genialny pomysł: wykorzystania kory brzozonej jako papieru listowego. Do tego celu nadawała się szczególnie tzw. „awiobierioza” (drewno brzozone na potrzeby przemysłu lotniczego). Była gładka, jedwabista, o pięknej cętkowanej fakturze. Niestety, nasilenie takich przesyłek spowodowało zakaz i konfiskatę tak oryginalnej korespondencji. Przecież wspinały Kraj Rad, opływający we wszelkie dobra materialne, nie może pozwolić na negatywną „propagandę”.

Zachował się jeden taki mój list, pisany 20 maja 45 r. do Mamy. Przesyłka poza stemplami pocztowymi posiada również oznaczenie cenzury wojennej nr 14582. Teraz zapewne stanowi on ciekawostkę filatelistyczną.

W liście tym, bojąc się, że zostanie skonfiskowany, piszę o swoim dobrobycie: za miesiąc maj dostałem „depe” za 19 dniówek przekroczenia normy pracy, tj. 5,7 kg chleba (po 300 g za dniówkę), pół paczki tytoniu – 300 g (od palaczy dostałem dodatkowo 1 kg chleba); oprócz tego 190 g słoniny, 190 g sproszkowanego amerykańskiego jajka (zamiast konserwy) i 600 g krup owsianych. To prawdziwy luksus! Tym bardziej, że jedzenie z kotła było nieraz nie do przelknięcia. Od września do lipca dostawaliśmy prawie „na okrągło” kapuśniak. Po zimie kapusta była najczęściej już podgniła. Kiszono ją w dużych dołach w ziemi, nabierano widłami stojąc w nich w gumiakach. Nierzadko była ona z robakami, po wyrzuceniu których ostatecznie zjadało się ją, bo nie było innej rady.

W czerwcu pogoda była już letnia. Świeża zieleń okryła nasz las, który przepelnił się świergotem ptactwa, ale tęsknota za domem i bliskimi nie pozwalała cieszyć się pięknem przyrody.

Życie powoli się jednak normowało. Od lipca 1945 r. przeszliśmy na 6-dniowy system pracy, niedziela została dniem wolnym. Dotychczas „wychodni” to był 1, 10 i 20 dzień każdego miesiąca. Dostałem po raz pierwszy zapłatę za dwa miesiące pracy: 103 ruble. W połowie lipca panowało upalne, kontynentalne lato, co znacznie utrudniało pracę, która wymagała dużego wysiłku. Częściej odwiedzało nas objazdowe kino. Wyświetlano między innymi sowiecki film lotniczy pt. „Niebo Moskwy”.

Warto wspomnieć o zabawnym incydencie, jaki miał miejsce w związku z próbą przywracania przez naszego kombata, kpt. Sasa, odpowiedniego wyglądu powierzonemu mu pododdziałowi. W trakcie przeglądu batalionu na placu apelowym stwierdził on, że żaden z jego żołnierzy nie ma na furażerze obowiązującej gwiazdki. Natychmiast rozkazał, aby z puszek po konserwach „swinnaja tuszonka” powycinać gwiazdki dla całego batalionu; z wyjątkiem kadry, która nosiła regulaminowe oznaczenia wojska sowieckiego. Kiedy rozkaz wykonano i kombat przechadzał się z satysfakcją między szeregami batalionu, nagle między ziemiankami coś błysnęło w słońcu. Bystre oko dowódcy uchwyciło to dziwne zjawisko. Przywołał do siebie „dniewalnego”. Był nim niski, krępy, liczący już około 40 lat kolega z naszego plutonu – Dobrogost, noszący sumiasty, szlachecki wąs. Ten prawidłowo zameldował się przed frontem całego batalionu, który powstrzymywał się od głośnego wyrażenia wesołości. Dobrogost bowiem miał na furażerze gwiazdę kilkakrotnie większą niż nasze i wyglądał jak gwiazdor z szopki jasełkowej. Zobaczyliśmy, jak nasz dowódca nagle purpurowieje i głośno krzyczy: „Czto eto za bezobrazje?” (Co to za skandal?). A Dobrogost przepisowo odpowiada: „Tawarisz kapitan! Eto «Ubij Swołocz Adolfa»”, a po chwili dodał „Gittera”. Okazało się, że przypiął on dużą gwiazdę z napisem w jęz. angielskim „made in USA”. Napisy na puszkach amerykańskich konserw były dwujęzyczne, na jednej stronie po rosyjsku, na drugiej po angielsku – on wybrał tę drugą. I tu już batalion nie zdzierzył – wszyscy ryknęli kaskadą śmiechu. Kapitan opanował się i już spokojnie rzekł: „Niemiedlenno znimi eto i nie walaj duraka” (Natychmiast zdejmy to i nie udawaj dumia). Już nie pamiętam, czy upiekło mu się to bezkarnie.

Kapitan miał jeszcze do nas pretensję, że nie nosimy pagonów (naramienników). Kiedy jednak poważnie tłumaczyliśmy, że uległy one zniszczeniu od dźwigania kłoców drewna na ramionach, był bezradny. Nie było naturalnie tkaniny, aby je odtworzyć. Zresztą z naszym umundurowaniem było coraz gorzej, mimo plutonu krawców, szewców, których obowiązkiem była naprawa szybko niszczącej się odzieży i obuwia.

Nigdy nie zapomnę dziwnego widoku, a było to późną jesienią, kiedy podczas przeglądu plutonu wychodzącego do pracy jeden z żołnierzy ubrany w walonki zostawiał za sobą ślady stóp na śniegu. Doszło do tego, że chodziliśmy do pracy na zmianę. Jedni oddawali swoją odzież tym, którzy wychodzili do roboty, a sami w tym czasie siedzieli w bieliźnie w ziemiance. I tak na zmianę.

W sierpniu, mimo pogłosek o naszym rychłym wyjeździe, atmosfera była fatalna. Czuliśmy się po prostu oszukiwani. Praca była ciężka i było jej coraz więcej. We wrześniu nasiliły się ucieczki. Zacząłem też coraz częściej o tym myśleć. Zebrałem około 1000 rubli, zgromadziłem trochę sucharów i zacząłem namawiać naszą dziewczynę-kierowcę samochodu zwożącego z lasu drewno, aby uciekała ze mną. Niepowodzenia niektórych zbiegów, którzy skazywani byli za karę na wieloletnie ciężkie roboty, ostatecznie powstrzymały mnie przed desperackim rozwiązaniem.

Duplikat podania, jakie pisaliśmy 11 sierpnia 1945 r. do Mieszanej Polsko-Sowieckiej Komisji do spraw Repatriacji w Moskwie. Podania te składaliśmy na ręce dowódcy rot. Na odpowiedź czekaliśmy ponad cztery miesiące. Dopiero w grudniu nasz wyjazd stał się realny.

Skład osobowy 2 plutonu 6 kompanii IV batalionu po przejściu z I batalionu (listopad 1945 r.)

1. Makarewicz Stanisław – z-ca dowódcy plutonu
2. Buszyński
3. Bystrzanowski
4. Butkiewicz
5. Cichocki
6. Dajnowski
7. Dembowski
8. Dobrogost Władysław
9. Dziedziewicz
10. Gotowiecki
11. Gierasimczuk
12. Hrybacz Janusz, ur. 1925
13. Iwanowicz, ur. 1923
14. Karczewski Zbigniew
15. Kilian
16. Kondratowicz Bolesław
17. Kostanowski
18. Kozłowski
19. Krynicki
20. Krzywiec
21. Kurc Mikołaj
22. Leśków
23. Leśkiewicz Tadeusz
24. Łabuński
25. Makowiecki
26. Malewski, ur. 1923
27. Markiewicz
28. Matuszczak
29. Michno
30. Mrowelski Romuald
31. Nosko, ur. 1922
32. Odachowski
33. Odachowski
34. Olinowicz
35. Ostrowski
36. Pionkowski Wacław

37. Piotrowski
38. Puciato Mieczysław
39. Silewicz
40. Smagur
41. Skorwid (poeta)
42. Szabliński
43. Wirszyło (aktor)
44. Więcek
45. Witkowski, ur. 1927
46. Wołkow
47. Wotawa
48. Zieleńkowski
49. Zielonka
50. Zdanowicz

Z Wilna dochodziły nas wieści o masowej ekspatriacji ludności polskiej. Mój brat Jerzy, który po zdemobilizowaniu z Ludowego Wojska Polskiego wrócił do domu rodzinnego, w liście z 21 sierpnia 1945 r. pisał:

„Jesteśmy już spakowani. Sprzedaliśmy kredens, szafy, krzesła, łóżka i wiele drobnych rzeczy. Ojciec nie pracuje. Powoli przejadamy sprzedane rzeczy, a transporty jak na złość nie odchodzą. Ostatnio odeszły transporty nr 46 i 47. Jutro ma odejść nr 51 (nauczycielski). My jesteśmy zapisani na transport wojskowy nr 61. Chcielibyśmy jak najszybciej wyjechać. Mamy nadzieję na spotkanie z Tobą w Polsce. Zamierzamy osiedlić się w Szczecinku, jest tam podobno wiele jezior i lasów, jak na naszej kochanej Wileńszczyźnie”.

Ostatni list otrzymany od Jurka w końcu października nosił datę 5 października 45 r. Brat pisał w nim:

„Sprawa naszego wyjazdu utknęła w martwym punkcie. Po prostu nie ma wagonów. W Związku Patriotów Polskich mówią – jak będziemy mieli wagony – pojedziecie, a one mogą być za godzinę, może za dzień albo za tydzień, jak i za miesiąc. Po zdaniu kartek żywnościowych otrzymujemy co 5 dni talony. Na naszą 5-osobową rodzinę dostajemy za nie: 15 dkg cukru, 10 dkg suszonych żółtek i 15 dkg oliwy. Nasze środki finansowe kurczą się zastraszająco, ale to nie tylko nasz problem, w takiej sytuacji jest większość naszych rodaków. Jesteśmy jednak dobrej nadziei. Trzymaj się.”

List Jurka, datowany 18 listopada 45 r., pisany był już z Gorzowa nad Wartą (Ziemie Odzyskane), ale do mnie nie dotarł, wrócił do Gorzowa. Była to metoda powszechnie stosowana wobec nas przez sowieckie władze. Miała ona na celu dezorientowanie nas w sytuacji naszych rodzin. Nie wiem, dlaczego sowietom tak zależało na pozostawieniu nas w Kraju Rad.

19 października cały nasz batalion przeniesiono do IV batalionu – na 39 kilometr. 12 km drogi odbyliśmy pieszo. Padał mokry śnieg. Nasza rota została przemianowana na szóstą, dziwnym trafem zachował się oryginalny wykaz żołnierzy naszego 2 plutonu.

Dalsze moje losy zawiera dzienniczek, stanowiący następny, odrębny rozdział moich wspomnień.
Dziennik

Dzienniczek swój pisałem od 14 października 1945 r. na małych karteczkach, o wymiarze 55 x 80 mm, służących jako bibułka na papierosy, tzw. „skręty”. Zapisy były lakoniczne, miały być z czasem rozszerzone. Przeleżały wiele lat. Większość wrażeń zatarła się w pamięci, a poza tym uważałem, że „rozbudowanie” dziennika zmieniłoby jego charakter, jego historyczną autentyczność i dlatego został on przepisany w takiej formie, w jakiej powstał.

1945 rok

14 X – Niedziela. Dzisiaj spadł pierwszy obfity śnieg. Był podpułkownik i major ze smoleńskiego Okręgu – mają nas przejąć.

16 X – Otrzymałem dwa listy od Jurka (brata), z 3 i 4 bm. Ładowaliśmy wagony drewnem na 32 km – ja z

Kostanowskim lorę.

17 X – Pracowałem na maszynach (Zis-5 – zwożenie drewna z lasu) z Niną – kierowcą Żydówką. Na 32 km przyjechali „własowcy”. Wszystko przykryte pierzyną śnieżną.

18 X – Dostaliśmy chleb na „depe”. Jeździłem z Żenią – dwa rejsy. Zdemobilizowali „sztrafnyje roty”. My wciąż siedzimy. Nowy „komwzvod” – st. sierżant Buryń.

19 X – Piątek. Przeniesiono nas do IV batalionu na 39 km. Piekielna droga – śnieg, wiatr, mokro. Zobaczyłem Wacka. Umieszczono nas w jednej ziemiance – 100 osób. Moc pluskiew. Dostaliśmy ciepłe czapki („uszanki”).

20 X – Przygotowujemy się do piłowania drzewa w lesie. Koncert w III batalionie. Awantura z nocnym załadunkiem (nie chcemy ładować). Ładunek na 43 km, jak zawsze idziemy pieszo.

22 X – Odpoczywaliśmy, wieczorem chodziliśmy po drewno dla kuchni. Odszukałem swoich szkolnych kolegów: „Cywa” (Czesiek Cywiński), „Gizel” (A.Gizelewski), „Ławryn” (Ławrynowicz) i innych. Chłopcy „na grandę” chodzą po „pyrki”. W ziemiankach prawie wszyscy mają schowki na zapas kartofli. Dyscyplina o wiele słabsza niż była u nas na 27 km.

26 X – Na „podczystce”(norma tylko 4 m3 drewna), piłowałem z Noską.

27 X – O godz. 12 zdjęcie z „piłki” (piłowanie, ścinanie drzewa w lesie) na ładunek wagonów. Jeden z najcięższych ładunków. Dostałem buty przeciwgazowe (walonki rozpadają się).

28 X – Awantura ze st. lej. Pażydajewem (z-ca kombata – politruk). Zamknęli na „gubę” (areszt) Krzywnę, a wczoraj poszedł tam Dobrogost. Byliśmy w łaźni.

1 XI – Byłem w II batalionie na 47 km – u Tośka Laskowskiego i Witka Plawgi. Od nich dowiedziałem się o wyjeździe moich rodziców. Wyjechali do Polski 12.10.45. O 20-tej był koncert, poziom artystyczny bardzo wysoki, na chwilę zapomniałem o naszym położeniu. Występowali Henryk Czyż, Bernard Ładysz, Chmielewski (komik).

4 XI – Dostałem 4 listy (od Mamy, Jurka z 16.10. i od Sylwii z 13.10.). Zaczyna się „dzika repatriacja”(samowolne ucieczki).

6 XI – Był niby „wychodnoj” (dzień wolny od pracy), pomimo to chodziliśmy na ładunek na 40 km. Z plutonu liczącego 50 ludzi było nas w pracy 17, reszta bez butów lub chorzy.

7 XI – Psiakość – na święto (rocznica rewolucji październikowej), a na śniadanie jeszcze większa lura (zupa). Przed obiadem znowu wagony do ładowania. Ja zostałem, musiałem oddać bluzę i spodnie, siedzę więc w bieliźnie na narach. Chociaż raz i mnie się udało, bo dotychczas zawsze pracowałem.

11 XI – Rano odśpiewaliśmy hymn, rotę i modlitwę. Po obiedzie wagony, tym razem nas ominęły. Wieczorem specjalny koncert „narodowy”. Na skutek naszych impulsów patriotycznych – awantura, zabroniono powtórzenia koncertu innym. W ziemiance lokalna awantura z Kurcem.

12 XI – Dzisiaj już po raz trzeci zostałem w ziemiance, swoje buty oddałem drugiej zmianie. Do pracy chodzimy na dwie zmiany, wychodzi zaledwie 12 ludzi. Wczoraj z naszej roty dwoje uciekło do domu, razem z Michną będzie ich już trzech. Z polskiej ambasady w Moskwie jeden z naszych z 3 roty dostał nowe ubranie, pieniądze i informację, że do 1.01.46 na pewno wyjedziemy. Odnosimy się do tego z dużym niedowierzaniem, jak dotychczas nasi „ambasadorzy” już podobne wieści nam nieraz dostarczali, a my ciągle tu tkwimy.

13 XI – Łaźnia. Ładunek na 35 km.

14 XI – Znowu w ziemiance. Trudno zabrać się do pisania. Wczoraj dowiedziałem się przykrych rzeczy o swej platonicznej miłości – Kazi. Przez 3 lata zajmowała w moim sercu poczesne miejsce, teraz pozostało mi tylko lotnictwo.

18 XI – Znowu nas podzielono, ja zostałem przydzielony do I-szej roty 3 plutonu. Był u nas Tosiek, dostaliśmy wojski (walonki).

19 XI – W Sazanowie na 42 km rozładowywaliśmy mąkę. Niestety, nic nie skombinowałem. Taka okazja nie zdarza się często!

20 XI – W Barminie na 37 km. Rozładowywaliśmy ryby. Próbuję jeść ją na surowo, nie smakuje. Wieczorem łaźnia.

21 XI – Uporczywe plotki o wyjeździe do Polski. Byliśmy na piłowaniu w lesie, z Witkowskim wykonaliśmy tylko 2 m3 drewna.

22 XI – Jestem w roli „zagatowszczyka” (przygotowuję i obcinam gałęzie po ścięciu drzewa).

23 XI – Nasza rota idzie do ładowania wagonów. Wieczorem ładunek „karobki” (nieduży, kryty wagon), w pięciu załadowali ją w ciągu 50 minut.

24 XI – Na robotę nie poszedłem z powodu porwanych spodni. Czytałem opowiadania Czechowa. 4-ta rota,

a razem z nią i Nosko, powędrowali na 32 km.

25 XI – Jak grom z jasnego nieba gruchnęła wieść – w III batalionie oficjalnie powiedziano o naszym wyjeździe. Po koncercie przyszedł komrot – lej. Kudrych i kazał pisać podania do d-cy batalionu. W batalionie jakby kto kij wsadził w mrowisko. Ogólna radość, śpiewy, ale ostatecznie niedowierzanie naszym władzom. A może znowu „bujda”.

26 XI – Pracowaliśmy na „taczankach”(wózki na placu drewna). Dzień długi jak wiek. Całą noc nie mogłem zasnąć, wszyscy myślą tylko o wyjeździe.

28 XI – Dzisiaj ma wyjeżdżać II batalion, na ich miejsce przyszedł już transport jeńców sowieckich z Niemiec, czy Francji, oswobodzonych przez aliantów i przekazanych Rosji. Będą teraz przechodzili tu „kwarantannę”.

29 XI – Dopiero dzisiaj wyruszył II batalion. Pracowaliśmy na maszynach (wywożenie z lasu drewna). Wieczorem wiadomość – mamy dzisiaj w nocy albo jutro wyjechać – nasza 1 i 5 rota naszego batalionu. W ziemiankach nieopisany ruch, na gwałt mycie ludzi – myjemy się w zupełnie zimnej wodzie. Sporządza się spisy, wymienia porwane ubrania i buszłaty na mało lepsze płaszcze.

30 XI – Znowu „zagatowszczyk” (pełniący dyżur). Wysłano nas do pracy – ładowanie maszyn, dwa rejsy, tak jak wczoraj. Wszyscy się niecierpliwą. Co jest z wyjazdem?

3 XII – 1-sza, 4-ta i 5-ta rota nie chciały iść do roboty.

6 XII – Rano wróciliśmy ze składu (plac, gdzie układano drewno), nie pracowaliśmy. Wieczorem pogoniono ludzi do załadunku wagonów, ja nie poszedłem, schowałem się. Wreszcie piorunująca wiadomość „atstawił wyjazd do 20” (odłożyć wyjazd do 20). Co z tego wyniknie, nie mam pojęcia? Nasza cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

8 XII – A jednak – dowiadujemy się – mają być wagony do wyjazdu.

9 XII – Wieczorem załadowaliśmy się do wagonów. Nadzwyczajna rzecz, wprost nie do wiary, dostaliśmy pasażerskie wagony. Ale ciągle nie wierzymy, czy ruszymy stąd.

10 XII – Po południu ruszyliśmy do Barmina. Całą prawie noc staliśmy w Krywandinie. Chłopcy dostali się do wagonów z mięsem. Alarm! Milicja, rewizja naszych wagonów, bez rezultatu – nic nie znaleziono.

11 XII – Kurowskaja, nocą przybyliśmy do Moskwy, na jej przedmieście. Pijaństwo i jego skutki.

12 XII – Zwiedzamy Moskwę, naturalnie nielegalnie, na własną rękę: „Krasnaja Płoszczad”, spotykamy polskiego majora z armii Berlinga, jazda metrem i tramwajem moskiewskim, naturalnie „na gapę” (nie mamy rubli). Późny powrót, za karę zostaję „dniewalnym” w karnym wagonie „chałodnym”, zapelnionym „turytami” poprzednio zatrzymanymi. W nocy łaźnia, bardzo nowoczesna, czysta. A jednak i u nich może być coś porządnego.

13 XII – O 16-tej wyjeżdżamy z Moskwy.

14 XII – Zamieć śnieżna. W nocy o godz. 1-szej dobijamy do celu – Kirowa.

20 XII – Dostaliśmy koce, po raz pierwszy od czasu skierowania nas do pracy w lesie. Mieszkamy w koszarach i ziemiankach po litewskiej dywizji. Pozostały gazetki w języku litewskim. Znowu zniecierpliwienie. Dlaczego nie jedziemy?

21 XII – Zamieniono nam płaszcze i bluzy.

24 XII – W i g i l i a. Ziemniaki, śledzie, zupa i ryż. Łamiemy się opłatkiem u Tośka. A jednak chyba wydestaniemy się z tej Rosji!

30 XII – Nowe ubrania angielskie – płaszcze i koszule, które traktuje się jako „gimnaściorki” (bluza mundurowa). Rozdział o 2-giej w nocy.

1946 r o k

3 I – Czwartek. Idziemy do lasu po drzewo. Napotykamy pozostałości po froncie: linie okopów, bunkry. Pragnę jak najwięcej zapamiętać, gdzie byłem i co widziałem – ludzi, ubiory, odmienność krajobrazu – to kraj, którego może już nigdy nie zobaczę. Co daj Boże! O 24-tej podstawiono wagony.

4 I – Godz. 10. Fajansowo – jedziemy do Polski. Wagony towarowe, ale tempo jazdy szybkie.

6 I – Niedziela. Żabinka – dawna stacja polska, dworzec budowany przed wojną, jakże różni się od stacji rosyjskich. Awantury z żołnierzami sowieckimi na targowisku, gdzie naszym zarzucono zdradę ojczyzny („izmienniki rodziny”). Wypiłem pierwszy raz wódkę z Witkiem Plawgo za pomyślność naszych losów. Nocą byliśmy w Brześciu.

7 I – Brześć n/Bugiem – stacja towarowa. Łażę po torach, oglądam załadowane transporty. Na jednej z kolejowych lor – czołg z oznaczeniem 7-miu strąconych samolotów. Wieczorem idę po suchary.

8 I – Widzimy jeńców niemieckich, wiozą ich do Rosji. Przechodzimy dezynfekcję.

9 I – Wagony z Polakami wracającymi z robót w kopalniach StalinoGorska. W stronę przeciwną transporty Niemców.

10 I – Wagon z niemieckimi książkami. Biorę sobie parę technicznych książek o samochodach, przeładunek do wagonów do Polski. Dołączają zatrzymanych, po awanturze w Żabince, Dordzika i innych.

11 I – Piątek. Wyruszyliśmy z Brześcia, przekraczamy granicę w Terespolu. Pierwsze polskie mundury, orły, łyzy wzruszenia. Rosyjscy oficerowie i podoficerowie przed samą granicą opuszczają nas. Dostajemy polską eskortę. W nocy docieramy do Białej Podlaski.

12 I – Zwiedzam Białą Podlaskę. Nadzwyczajna życzliwość ludności. Dowiadujemy się trochę o stosunkach w Polsce. Radzą nam pozdejmować biało-czerwone opaski, jakie wielu z nas przechowało, mimo licznych rewizji osobistych, które nas dotknęły.

13 I – Niedziela. Idziemy zbiorowo, w szeregach, do kościoła. Śpiewamy „Boże coś Polskę”. Łzy w oczach, ogólny podziw i uznanie widoczne na każdym kroku. Widzę pierwszego polskiego podchorążego lotnictwa. Na lotnisku sowieckie samoloty.

14 I – Dostajemy zaświadczenia o zwolnieniu przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, z fotografią. Wyglądamy na nich jak przestępcy.

15 I – Wyjazd do Warszawy przez Łuków, gdzie siedziałem w nocy, czekając na pociąg.

16 I – W a r s z a w a. Gruzy, zniszczenia. Grozą przejmując widok zniszczonego mostu Poniatowskiego i Starego Miasta. Odżywiamy się we wszystkich stołówkach, gdzie tylko dają jeść. Nocujemy w „dziekance” na Krakowskim Przedmieściu.

17 I – Pierwsza rocznica wyzwolenia Warszawy – polskie flagi. A jednak w końcu jesteśmy w Polsce! Gdzie są moi rodzice?

18 I – Biorę bilet do Szczecinka, ale jadę najpierw do Poznania. Tam ma być moja ciocia.

19 I – Niestety, ciocia Jadzi pod wskazanym adresem przy ul. Garbary nie ma. Wyjechała do Landsbergu (Gorzowa). Jedziemy z Wackiem Gilickim w jej ślad. Około 23-ciej jesteśmy w Gorzowie nad Wartą. Nocujemy w Punkcie Etapowym PUR.

20 I – Niedziela. Rano błąkamy się po opustoszałych ulicach miasta. Nagle spostrzegam wychodzącą z katedry Mamę. Zbliżamy się do Niej. Poznaje Wacka, pyta: „A gdzie jest Janusz”. „Mamo – to ja” odpowiadam. Radości naszego spotkania nie da się opisać. Byliśmy znowu razem, całą rodziną. Jeszcze tego dnia idziemy z bratem Jurkiem do gorzowskiego teatru na sztukę Bałuckiego „Grube ryby”.

Kończy się moja odyseja wojenna i otwiera się nowy rozdział – życie na Ziemiach Odzyskanych.

* Autor maszynopisu pozostaje nieznany. Jest to jedno z pierwszych opracowań o naszym pobycie w Kałudze.

C Z Ę Ś Ć D R U G A

Losy żołnierzy wileńskiej i nowogródzkiej Armii Krajowej Pamięci żołnierzy Armii Krajowej na Kresach Północno-Wschodnich Rozbrojenie

Dokumentacja archiwalna zawarta w inwentarzu Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie (sygn. VIII.800-VII.811), opracowana w 1998 r., obejmuje większość obozów jenieckich i internowanych istniejących w czasie II wojny światowej na terenie ZSRR. Wśród obszernego materiału autorowi udało się wyszukać tylko jeden dokument bezpośrednio związany z tematyką niniejszej pracy. Jest to: Sprawozdanie operacyjne z działań 86 pułku straży granicznej (pogran) na tyłach 3 Frontu Białoruskiego, zwalczającego podziemie w rej. Wilna w okresie od 17 – 26.07.1944 r. Dokument ten, opatrzony klauzulą tajności („sowerszenno sekretno”), zawiera kilka interesujących informacji:

1) W ogólnej liczbie 5.753 osób zatrzymanych aż 2.860 to żołnierze AK, w sprawozdaniu określani jako „Bielopolaki” lub „legionierzy”.

2) W czasie akcji zabito 57 Polaków oraz 205 oficerów i żołnierzy niemieckich, zaś tylko 255 Niemców wzięto do niewoli. Liczba zabitych Polaków być może jest zawyżona, ponieważ z późniejszych relacji wynikało, że podawanym przez sowietów jako „ubitych” udawało się ująć żywym. Prawdopodobnie każdy

przypadek ucieczki po rozbrojeniu, kiedy użyto broni, a nie złapano uciekiniera, żołnierze sowieccy wykazywali jako zastrzelenie.

3) Znaczną grupę (1.311 osób) stanowili jeńcy sowieccy, których zatrzymano w specjalnych obozach do sprawdzenia i osądzenia. Odrębna grupa (152 osoby) to obywatele ZSRR służący w armii niemieckiej.

Z raportów poszczególnych dowódców batalionów tego pułku jeden jest szczególnie ciekawy. Podaje on, że w dniu 19 lipca 44 r. rozbrojono:

14 polskich oficerów, 38 podoficerów i 504 żołnierzy, tj. razem 556 osób. Zabrano im 115 sztuk broni: 1 działko 45 mm, 9 ckm-ów, 42 rkm-y, 17 automatów, 25 karabinów, 21 pistoletów.

Z tego można by sądzić, że grupa ta była albo niedozbrojona, albo przed rozbrojeniem część uzbrojenia udało się schować na „lepsze czasy”. Potwierdzeniem tego przypuszczenia jest między innymi relacja Zygmunta Mineyki „Petroniusza”. Nasi żołnierze znali cenę broni, bo okupili ją własną krwią i tylko w ostateczności dobrowolnie ją oddawali.

Ten sam raport jako miejsce dyslokacji tego sowieckiego pododdziału podaje Rudniki i Oszmianę. W innym raporcie innego pododdziału odnotowano: „straty własne: dnia 22.07.44 r. przy rozbrajaniu Polaków koło jez. Kiernowo – Puszcza Rudnicka został zabity mł. lejttenant i sierżant”. Dowódca pułku spośród 4 swoich pododdziałów wyróżnił II batalion dowodzony przez kapitana Suchowa.

Wiele informacji świadczących o stosunku sowieckich władz do Armii Krajowej na Wileńszczyźnie zawierają raporty Ł. Berii do Stalina dotyczące akcji rozbrajania oddziałów Armii Krajowej na Wileńszczyźnie w lipcu 1944 r. Kilka takich dokumentów przytaczam poniżej w całości, w kilku przypadkach opatrując je tylko niezbędnymi przypisami[1].

Dokument 1

15 lipca 1944 r.

Ścisłe tajne

Towarzyszowi Stalinowi

Wydelegowany przez nas do Wilna wraz z grupą funkcjonariuszy NKWD zastępca Komisarza Ludowego Spraw Wewnętrznych tow. Sierow[2] powiedział, co następuje:

„Do przeprowadzenia operacyjnych akcji czekistowskich skierowano do rejonu Wilna 19 grup NKWD-NKGB, które 14 lipca przystąpiły do pracy. W ciągu dnia zostały ujawnione i skonfiskowane dwa magazyny z bronią Polskiej Armii Krajowej, liczące 302 niemieckie ciężkie karabiny maszynowe, 152 karabiny i 40 granatów. Polacy usiłovali wywieźć tę broń do lasu dla swoich formacji, ale zostali zatrzymani.

W okresie okupacji niemieckiej do okolic Wilna przybył nielegalnie samolotem z Warszawy przedstawiciel tzw. rządu londyńskiego w charakterze komendanta okręgów wojskowych Wileńskiego i Nowogródzkiego, generał o pseudonimie «Wilk». Według istniejących danych ma on nazwisko Kasplicki[3]. Oprócz «Wilka» jest pułkownik «Szczerbic»[4], uznający się za przedstawiciela polskiego sztabu generalnego. «Wilk» i «Szczerbic» rozwinęli szeroko zakrojone działanie nad formowaniem kierownictwa polskich jednostek wojskowych.

Jak oświadczył szereg oficerów Polskiej Armii Krajowej, których przesłuchaliśmy, a także jak wynika z własnych obserwacji, formacje te liczą 30 odrębnych brygad, od 300 do 600 osób każda.

Ponadto w Wilnie istniała w okresie okupacji podziemna organizacja wojskowa, licząca 3 oddziały. Z tych trzech oddziałów do dziś istnieje oddział nr 1, liczący 1.500 osób. Dwa pozostałe oddziały – według szefa sztabu oddziału[5] – nie istnieją, gdyż jeden z nich został rozgromiony przez Niemców podczas próby

zajęcia Wilna, a drugi został rozpędzony przez Niemców w okresie jego organizacji.

Na dzień dzisiejszy w Wilnie jest około 2.000 żołnierzy Polskiej Armii Krajowej i w rejonach: nowogródzkim do 7.000-8.000 osób, miednickim do 8.000 i wokół Wilna 3.000-4.000, w sumie około 25 tysięcy osób[6]. We wszystkich tych rejonach byli nasi oficerowie i generałowie, którzy widzieli ich lokalizację i liczebność.

Wszyscy polscy żołnierze zorganizowani są w brygady i uzbrojeni przeważnie w rosyjskie karabiny, pistolety maszynowe, rewolwery, granaty. Ponadto jest wielka liczba ciężkich karabinów maszynowych, jest broń przeciwczołgowa, czołgi (w 2 brygadzie wileńskiej widzieliśmy 3 czołgi), są środki lokomocji – samochody, motocykle, konie.

Mają miejsce pogrozki, że jeśli miejscowa ludność Litwy będzie popierała Armię Czerwoną, to Polacy ją za to ukarają.

Wszyscy żołnierze noszą mundury polskie i niemieckie z szlifami, naramiennikami, naszywkami, są w rogatywkach lub furazerkach. Większość z orzełkami i biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Każdy posiada drukowany dokument, że jest żołnierzem Polskiej Armii Krajowej.

Swoich dowódców i miejsca ich przebywania Polacy starannie ukrywają. Udało się nam ustalić dowódców brygad tylko «do spraw pilnych, w związku z przebywaniem Armii Czerwonej w tym regionie».

Ponieważ tym polskim organizacjom wojskowym dowództwo 3 Frontu Białoruskiego pozwoliło działać, polacy się rozzuchwalili. Po oczyszczeniu Wilna od Niemców na ratuszu została wywieszona sowiecka flaga. Po pewnym czasie pod sowiecką flagą pojawiła się flaga polska, która, oczywiście, natychmiast została zdjęta[7].

Wczoraj wieczorem w Wilnie chowano naszych oficerów poległych podczas ataku na Wilno. Przemawiający na wiecu dowódca pułku powiedział, że oddali oni życie za wyzwolenie litewskiej stolicy. Dwaj stojący żołnierze polscy zwrócili się do pułkownika Kapronowa ze słowami, że prawdopodobnie mówca nie wie, iż Wilno nigdy nie było i nie będzie litewskie.

Gdy jednostki Armii Czerwonej były w pobliżu Wilna, dowódca 2 brygady polskiej skontaktował się z naszym generałem Bielkinem-Gładyszewem z propozycją współdziałania. Generał Bielkin odpowiedział: «W sprawie współdziałania w zajmowaniu Wilna powinniście skontaktować się z pułkownikiem Morozowem, który otrzymał wskazówki w tej sprawie. Zwróćcie szczególną uwagę na wasze lewe skrzydło, któremu zagrażają Niemcy z północy». Za kilka dni ten Polak wystarał się u generała Bielkina o oficjalny dokument z wyrazami wdzięczności dla Polaków. Generał Bielkin pisze: «Ja, generał Bielkin, oświadczam, że żołnierze polscy dzielnie walczyli o wyzwolenie Wilna. W imieniu służby wyrażam im wdzięczność. Brygada zasłużyła na prawo korzystania z wszystkich należnych przywilejów».

Ten dokument dał Polakom podstawę do przypisywania sobie zajęcia Wilna wspólnie z Armią Czerwoną. Faktycznie zaś było tak: generał «Wilk» otrzymał z Warszawy rozkaz zajęcia Wilna przez oddziały Polskiej Armii Krajowej. Rzeczywiście ruszyła jedna z brygad. Niemcy rozgromili ją doszczętnie i Polacy zaprzestali ataku na Wilno.

Obecnie Polacy rozpowszechniają pogłoski, jakoby z brygad zostanie sformowana dywizja polska.

Ludność polska ustosunkowana jest życzliwie i przyjaźnie w stosunku do tych formacji. Wielu nosi w kłapach biało-czerwone kokardki jako symbol polskiego patriotyzmu.

Dziś u komendanta miasta zjawił się oficer polski z prośbą o pozwolenie na manifestację w Wilnie i przemarsz dwóch – trzech setek żołnierzy. Nie zgodziliśmy się na to.

Ostatnio Polacy przeprowadzają wzmożoną mobilizację do Polskiej Armii Krajowej.

NKWD ZSRS informuje, że obok istniejących tam wojsk NKWD i jednego pułku, który przybędzie jutro, 16 lipca, przerzuca się do strefy Wilna jedną dywizję wojsk NKWD i cztery oddziały wojsk ochrony pogranicza, w wyniku czego w ciągu 4-5 dni w okolicy Wilna skoncentruje się jednostki wojsk NKWD o ogólnej liczebności 12 tysięcy osób.

Tow. Sierow otrzymał od nas dodatkowe wskazówki w sprawie współdziałania z Dowództwem i Radą Wojskową Frontu w celu wykonania dyrektywy Dowództwa Naczelnego nr 220145 z 14 VII br. i zapewnienia niezbędnych czekistowskich przedsięwzięć zgodnie z dyrektywą”.

Komisarz Ludowy Spraw Wewnętrznych
Związku SSR (-) Ł. Beria

Dokument 2

17 lipca 1944 r.

Ścisłe tajne

Towarzyszowi Stalinowi
Towarzyszowi Mołotowowi
Towarzyszowi Antonowowi

Dzisiaj otrzymano od towarzyszy Sierowa i Czerniachowskiego następującą wiadomość:

„Dzisiaj wezwany został tzw. generał-major «Wilk» (Kulczycki). «Wilkowi» oświadczono, że interesuje nas dyslokacja formacji polskich, toteż pożądane jest, aby nasi oficerowie dowiedzieli się o tym. «Wilk» wyraził zgodę i poinformował nas o 6 punktach, w których ulokowane są jego pułki i brygady.

Ponadto zainteresowaliśmy się jego korpusem oficerskim i zaproponowaliśmy zebrać wszystkich dowódców pułków, brygad, ich zastępców i szefów sztabów. «Wilk» z tym się również zgodził i wydał stosowny rozkaz oficerowi łącznikowemu, który niezwłocznie udał się do swojego sztabu.

Następnie «Wilk» został przez nas rozbrojony, a towarzyszący mu kapitan – szef sztabu, który jest przedstawicielem rządu londyńskiego, usiłował wyciągnąć pistolet i stawić opór, odwiódł kurek, lecz został rozbrojony.

W związku z otrzymaniem informacji o miejscu stacjonowania formacji, opracowaliśmy następujący plan operacji:

1. Skierowaliśmy na miejsce doświadczonych generałów i komisarzy NKWD, w celach wywiadowczych i zbadania dostępu do Polaków.
2. Jednocześnie do miejsc lokalizacji Polaków skierowaliśmy formacje i oddziały 3 Frontu Białoruskiego, wyznaczone do rozbrojenia Polaków.
3. Dzisiaj o godz. 19, w celu rozbrojenia kierowniczego korpusu, skierowano manewrową grupę wojsk pogranicznych i kierowniczych funkcjonariuszy NKWD.
4. Jutro, 18 lipca, od godziny 4 rano, jednostki wyznaczone do rozbrajania Polaków zajmą pozycje wyjściowe, wysłuchają instrukcji i przystąpią do operacji.

O wynikach poinformujemy”.

Komisarz Ludowy Spraw Wewnętrznych

Dokument 3

19 lipca 1944 r.

Ścisłe tajne

Towarzyszowi Stalinowi
Towarzyszowi Mołotowowi
Towarzyszowi Antonowowi

18 lipca nadeszła od towarzyszy Sierowa i Czerniachowskiego następująca wiadomość:

„Wczoraj o godzinie 20 zostali zebrani w okolicy wsi Bogusze dowódcy brygad i batalionów rzekomo na apel Dowództwa Frontu. Ogółem zebrało się 26 oficerów, w tej liczbie: 9 dowódców brygad, 12 dowódców oddziałów oraz 5 oficerów sztabowych armii polskiej.

Na naszą propozycję złożenia broni oficerowie odpowiedzieli odmownie i dopiero gdy zagrożono użyciem broni, rozbroili się.

Ponadto wczoraj zostali zatrzymani: dowódca Okręgu Wileńskiego podpułkownik Krzeszowski Lubosław, pseudonim «Ludwik», oraz dowódca Okręgu Nowogródzkiego pułkownik Szydłowski Adam, pseudonim «Poleszuk». Szydłowski, w maju br. wysłany z Włoch, wylądował na spadochronie w Warszawie z zadaniem zorganizowania partyzantów polskich w Okręgu Nowogródzkim.

Dziś o świcie przystąpiliśmy do przeczesywania lasów, gdzie według naszych danych znajdowali się Polacy. W niektórych miejscach Polaków już nie było. Ustalono, że nocą wyruszyli w kierunku południowym. Dopędziliśmy ich i rozbroiliśmy.

Według stanu na godz. 16 zostało rozbrojonych 3.500 osób, w tym 200 oficerów i podoficerów.

W toku rozbrajania zarekwirowano broń: 3.000 karabinów, 300 pistoletów maszynowych, 50 karabinów maszynowych, 15 moździerzy, 7 dział lekkich, 12 samochodów oraz znaczną ilość granatów i amunicji.

Polscy oficerowie i żołnierze zostali skierowani pod eskortą do punktów zbornych, a broń umieszcza się w magazynach.

Oddziały uczestniczące w operacji prowadzą dalszy wywiad, ścigają i rozbrajają polskie oddziały.

Jak ustalono w toku przesłuchania dowódców brygad oraz komendantów Okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego, łączna liczba wszystkich żołnierzy tzw. Polskiej Armii Krajowej waha się w granicach 8-10 tysięcy, a znajdują się oni w strefie 3 Frontu Białoruskiego.

W związku z tym, że dowództwo «armii» zamierzało skompletować z tych rozproszonych oddziałów 2 dywizję, mając na uwadze dodatkową mobilizację ludności polskiej, rozeszły się pogłoski, że armia polska liczy ponad 20 tysięcy ludzi.

Podczas operacji rozbrojeniowych żadnych ekscesów nie było”.

Dokument 4

20 lipca 1944 r.
Ścisłe tajne

Do Państwowego Komitetu Obrony

Towarzyszowi J. W. Stalinowi

Dzisiaj otrzymano od towarzyszy Sierowa i Czerniachowskiego następujący komunikat o przebiegu operacji rozbrojeniowej Polskiej Armii Krajowej:

„Ogółem w ciągu dwóch dni operacji, według prowizorycznych obliczeń, rozbrojono ponad 6.000 osób, w tym 650 oficerów i podoficerów. Podczas rozbrajania zarekwirowano: 5.100 karabinów, 350 pistoletów maszynowych, 230 karabinów maszynowych lekkich i ciężkich, 12 dział lekkich, 27 samochodów, 7 radiostacji, 350 koni i znaczną ilość amunicji.

Polscy żołnierze i oficerowie są konwojowani do punktów zbornych. Według stanu na 20 lipca br., o godz. 12 na punkcie zbornym w Miednikach znajduje się 4.000 osób, pozostali są w drodze.

Podczas operacji niektóre oddziały polskie, które wycofały się do lasu, porzuciły broń i ludzie rozeszli się do domów, gdyż większość żołnierzy i oficerów tych formacji jest mieszkańcami obwodu wileńskiego. Liczymy, że około tysiąca żołnierzy z różnych oddziałów rozeszło się do domów. Przystąpiono do zbierania porzuconej broni. Podczas rozbrajania miały miejsce następujące fakty:

Po pierwszym dniu operacji niektóre oddziały polskie, znajdujące się w akcji, dowiedziały się o rozbrajaniu i postanowiły udać się na bagnisty teren, zwany Puszcza Rudnicką, w pobliżu miasteczka Jaszuny, w nadziei, że nie dotrą tam sowieckie jednostki wojskowe. Zajęły tam pozycję obronną. Pod koniec dnia 19 lipca jednostki 152 umocnionego rejonu oraz 86 pułku ochrony pogranicza zbliżyły się do miejsca dyslokacji Polaków, okrążyły ich i zażądały rozbrojenia. Polscy oficerowie początkowo odmawiali, ale później zgodzili się i poprosili o zezwolenie na nocleg na wsi. W wyniku tej akcji rozbrojono około 1.500 osób.

Jeden z batalionów polskich udał się do lasu na zachód od Jaszun, zajął stanowisko obronne i odmówił rozbrojenia. Skierowano na miejsce batalion w celu ich rozbrojenia. Poza tym żadnych ekscesów nie było. W zasadzie po 200-300 Polaków rozbrajały grupy naszych żołnierzy liczące 10-15 osób. Warto przy tym zaznaczyć, że absolutna większość Polaków zadeklarowała życzenie służyć w polskiej armii Berlinga.

W związku z tym, że dobiega końca operacja rozbrojeniowa (pozostały drobne rozproszone grupy i poszczególni żołnierze) towarzysze Sierow i Czerniachowski proszą o usankcjonowanie następujących przedsięwzięć:

1. Dopuścić do punktu zbornego Polskiej Armii Krajowej przebywających tutaj przedstawicieli armii Berlinga w celu rekrutacji spośród żołnierzy i oficerów chętnych do służenia w armii polskiej.

2. Żołnierzy i podoficerów, którzy wyrażą chęć służenia w armii polskiej, skierować do pułków zapasowych «Gławuproformu» w celu późniejszego wykorzystania na zapleczu Armii Czerwonej.
3. Korpus oficerski, będący przedmiotem zainteresowania operacyjnego, przekazać organom NKWD-NKGB lub kontrwywiadu «Smiersz».
4. Pozostały korpus oficerski skierować do obozów NKWD, gdyż w innych warunkach będą oni zajmować się tworzeniem różnych polskich organizacji.

Proszę o Wasze wskazówki”.

Komisarz Ludowy Spraw Wewnętrznych
Związku SRS (-) Ł.Beria

Zygmunt Mineyko – ps. „Lin” (5 Brygada „Łupaszk”), „Petroniusz” (36 Bryg. „Żejmiana”).

Aresztowano mnie razem z oddziałem pod Wilnem, na drodze w kierunku do Miednik, kiedy udawaliśmy się na zgrupowanie. Wojsko sowieckie zjawilo się z ukrycia i nas okrążyło. Wydali rozkaz złożenia broni. Dla zastraszenia nad głowami naszymi przelatywały sowieckie samoloty. Żołnierze sowieccy, grożąc zastrzeleniem, zmusili nas do oddania broni. Kazano ją składać w wyznaczonym miejscu. Niektórym naszym chłopcom udało się, tak jak i mnie, ukryć krótką broń w ziemi lub pod kamieniem w sposób nie zauważony. Grupa rozbrojonych żołnierzy AK, w której byłem, składała się z co najmniej kilkuset osób. Zostaliśmy otoczeni sowieckimi żołnierzami, którzy szli jeden od drugiego w odległości około 5 metrów. Karabiny mieli załadowane, z nasadzonymi bagnetami. Podczas konwojowania parokrotnie słyszałem strzały, kierowane do osób uciekających. Żołnierze konwojujący byli brutalni, ciągle nam ubliżali, popędzali osłabionych, odstających, okładając kolbami, a nieraz trącając bagnetami.

Zostaliśmy zapędzeni na teren starego, zrujnowanego zamku w Miednikach. Teren był ogrodzony drutem kolczastym. Umieszczono nas w szopach, gdzie prawdopodobnie trzymano zwierzęta. Do jedzenia dawano zlej jakości zupę, w niewystarczającej ilości. Ratowała nas okoliczna ludność i rodziny aresztowanych, dostarczając paczki z żywnością, które przechodziły przez ręce pilnujących nas żołnierzy sowieckich. Ustępów nie było. Sami kopaliśmy rowy, które po wypełnieniu zasypywaliśmy. Jedna z szop została przeznaczona dla naszych lekarzy. Oni udzielali pomocy chorym, starając się w miarę swoich skromnych możliwości sprostać trudnemu zadaniu. Wodę do picia dostarczano beczkami, ze studni poza obozem. Była jej jednak niedostateczna ilość.

Miedniki Królewskie. Stara osada litewska na trakcie łączącym Wilno z Mińskiem. Następnie warowny gród, wzniesiony prawdopodobnie przez księcia Witenesa[8]. W 1 poł. XIV wieku powstał tu murowany zamek, założony na planie prostokąta o wymiarach: 128x161x127x147m[9]. Jedną z siedzib Wielkiego Księcia Olgierda, później letnia rezydencja królów. W 1486 r. Miedniki uzyskały prawa miejskie. W 1411 r. Władysław Jagiełło założył tu kościół, odbudowany w 1788 r. i skasowany w 1865 r.

W roku 1517 „Zygmunt, poseł cesarza niemieckiego Maxymiliana, powracając z Moskwy [...], kiedy przejeżdżał tędy, znalazł zamek miednicki opustoszały”[10]. W roku 1519, a ponownie w 1655 zniszczyli go Rosjanie. Od XVI wieku tracił znaczenie obronne.

Zachowały się ruiny pełnego obwodu murów oraz szczątki wieży narożnej. Obecnie w zamku prowadzone są prace konserwatorskie.

Sowieci po rozbrojeniu większości żołnierzy wileńskiej Armii Krajowej zlokalizowali tu w okresie 17-29 lipca 1944 r. obóz internowanych akowców. Relacja R. Szczęsnowicza:

Po wystąpieniu puł. Soroki zrobiliśmy naradę roboczą. Byłem „za” (zapisaniem się do armii Berlinga). Nie wierzyłem w to, co mówił „Hadża”, nie wierzyłem Anglikom, Amerykanom i Francuzom w odniesieniu do sprawy polskiej. Nie wierzyłem też Sowiecom. Byłem przekonany, że tych, co nie pójdą do Berlinga, czeka marny los. Chciałem bić hitlerowców. I to wszystko. Kształt orła, język puł. Soroki, zależność armii Berlinga, nie miały dla mnie żadnego znaczenia. I tu, na miednikowskiej słomie, rozstałem się na pewien czas ze

swoim najlepszym przyjacielem Tadekiem Nagłowskim. On wierzył oficerom i „Hadży”, a nie mnie. Tadek postanowił zostać z większością, na wspólny los. Ja, z grupą 400 podobnie myślących, dobrowolnie zaliczyłem się do zdrajców, zarejestrowałem się przy stoliku werbunkowym i wyszedłem za mury miednickich ruin królewskich.

Ulokowano nas w kilku stodołach we wsi Miedniki. Oficer NKWD, który wyprowadził naszą kolumnę, powiedział językiem puł. Soroki: „Jutro, rebiata, przybędzie transport, który zawiezie was do Żytomierza. Tam powstaje nowa polska armija. Dostaniecie zimny «pajok» na dwa dni. Z kwater (czyli stodoł) nie wolno się oddalać”. Jeszcze raz nas policzył, zapisał coś w notesie i poszedł. Następnego dnia samochodów jeszcze nie było. Pilotujący nas enkawudzista pojawił się skoro świt, zarządził alarm i zbiórkę w dwuszeregu. Stanęliśmy, a on, niemal dotykając każdego palcem, zaczął nas liczyć. Skończył, popatrzał w swoje wczorajsze zapiski i pozieleniał ze złości: „Dezserter, jobana ich mat! Nie nada nam takich dobrowolców!” – krzyknął, kazał się ustawić czwórkami, zrobić „w tył zwrot” i maszerować z powrotem... do obozu. Okazało się, że w tę jedną piękną noc zdezerterowało ku wolności 47 żołnierzy. Wkraczaliśmy do miednickich ruin zamkowych jak stado baranów wpędzonych w paszcze watahy wilków. Rozległy się wycia i gwizdy. W naszą stronę poleciały puszki po konserwach i butelki. Rejwach zmniejszył się jednak po kilku minutach, kiedy okazało się, że każda „owca” ma duży zapas żywności i chętnie rzuca ją na pożarcie „wilkom”.

Tak, mieliśmy dość duże zapasy żarcia, gdyż niezależnie od owego dwudniowego berlingowskiego „pajka” mieliśmy delikatesowe smakołyki. Poprzedniego dnia, kiedy wyszliśmy za bramę obozu, spotkaliśmy się z przybyłymi wilniukami. Wieść o obozie w Miednikach szybko dotarła do Wilna i rodziny tych, których ojcowie, bracia czy synowie byli w partyzantce, organizowały pielgrzymki na szlak oszmiański. Obok naszego obozu wyrosło koczowisko tych rodzin, które, objuczone wiktuałami, czekały na okazję, aby przekazać je swoim bliskim. Wejście za ruiny było „srogo zabronione”, przekazywane przez partyzantów beznadziejnie niepewne, więc czekano na boskie zmiłowanie. I nasze wyjście było takim zmiłowaniem. Dostaliśmy żarcie od swoich i obcych, dawano tyle, ile kto chciał, gdyż przyniesione zapasy nie mogły czekać w słońcu lipcowym na dalsze zmiłowanie.

Tam, po chwilowym wyjściu z obozu, spotkaliśmy się z siostrą Alicją, która, zakurzona, wymęczona, po trzydziestokilometrowym rajdzie Wilno – Miedniki była widowym obrazem siostrzanej miłości. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że to spotkanie będzie ostatnim przed dwudziestoletnią rozłąką.

Nasze dawne miejsca były już zajęte, a zresztą i tak nikt nie miał ochoty kontaktować się ze zdrajcami. To trwało jeden dzień. Potem ciekawość brała górę, wiktuały łaskotały nozdrza, gniew przechodził. Tylko najbardziej honorowi, dziś można powiedzieć, najbardziej wyrobieni ideologicznie, odwracali się od nas plecami, nieczuli ani na najnowsze wieści z Wilna, ani na zapachy. Do nich należał mój przyjaciel Tadek Nagłowski. Później wspólny los wymiesza nas wszystkich i pogodzi. On zostanie jednak, chory na trasie, wróci do Wilna, aby wpaść w łapy NKWD i dostać 10 lat łagru w Norylsku...

W dalszym ciągu nikt nie wiedział, co z nami będzie. Wieści otrzymane z Wilna głosiły, że panują już tam sowiecko-litewskie porządki, mówiono o repatriacji Polaków do Polski, że są aresztowania ludzi powiązanych z Armią Krajową”.

17 lipca 1944 r. w miejscowości B o g u s z e NKWD rozbroiło i aresztowało prawie całe dowództwo wileńskiego AK i po różnych perypetiach osadziło w więzieniu na Łukiszkach, dobrze mi znanych za czasów litewskich.

W połowie sierpnia zaczął się ruch w więzieniu, wywoływanie nazwisk, otwieranie i zamykanie cel, krzyki. Po kilkunastu minutach otworzyła się i nasza cela, strażnik wywołał moje nazwisko, Czeška Plejewskiego i kilku innych, rozkazując: „sobirajties’ z wieszczami”. Wyszliśmy na korytarz, gdzie już była spora grupka, a między innymi mój dowódca 36 Brygady „Żejmiana” kpt. Witold Kiewlicz ps. „Wujek”. Ciągłe wywoływano nowe nazwiska i tak zebrało się nas około setki oficerów, podchorążych, podoficerów i żołnierzy. Jeszcze raz odczytano nazwiska, uformowano kolumnę pilnie strzeżoną przez kilkudziesięciu enkawudzistów i ruszyliśmy w nieznaną. Było to straszne, bo nie wiedzieliśmy, dokąd i po co nas prowadzą, a los pomordowanych w Katyniu naszych oficerów przez NKWD, nam wilniukom, był dobrze znany. Przemarsz

przez Wilno trwał może z godzinę, aż poznaliśmy kierunek Wilno – Miedniki. Spodziewaliśmy się najgorszego. W ponurym nastroju, poganiani przez strażników, szliśmy w milczeniu. Trzymałem się razem z Cześkiem Plejewskim, znaliśmy się jeszcze z Gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta w Wilnie, obaj byliśmy adiutantami dowódców brygad. Czesiek w 2 Brygadzie, a ja w 36. Po dwóch, a może trzech godzinach marszu, trudno było to nazwać marszem, a raczej wleczeniem się, zarządzono postój. Nasze organizmy wycieńczone prawie miesięcznym wiktym więziennym odmawiały posłuszeństwa. Dowódca kolumny ogłosił nam, iż każda próba ucieczki będzie surowa karana i odpowiadać będzie nie tylko uciekinier, ale i jego rodzina. Odpowiedzialność zbiorowa to wspaniała zdobycz sowiecka. Nie zauważyłem, czy konwojował nas jakiś pojazd czy oddział konny. Ruszyliśmy dalej i po wielu godzinach zobaczyliśmy zamek w Miednikach. Wprowadzono nas do olbrzymiej stodoły, czy raczej wozowni i kazano odpoczywać. Po kilku chwilach poznaliśmy ślady bytności w tym pomieszczeniu naszych żołnierzy. Kilka napisów, jakieś skrawki plakatu, komunikat, białoczerwone opaski, orzełek, parę guzików z orzełkami i inne drobiazgi świadczące o przebywaniu dużej ilości wojska. Ktoś znalazł ulotkę w języku polskim, nawołującą do wstąpienia do Wojska Polskiego – był to niezbity dowód, że przebywali tu nasi chłopcy. Nie znaleźliśmy ich losu i przypuszczaliśmy, iż wstąpili do armii, bo rozmowy o naszym udziale w dalszej walce prowadził gen. „Wilk” ze sztabem Armii Czerwonej. Muszę dodać, że z rozkazu generała przestaliśmy nazywać się 36 Brygadą „Żejmiana”, a staliśmy się 3 batalionem 86 pułku piechoty. Ulotka ta podniosła nas na duchu, bo sądziliśmy o pomyślnym zakończeniu rozmów z naszymi „aliantami”.

Prawda była okrutna – rozmowy o przekształceniu nas w regularne wojsko skończyły się aresztowaniem generała, naszym rozbrojeniem i uwięzieniem. Nadeszła noc. Z resztek słomy, a raczej sieczki, zrobiliśmy postanie, a że byliśmy solidnie zmęczeni zasnęliśmy natychmiast. Pobudka!!! Poganiani przez enkawudzistów, ubieramy się pośpiesznie, przy ciągłych wrzaskach eskorty, chyba bez jedzenia, formujemy kolumny i ruszamy. Zaskoczenie! Ruszamy w kierunku Wilna, ale już prawie wszystko wiemy o losie przebywających tu przed nami żołnierzy. Wiadomości te przekazują nam krzykiem idący daleko od drogi dziewczęta i chłopcy. Eskorta przegania ich, strasząc użyciem broni. Nasza dzielna młodzież nie zważa na to. Dowiadujemy się od nich, że nasi żołnierze byli namawiani przez mjr Sorokę, noszącego polski mundur, którego polszczyzna wywoływała salwy śmiechu, a próby nakłaniania do wstąpienia do wojska wyśmiano i wygwizdano. Cieszyła nas postawa naszych żołnierzy, ale prysła nadzieja na dalszą walkę z Niemcami. Już nie pamiętam, w jaki sposób wracaliśmy do Wilna, ale na którymś postoju przybyło kilka rodzin, zawiadomionych przez mieszkańców Miednik, które dokładnie opowiedziały o losach naszych żołnierzy.

I znowu więzienna cela. Pobyt tam był jednak krótki, bo 1 września 1944 r., w rocznicę wybuchu wojny, załadowano nas do bydłowych wagonów i wywieziono do spektaktru nr 178 w R i a z a n i u, gdzie stanowiliśmy „sastaw trzeciej rot”, a później D i a g i l e w o. Całą prawdę o Miednikach i o losie naszych żołnierzy dowiedzieliśmy się od oficerów wyłapanych spośród żołnierzy w Kałudze i dołączonych do naszej 3 Kompanii AK w obozie w Diagilewie k/Riazania”.

Kiena. Kiena to wieś i stacja kolejowa na linii Wilno – Mołodeczno.

23 kwietnia 1944 r. miała tu miejsce udana akcja bojowa oddziałów Uderzeniowego Batalionu Kadrowego – III batalionu 77 pp AK Okręgu Nowogródzkiego. Zdobyto znaczną ilość uzbrojenia: 1 lkm, 2 rkm-y, dwadzieścia kilka karabinów, pistolet maszynowy, sporo broni krótkiej, granaty i amunicję, w które dozbrojono 2 kompanię i pluton trzeciej. Akcja przeprowadzona została bez strat własnych, a ludność miejscowa nie doznała żadnych represji[11]. Trzy miesiące później, tj. 29 lipca 1944 r., z tej stacji wywieziono internowanych w Miednikach żołnierzy Wileńskiego i Nowogródzkiego Okręgów AK.

Kaługa. Pierwsze wzmianki o Kałudze można znaleźć w pismach Wielkiego Księcia Litwy Olgierda, w których w 1371 r. nadmienia, że miasto jest czasowo w rękach Litwy[12].

W XIV w. Kaługa wchodziła w skład udzielnego księstwa Możajskiego. Kroniki wskazują na kilkakrotne zmiany miejsca położenia miasta, wskutek wrogich napaści, pożarów i epidemii. Stanowiło ono pograniczny bastion dla obrony południowo-zachodnich granic Starej Rusi przed Litwinami, Polakami, a później krymskimi Tatarami. W XV w., za Wasyla Ciemnego (syna Iwana III), Kaługa była częścią składową Księstwa Moskiewskiego. Iwan III przekazał miasto swemu synowi Simeonowi i w okresie 13 lat (1505-1518) była ona niezależna od Moskwy, stanowiąc samodzielne, udzielne księstwo kałuskie. W XVI w. do Kaługi przybył Iwan Groźny jako głównodowodzący wojskami w pochodzie przeciw Tatarom. W pocz. XVII w. Kaługa była centrum powstania chłopskiego pod przywództwem Iwana Bołotnikowa. W latach

1609-1610 Dymitr Samozwaniec II grał tu rolę „kałuskiego carewicza”. Zachowane komnaty z XVII w. błędnie nazywane są „domem Maryny Mniszchówny”. Podmiejski las sosnowy, tzw. Tuszyński Bór, wskazuje się jako miejsce morderstwa Samozwańca przez jego poplecznika, księcia nogajskiego Apastuna Urysowa, po nieudanej próbie opanowania Moskwy przez Samozwańca. Później Kaługa połączyła się w walce z interwentami. Miasto padało często pastwą pożarów. W 1622 r. pożar strawił starą warownię, której już nie odbudowano, wzniesiono nową, w innym miejscu. W drugiej połowie XVII w. powstał kałuski Kreml z dwunastoma wieżami, spłonął w końcu tegoż wieku i nie został już odbudowany. Podczas kampanii napoleońskiej w 1812 r. Kaługa była głównym ośrodkiem formowania rosyjskiej armii i jej zaopatrzenia. W czasach carskich Kaługa była miejscem zsyłki. Na rozkaz Repnina[13], ambasadora Rosji w Warszawie (1764-69), aresztowano i wywieziono do Kaługi czterech posłów Sejmu polskiego: biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka, biskupa kijowskiego Józefa Załuskiego, hetmana polnego koronnego Wacława Rzewuskiego i jego syna Seweryna, który później związał się z Branickim, a w 1792 r. przystąpił do konfederacji targowickiej. Później byli tu zesłani: chan Szagin Girej (1786-87), sułtan Małej Kirgiskiej Ordy – Arigazi-Abduł-Azis (po 10 latach tutaj zmarł), działacze komunistyczni A.W. Łunaczarski, Dobrochotow i inni. W latach 1914-1915 był tu zesłany założyciel komunistycznej partii Turcji – Mustafa Subchi.

W Kałudze od dawna mieszkało dużo Polaków. Była to emigracja, służba wojskowa, urzędnicy przeniesieni za poglądy „wolnościowe”, nie mówiąc o setkach zesłańców – więźniów i żyjących tu „na wolnej stopie” po powstaniach 1830 i 1861 roku. Niektórzy z nich pozostali w Kałudze na stałe. Do dzisiaj można spotkać wśród kałużan takie nazwiska, jak: Griniewscy, Łukomscy, Kossakowscy, Koncewicze, Mackiewicz, Jaworowscy, Jastrzębscy itd. Polska społeczność kupiła dom w zaułku Kukowym. Lew Gryniowski opracował projekt przebudowy i jeszcze przed I wojną światową otworzono kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem św. Jerzego. Dla podkreślenia polskiego charakteru świątyni w głównym ołtarzu umieszczono kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. W okresie sowieckiej Rosji kościół zamknięto, umieszczając w jego pomieszczeniach składy bazy przedsiębiorstwa „Rosgalanteria”. Ale już w 1997 r. w Kałudze odbyła się konsekracja ołtarza w drewnianym kościółku, gdzie posługę duszpasterską niosą polscy franciszkanie[14].

361 zapasowy pułk piechoty. Po przyjeździe do Kaługi wcielono nas do 361 zapasowego pułku piechoty, wchodzącego w skład 31 Dywizji Moskiewskiej Armii Czerwonej.

Do Kaługi wieziono nas w dwóch transportach kolejowych, każdy po około 50-60 wagonów. Do wagonów pulmanowskich (czterooosiowych) ładowano po 90 osób, do dwuosiowych po 45 osób. A więc w jednym transporcie musiało jechać od 2.500 do 3.000 ludzi.

Jedynym miarodajnym źródłem, pozwalającym na dokładne odtworzenie struktury i kadry 361 zapasowego pułku piechoty, mogą być wojskowe archiwa Armii Czerwonej. Dopóki są one niedostępne, trzeba opierać się na innych źródłach. Dr Henryk Piskunowicz, który dotarł do niektórych sowieckich źródeł dotyczących likwidacji wileńskiej Armii Krajowej w okresie po 17 lipca 1944, ustalił, że rozbrajaniem zajmował się 86 pułk wojsk pogranicznych, dysponujący czołgami i samolotami. Do Miednik trafiło 4-6 tysięcy żołnierzy, a od 1,5

do 2 tys. żołnierzy uniknęło rozbrojenia. Większość z nich podjęła walkę z sowietami jako samoobrona Armii Krajowej. Z raportu gen. NKGB Iwana Sierowa i gen. armii Iwana Czerniachowskiego, przedłożonego Stalinowi, wynika, że rozbrojono ponad 6.000 ludzi (w tym 650 oficerów i podoficerów), z tego – według meldunku z 20.07.44 r. – około 4.000 umieszczono w obozie miednickim, reszta była – jak określono – w „drodze”.

Budynki koszarowe były rozmieszczone w kilku oddzielonych od siebie kompleksach, na północno-wschodnich peryferiach miasta. Stare „czerwone” koszary (z czerwonej cegły) mieściły dowództwo pułku i dwa bataliony w dużym kilkupiętrowym budynku. Na honorowym miejscu wystawiony został sztandar pułkowy, któremu przechodzący żołnierze oddawali honory. Na placu apelowym z ważnych powodów gromadzono cały pułk. „Białe koszary”, składające się z kilku długich parterowych budynków, pomalowanych na biało, były to wcześniej prawdopodobnie garaże jednostki zmotoryzowanej lub stajnie. Od nich było niedaleko na poligon pułkowy. Zlokalizowano tu też parę batalionów. Jeden, tzw. „zabużański”, mieścił się w budynku poszkolnym, drewnianym, parterowym, zbudowanym w podkowę o ciasnym podwórzu. Brak było miejsca na kuchnię. Żołnierze batalionu „zabużańskiego” chodzili więc do jadalni ogólnej, wydającej posiłki pod gołym niebem. Duży murowany budynek, położony między

„czerwonymi” i „białymi” koszarami, mieścił tzw. „sanczast”. Zgromadzono tu chorych, głównie na dyzenterię i świerzb. Żołnierze ci odbywali normalne ćwiczenia w złagodzonej formie i zastosowaniem diety (nie otrzymywali surowych ogórków), chorzy na biegunkę mogli w czasie ćwiczeń oddać się „za potrzebą”.

Ćwiczenia terenowe cały pułk odbywał na pobliskim, rozległym poligonie. Wymarsz do zajęć miał specjalną oprawę. Dowódca pułku dokonywał osobiście przeglądu całości, a potem poszczególne pododdziały realizowały swój program szkolenia.

Relacja Remigiusza Szczęsnowicza:

Na początku września ustawieni zostaliśmy w ogromny czworobok na pobliskich błoniach. W środku zbudowano małe podwyższenie, na które wkroczył podpułkownik gwardii Jermołow, dowódca 361 zapasowego pułku piechoty. Już poprzednio, z opowiadań naszych sierżantów, wiedzieliśmy, że jest on jednym z niewielu bohaterów pułku, który dwa lata temu uległ zagładzie. Było to pod Stalingradem. Kiedy 361 pułk miał wzmocnić obronę miasta i znalazł się na przeprawie, hitlerowskie lotnictwo przeprowadziło zmasowany atak, rozbijając tę jednostkę doszczętnie.

Kilkunastu oficerów, podoficerów i szeregowców przedostało się na piaszczystą łachę, wynosząc z pogromu sztandar pułku. To, według radzieckich regulaminów wojskowych, znaczyło, że pułk istnieje, a po uzupełnieniu kadrowym znów pójdzie w bój. Nie wiem, dlaczego przez blisko dwa i pół roku tego uzupełnienia nie było. Kaługa, zajęta przez wojska niemieckie na początku grudnia 1941 roku, już w końcu stycznia 1942 r. była odbita. Może to sprawa zniszczenia koszar, może leczenie rannych żołnierzy i oficerów przeciągało się w czasie, fakt, że dopiero my, rozbrojeni żołnierze Armii Krajowej z Wileńszczyzny, mieliśmy przywrócić do życia 361 zapasowy pułk piechoty Armii Czerwonej.

A teraz oto, na małym podwyższeniu, stał dowódca pułku, a obok niego ów ocalony na wołżańskiej łasze sztandar. Podpułkownik Jermołow był niskim, szczupłym mężczyzną, ale nienagannie umundurowany, obwieszony medalami i odznakami prezentował się dostojnie i władczym spojrzeniem spozierał na szeregi tych dziwnych poborowych.

Dowódcy oddziałów krzyknęli „Smirno!”, a potem dali „spocznij”, a pułkownik przemówił.

– Towarzysze poborowi! – krzyknął, unosząc się lekko na palcach, a mnie się zdawało, że po tych „towarzyszach” nasze szeregi zgodnie zachichotały, czy też westchnęły.

– ... Przyszła pora – ciągnął pułkownik Jermołow, nie zrażony tym szmerem – że z gromady oberwańców i niedyscyplinowanej bandy przekształcicie się w żołnierzy naszej wspaniałej, niezwykłej armii...

Jermołow mówił oczywiście po rosyjsku, nie wszystko rozumieliśmy dokładnie, ale tak naprawdę nikt nie słuchał jego przemowy, myśląc raczej o tym, co będzie na obiad.

A nasz dowódca, zupełnie poważnie, zapowiadał utrzymanie „doskonałego umundurowania i uzbrojenia, intensywne szkolenie i aktywny udział naszego pułku w ostatecznym rozgromieniu faszystowskiego wroga”. Nie wspominał ani słowem o naszej akowskiej przeszłości, nie mówił nic o armii Berlinga i Polsce, co znaczyło, że jesteście sowieckimi obywatelami przeznaczonymi do walki w sowieckich mundurach o to wymarzone i oczekiwane zwycięstwo nad Hitlerem.

I zapewne w tym momencie pułkownik widział siebie na czele tego wojska, marzył o tym, aby zmasać stalingradzką klęskę i powieść nas do zwycięskiego szturm na Berlin.

A nam chciało się jeść i płakać[15].

Tego wątku naszego losu autorowi nie udało się zweryfikować, być może niedostępne dziś archiwa tej jednostki odkryją kiedyś prawdziwe zamysły naszych mocodawców.

* * *

Po odmowie złożenia przysięgi w pułku zaszły radykalne zmiany. Część naszych żołnierzy została zdemobilizowana: puszczono do domu roczniki starsze – urodzonych powyżej 1900 r. i młodszych od 1928 r. oraz wszystkie kobiety, których było około 50.

Zaczęto zatrudniać nas do różnych prac, zarówno na rzecz jednostki, jak i na zewnątrz. Po wywiezieniu do prac leśnych pod Moskwę przez jakiś czas nieduża grupa naszych pozostała w koszarach w Kałudze. Ich potem też dowieziono do lasu. W lesie utworzono cztery robocze bataliony, które rozmieszczono w lasach podmoskiewskich w rejonie Korobowskim, wzdłuż linii kolejowej, którą wywożono eksploatowane drewno.

I batalion – 27 km – d-ca mjr Sas. Adres: Moskowskaja obłast', Korobowskij rejon, wieś Malejcha, poczta polowa 36990 „Ż”.

II batalion – 47 km – d-ca kpt. Siewiorstow; w pobliżu wsi: Prudy, Obuchowo i Charłampajewo; najdalej wysunięty.

III batalion – 32 km – tworzyli go żołnierze pochodzący z terenów Polski centralnej, stąd zwano go „warszawskim”, w Średniakowie.

IV batalion – 39 km – opodal, jak mówiono, za rzeczką, około III bat. Adres: Moskowskaja obłast', Korobowskij rejon, Średniakowo, pocz. pol. 36990 F.

Struktura tych batalionów była inna, miały więcej kompanii (tzw. „rot”) – 6 i więcej. Dużej zmianie uległa też obsada kadrowa pododdziałów. Dowódcami plutonów byli sowieccy podoficerowie, na ich zastępców („pomkomwzvod”) wyznaczeni zostali nasi polscy koledzy.

Wszystkie bataliony same musiały przygotować sobie pomieszczenia w ziemiankach. Inne pomieszczenia jak ambulatorium, składy magazynowe były podobnymi budowlami. Wyjątkowo kuchnie miały charakter „nadziemny”, zbudowane były z bierwion-okrągłaków.

Wspomnieć warto o jeszcze jednym ciekawym przypadku. Już w czasie, kiedy pracowaliśmy w lesie, dołączono do naszych batalionów Białorusinów, mieszkańców Wileńszczyzny, którzy – podobnie jak my – odmówili złożenia sowieckiej przysięgi, twierdząc, że są obywatelami polskimi. Jeden taki pluton naszych współobywateli był w I batalionie. Trzymali się oni odrębnie i trochę inaczej się zachowywali. Nasi chłopcy niepotrzebnie ironicznie przezywali ich „amerykańcami”. Kiedy zaistniała możliwość powrotu do Polski, oni z niej nie skorzystali, chcieli wrócić do swoich domostw i rodzin na Kresach. To jeszcze jeden przykład tragicznych losów obywateli II Rzeczypospolitej.

Kadra pułku. Dowódcą pułku był pułkownik gwardii Jermołow (wg Tadeusza Ginki – Jarmułow). Postać ciekawa, godna szerszego ujęcia. We wspomnieniach nasi żołnierze oceniali go jako doświadczonego i dobrego dowódcę wojskowego. Był wymagający nie tylko w stosunku do nas, ale przede wszystkim wobec sowieckiej kadry pułkowej. Wyczuwaliśmy jego intencje – chciał jak najlepiej przygotować nas do walki z wrogiem. Dzielił nas, obowiązujący w armii sowieckiej, olbrzymi dystans między wyższym oficerem a szeregowym. Z dowódcą pułku wiąże się przypadek, jaki miał miejsce w czasie jego inspekcji w pomieszczeniu plutonu naszych lekarzy.

„Dniewalnym” – służbowym był tego dnia „Topór” – Czesław Budrewicz. Jako oznakę władzy miał przy pasie bagnet bez pochwy („sztyk”), zawieszony na sznurku. Wchodzący poczet „kamandirów” z dowódcą pułku powitał jak należy, salutując służbowo i raportując: «Dniewalny 2-wo bataliona bajec Budrewicz». Pułkownik odwrócił się na pięcie i idąc korytarzem zaglądał do kątów i szaf kontrolując czystość. Tego dnia było wyjątkowo czysto i nie można było do niczego się przyczepić, toteż kazał odsunąć szafę i pociągnawszy palcem po gzymsie ściany surowo ściągnął brwi: «Dniewalny, a czto eto?» – «Griaż – tawariszcz padpułkownik». «Nu wot, griaż, eto możet byt' w waszej polskoj armii, no w naszej Krasnoj Armii griazi niet» – pociągnął palcem pod nosem zaczerwionego ze złości Czeška. I tu stała się rzecz niespotykana. «Topór» bez słowa zrobił przepisowe w tył zwrot i defiladowym twardym krokiem opuścił towarzystwo. Reakcja była piorunująca! Inspekcja przerwana, Czesiek za niesubordynację został odprowadzony do aresztu. Następnego dnia został wezwany przed oblicze majora dla złożenia zeznań. Tu sprawę postawił jasno: podpułkownik źle się wyraził o polskiej armii, to armia sojusznicza, obraził w ten sposób mnie jako Polaka i jako żołnierza sojuszniczej armii. Nie trzeba było innych usprawiedliwień, bez słowa został zwolniony z aresztu. Stał się bohaterem pułku! Postawa «Topora», zdaniem władz politycznych, nie mogła być reakcją zwykłego żołnierza, tylko oficera. Rozpoczęto penetrację [...] szukając oficerów. Coraz to kogoś proszono do osobnego domku, gdzie urzędował oficer NKWD, na przesłuchanie”[16].

Cała kadra oficerska i podoficerska była sowiecka, stanowiła ona około 10 % naszego stanu.

Dowódcą plutonu był młodszy oficer, dowódcą drużyny podoficer („sierżant”). Poza kadrą liniową, już od kompanii, byli jeszcze oficerowie polityczni („politrucy”).

Nie sposób imiennie przedstawić całej kadry. We wspomnieniach najczęściej przewijają się nazwiska lub przezwiska tych, którzy w jakiś sposób odznaczyli się – pozytywnie lub negatywnie. Najwięcej krytycznych uwag wysuwano pod adresem „politruków”, którzy starali się wmówić nam sowiecką przynależność i wzbudzać szacunek do sowieckiej ojczyzny.

W opracowaniu jednego z naszych kolegów[17] jest spory fragment poświęcony st. lej. Gusiewowi, który był zastępcą dowódcy ds. politycznych III batalionu:

„Typowa szczupła twarz inteligenta rosyjskiego. Rysy ostre, wyraz spokojny, oczy niebieskie, przenikliwe, z pewną dozą dobroduszości. Z taką samą dozą dobroduszości przemawia, używając pryncypialnych argumentów, ogólnie uznawanych, unika szczegółów. Na kłopotliwe pytania daje odpowiedzi wymijające, nie patrząc na pytającego, jakby dając do zrozumienia, że odpowiedź należy się wszystkim obecnym”.

Gusiew wyjaśniał, że po odbyciu szkolenia wojskowego pójdziemy na front, a może nawet skierowani będziemy do polskiego wojska. Teraz musimy się uczyć języka rosyjskiego, bo nie sposób, aby w Armii Czerwonej dla każdej z 16 republik był osobny język (sowiecka sofistyka).

Pomocnikiem Gusiewa był st. sierżant, który przed zajęciami często czytał komunikaty radiowe w formie skróconej. Chwalił się, że jest ważniejszy od Gusiewa. Być może był agentem NKWD.

W mojej pamięci, już z okresu pracy w lesie, utkwił obraz innego „politruka” – mł. lej. Skody, Żyda z polskich terenów. Po odczytaniu nam specjalnego rozkazu Stalina z okazji 1 maja 1945 r. kazał mi go streścić. Przepisowo wstałem (zazwyczaj na zajęciach politycznych siedzieliśmy na ziemi, po turecku) i odpowiedziałem mu po polsku. Zdumiony zapytał, dlaczego nie po rosyjsku. Odpowiedziałem ze spokojem, że nie umiem. On: ale odpowiadasz prawidłowo. Ja mu na to: ja rozumiem, ale nie umiem mówić po rosyjsku. Nie poniosłem jednak żadnej kary. Trzeba przyznać, że nasz „politruk” był człowiekiem bardzo łagodnym i wyrozumiałym, nie dopatrywał się w mojej odpowiedzi złośliwości.

Podobnych historii można by przytoczyć więcej. Wśród „politruków” byli różni ludzie, o różnym poziomie inteligencji i różnych temperamentach. Niektórzy byli bardzo ludzcy. Ale były i przypadki drastyczne, np. znęcania się nad poszczególnymi żołnierzami. Jeden z takich przypadków opisują w swoich wspomnieniach Tadeusz Ginko i Wiktor Iwanowski.

Zdarzały się przypadki wyjątkowo dziwnego i zaskakującego zachowania sowieckich oficerów. W czasie zabawy, w klubowej sali, gdzie zaproszono miejscowych mieszkańców i pracujących okresowo w okolicy moskwiczan, do jednego z naszych chłopaków – Janka Karyszkowskiego – podszedł sowiecki oficer i poprosił, aby zostawił mu popalić papierosa, którym poczęstował go uczestniczący w zabawie moskwiczanin. Naturalnie ten nie odmówił, ale nie mógł zrozumieć, jak przełożony – oficer – mógł prosić swojego szeregowca o resztę papierosa. Trzeba tu nadmienić, że w tamtym czasie prośba do przygodnej, nieznajomej osoby o papierosa była czymś całkiem normalnym, dla nas jednak, mimo trudnych warunków życia, był nie do przyjęcia brak poczucia własnej godności. W naszym mniemaniu nasi Rosjanie w potocznym życiu nie grzeszyli kulturą bycia.

Jan Karyszkowski przytacza też inne zdarzenie. Jednemu z naszych chłopaków udało się zachować zegarek. Którejś nocy poczuł on, jak ktoś manipuluje przy jego zegarku na ręce. Okazało się, że sowiecki sierżant usiłował nożem odciąć zegarek od paska. Czujny sen właściciela zegarka zmusił pechowego sierżanta do wycofania się bez upragnionej zdobyczy.

Sowiecka kadra towarzyszyła nam aż do granic polskich, do chwili naszego powrotu do kraju w 1946 r. Opuścili nasze wagony na samej granicy, za stacją Żabinka. Zaraz po przekroczeniu granicy przejęły nas wojska Urzędu Bezpieczeństwa.

Jestem przekonany o istnieniu wykazu składu przynajmniej podstawowej kadry pułku w archiwach wojskowych z okresu II wojny światowej. Na razie nie są one nam dostępne, dlatego podaję tutaj tylko nazwiska osób wymienianych w publikowanych wspomnieniach:

mjr Danilenko – z-ca dowódcy pułku do spraw politycznych, był później w II batalionie,
kpt. Bułhakow – z-ca dowódcy pułku do spraw liniowych; we wspomnieniach W. Iwanowskiego był z-cą dowódcy III bat. ds. politycznych,

kpt. Sas – d-ca I batalionu roboczego w lesie, na 27 kilometrze,

kpt. Siewiorstow – d-ca II batalionu roboczego w lesie, na 47 kilometrze,

lej. Gawrygin – był pogodnym i pełnym humoru młodym człowiekiem, ale nieraz zdarzało mu się „wychadno” (wolny od pracy dzień) krążyć w okolicy obozu i wyłapywać chłopaków, którzy „urwali się” poza granice obozu. Zabierał im pasy i prowadził całą grupę na „gaubwachtę” (areszt w ponurej ziemiance). Pod samym aresztem rzucał im pasy i ze śmiechem dawał komendę: „A nuka, do ziemlanek biegom!”,

st. lej. Gusiew – oficer polityczny w Kałudze,

st. lej. Pażydajew – z-ca kombata, tłumił bunty niepokornych,

st. lej. Kasałapowa – lekarka,

st. lej. Markowna Maria – lekarka,

lej. Michajłow – d-ca 8. roty w Kałudze,

lej. Krysin – sympatyczny i poczciwy; pozostało w pamięci, kiedy to jeden z naszych chłopców kupione od miejscowej dziewczynki mleko zabrał z butelką. Dziecko zalewało się rzewnymi łzami, bo bało się wrócić do domu. Krysin pomógł odszukać nieszczęsną butelkę, którą oddano małej, a ta, rozmazując piąstką zasychające łzy, szczęśliwa pobiegła do domu. Butelka dla tamtejszych ludzi była widocznie wielkim skarbem,

lej. Kudryn – „komrot” (d-ca kompanii) w I batalionie,

lej. Mukin – według niektórych relacji okrutnik i sadysta, miał zastrzelić naszego żołnierza w II roboczym bat. przy próbie ucieczki i został za to przeniesiony z naszej jednostki, inni przypisują ten przypadek innemu oficerowi,

mł. lej. Angielow – sympatyczny dwudziestoparoletni Ukrainiec, wysoki, o śniadej twarzy, z czarnym wąsikiem. Zawsze pogodny, wesoły, odnosił się do nas bardzo życzliwie,

mł. lej. Mierkułow – d-ca plutonu w II batalionie, starszy wiekiem, oficer frontowy,

mł. lej. Skoda – oficer polityczny w I batalionie roboczym, Żyd pochodzący z polskich terenów,

starszyna Chain – starszy wiekiem Tatar w plutonie naszych lekarzy,

starszyna Dobruckij – członek egzekutywy, komórki partyjnej pułku w aparacie polityczno-wychowawczym,
starszyna Sadawoj – szef 4 roty III bat. rob., młody Ukrainiec – zaproszony na święto Wielkanocy, poczęstowany przez naszych chłopców, między innymi gdzieś zdobytą wódką, wykrzykiwał z entuzjazmem: „Ach, charoszaja polska Pascha”!

st. sierżant Jermakow – pochodził z Moskwy, chorował na serce,

st. sierżant Buryn – d-ca plutonu w I batalionie,

st. sierżant Abaszkin – w II batalionie, ostatnio dowodził drużyną obsługującą batpralnię,

sierżant Mirsajtow – szef kompanii (roty) w Kałudze,

sierżant Ażubajew – w Kałudze był w „sanbacie”, z pochodzenia Kazach lub innej narodowości z południowych, azjatyckich republik Związku, chodził z nami podkopywać ziemniaki z kolchozowego pola, które gotowaliśmy jako dodatkowy posiłek,

sierżant Kinzigułow – d-ca plutonu w III roboczym batalionie, Tatar, służbista, bezwzględny wobec naszych chłopców,

sierżant Łamanow – zastąpił Kinzigułowa, był ludzki, opiekuńczy i lubiany przez żołnierzy III roboczego batalionu,

sierżant Kopczuk – d-ca plutonu w kompanii, która pozostała w Kałudze, Ukrainiec.

Służba zdrowia. Do Kaługi razem z nami przywieziono internowaną w Miednikach służbę zdrowia[18] – około 20 osób. Należeli do niej lekarze, między innymi: dr Jan Brzozowski, dr Mieczysław Pimpicki, dr Jan Rymian, dr Tadeusz Ginko, dr Eugeniusz Waszczuk, studenci medycyny i doświadczeni sanitariusze, jak: Bogdan Buchowski, Kajetan Kaczanowski, Jan Mańkowski, Stanisław Pietkiel, Witold Tymiński. Wśród nich znaleźli się również oficerowie: d-ca 24 Brygady Braśławskiej Kazimierz Krauze-Wawrzecki i ppor. Czesław Budrewicz. Stanowili oni odrębny pluton. Mieli szczególne przywileje – nie chodzili na zajęcia rekruckie, mogli zatrzymywać swoje buty, przyrządy lekarskie i medykamenty, pozwolono im wysyłać

paczki do domu, jak i otrzymywać. Ku zdziwieniu młodszej kadry sowieckiej nie ostrzyżono ich „na zero”, tak jak pozostałych żołnierzy. Natomiast wyżywienie mieli takie jak my, tzn. odczuwali silny niedobór jedzenia. Dlatego kradzieże były na porządku dziennym. Kiedy nadarzył się dyżur w kuchni lub w magazynie żywnościowym, korzystano z każdej nieuwagi nadzorujących. Oczy lustrowały półki, beczki, worki i zawsze udawało się coś „zwydzić”. Największą zdobycz stanowił chleb, nosiło się go do kuchni w workach, pod nadzorem „sierżanta”, często w towarzystwie jeszcze dwóch „bojców”. Mimo to w niewyjaśniony sposób „ginęły” drogocenne bochenki. Tajemnica polegała na tym, że bochenek chleba chowano do kubła z pomyjami, który stawiano za drzwiami kuchni. Potem „nariad” (dyżurny) wyjmował bochenek, obkrawało się skórkę i dzieliło między „organizatorów”: uczestnicy czuli się całkowicie rozgrzeszeni z tego sposobu radzenia sobie.

Na początku września „kryzys przysięgowy” przyczynił się do zmiany decyzji d-cy pułku w sprawie plutonu lekarzy – zabrano im przyrządy lekarskie, medykamenty i zaczęto zatrudniać przy różnych pracach, jak: naprawianie dachów, noszenie cegieł z miasta, szyn kolejowych itd. Aż wreszcie na Boże Narodzenie 1944 r. zostali skierowani do roboczych batalionów pracujących już od września w lesie. Tam przydzielano ich do poszczególnych batalionów. Do I batalionu skierowano Witka Tymińskiego, do II – Jana Brzozowskiego i Jana Mańkowskiego, do III – Eugeniusza Waszczuka, do IV – Mieczysława Pimpickiego .

W lesie czynności lekarskie spełniał głównie personel sowiecki, który stanowiły prawie same kobiety. Każda rota miała swego instruktora sanitarnego, którego zadaniem był tzw. „przeгляд na W”: sprawdzenie, czy ktoś nie ma wszy. W takim przypadku delikwent kierowany był do łaźni i odswadzania odzieży. Instruktor rano przyjmował chorych, prowadził ich do lekarza. Najczęściej występujące zachorowania to biegunka, dyzenteria, która w ostrej formie przechodziła w krwawą oraz świerzb. Chorych zabierano do izolatora. Kurowanie świerzbu polegało na smarowaniu roztworem dziegciu z siarką. Smarowano całe ciało przez okres 10 dni, następnie kuracjusze szli do łaźni, po której oceniano wynik terapii. Jeżeli ranki były zaschnięte, delikwent mógł wrócić do swego plutonu. Jeżeli jeszcze krwawiły, kurację kontynuowano. W bardzo poważnych przypadkach chorych kierowano do szpitala. Był on urządzony skromnie, ale czysto i z dobrym wyżywieniem. Każdy taki pobyt przynosił błogosławioną ulgę w naszym ciężkim życiu.

Ja również miałem to szczęście. Przebywałem przez krótki czas w kałuskim szpitalu wojskowym. Miało to miejsce pod koniec listopada i na początku grudnia 1944 r. Zresztą wszyscy korzystający z tej instytucji chwalili ją. Np. W. Iwanowski wspomina: „Przed wywiezieniem nas do lasu leżałem w szpitalu wojskowym w Kałudze. Właściwie było mi tam całkiem nieźle [...]. Pobyt w szpitalu można nazwać sielanką”[19].

Los większości chorych nie był jednak tak sielankowy. Oto fragment relacji **Zbigniewa Roguskiego**[20]:

„Na twarzy dostałem liszajów, cała była pokryta strupami. Zachorowałem na nadkwasotę. Ślina zbierała się w ustach i nie mogłem tego powstrzymać, szło to z żołądka i w końcu wymiotowałem. Poszedłem do «san-czasti», lekarka st. lej. Kasalapowa stwierdziła, że jestem markierantem i kazała iść do pracy. Na początku lutego 1945 r. przyszła nowa lekarka – st. lej. Maria Markowna. Udałem się do niej. Widocznie musiałem być już bardzo wycieńczony, gdyż od razu wyznaczyła mi funkcję «dniewalnego», najpierw w «san-czasti», a po jakimś czasie w ziemiance plutonu. Teraz było trochę lżej. Wprawdzie jedzenie dalej było takie samo, ale nie musiałem iść do wyrębu lasu.

W tym czasie pojawiła się w obozie jakaś dziwna epidemia. Niektórzy po zjedzeniu obiadu czy kolacji dostawali silnej gorączki, tracili przytomność, po oddaniu moczu i kału konali. Zdarzyło się kilkanaście takich wypadków. Zanim czasem zdążyliśmy zawiadomić lekarza, było już po wszystkim. Jako „dniewalny” musiałem zabierać zwłoki, przenosić je do pustej ziemianki. Nieraz prosiłem kolegów o pomoc, ale chętnych nie było. Brałem więc nieboszczyka pod pachę, kładłem sobie na biodro i wynosiłem go. W ten sposób zmarło kilkunastu naszych chłopców.

Po miesiącu znowu zmieniła się lekarka. Nowa, z pochodzenia Tatarka, mł. lej. (nazwiska już nie pamiętam), skierowała mnie ponownie do pracy w lesie. Nazywaliśmy ją «Osa», ponieważ nie była opryskliwa i dawała zwolnienia z pracy. Walonki miałem stare, z dziurami na wylot, więc odmroziłem duże palce u nóg. Wyglądały galaretowato, ostrożnie owijałem je onucami, aby nie zerwać paznokci. Lekarstw nie było. Jedynym lekarstwem na wszystkie dolegliwości była «margancowka» (calium hypermanganicum). Smarowano nią odmrożenia, wrzody, stłuczenia, bóle krzyża itp. – i do roboty. Powszechną plagą były owrzodzenia. Mnie też one nie ominęły. Wyskakiwały w różnych miejscach ciała. Jeden wyrósł mi na ramieniu. Kiedy raz w nocy zerwano nas do ładunku wagonów, powiedziałem sierżantowi, że nie jestem w stanie nosić kłoców. Ponieważ odmówiłem wykonania rozkazu, dał mi trzy dni aresztu na tzw. «gaubtwachcie».

Wypada wspomnieć, że w takich przypadkach z wielką pomocą przychodził Kajetan Kaczanowski – podoficer sanitarny z OR KO, który był specem od przecinania wrzodów i ich leczenia. Pluton kobiecy. Kobiety, których było około 50, tworzyły odrębny, samodzielny pluton. Mieszkały w koszarach, przy dowództwie pułku. Były – tak jak my – przemundurowane w zielone, bawełniane sowieckie sorty. Dostały tylko spódnice i zamiast kamaszy buty z cholewami (brezentowymi). Część z nich była zatrudniona jako med.-siostry. Po „kryzysie przysięgowym” wysłano je na roboty rolne do kolchozu, a następnie zwolniono do domu wraz ze starszymi i najmłodszymi rocznikami, które podlegały demobilizacji.

Przez dłuższy czas autorowi nie udawało się zdobyć relacji od żadnej z nich. Wprawdzie w paru żołnierskich relacjach były wzmianki o dziewczętach, które były w Miednikach, a następnie w Kałudze, ale brakowało relacji bezpośredniej. Dzięki pomocy Janusza Bohdanowicza udało się wreszcie uzyskać taką relację, którą w całości tu przytaczam.

Nasza Brygada została rozbrojona 17 lipca 1944 r. we wsi Rakańce, wczesnym rankiem. Tak więc po radosnych przeżyciach zwycięstwa nad okupantem, po tryumfalnej defiladzie w Nowej Wilejce, gdzie na wszystkich domach łopotąły polskie flagi, a tłum mieszkańców wiwatował na naszą cześć, stanęliśmy wobec pytania: Co dalej? A dalej uformowali nas nasi sojusznicy w czwórkową kolumnę, obstawili konwojem z bagnietami na broni i popędzili. Upał stawał się coraz dokuczliwszy, a my bez jedzenia i picia brnęliśmy piaszczystą drogą w nieznane. Dzień się kończył, kiedy zaczęliśmy wchodzić w średniowieczne mury dawnego zamku w Miednikach Królewskich. Policzono nas i rozlokowano w ogromnych stodołach. Sanitariuszki otrzymały domek z piętrem, z poleceniem urzędnika w nim ambulatorium. Byłyśmy bardzo zmęczone i gdzie która stała, tam padła na podłogę i zasnęła. Na drugi dzień zobaczyłam, jak wielu nas było – stodoły zapchane, pod stodołami leżeli gęsto nasi chłopcy, zabrakło wszystkim miejsca pod dachem. Obok naszego sanitariatu w małym domku stłoczono oficerów. Naprzeciw sanitariatu chłopaki urządzili kuchnię, na świeżym powietrzu, choć tuż niedaleczko inna grupa kopała długi i głęboki dół na latrynę, która bardzo szybko już przelewała się i dawała znać zapachem o swoim istnieniu.

W sanitariacie, w pokoju od wejścia na lewo urządziliśmy izbę przyjęć i salkę opatrunkową, na prawo – nasze spanie. Na piętrem ulokowali się lekarze. Kierownictwo sanitariatu objął dr „Jan” Ginko, wspaniały człowiek, serdeczny kolega. Wszystko było na jego głowie. Po paru dniach pracowałyśmy jak w prawdziwym szpitalu. Na „opatrunkowym” prym wiodły dwie doświadczone pielęgniarki – wysokie, smukłe dziewczyny, starsze od nas – nazywaliśmy je „Haliny i Sulimy”, bo każda z nich pracowała za dwie, albo i więcej. Ciche, delikatne. Rano i przed spaniem przed barakami odbywały się apele i na komendę dr Ginko: „Do modlitwy” – odmawiałyśmy pacierz i śpiewałyśmy „Wszystkie nasze codzienne sprawy” i „O Panie, któryś jest na niebie”. Niosła się ta pieśń modlitewna daleko, wysoko, aż do nieba. A potem nie można było usnąć. Co z nami będzie? Co zrobią z nami? Traciłyśmy rachubę czasu, pojawiało się przygnębienie. Aż pewnego dnia sowieckie władze obozu zarządzają miting. Przyjechali polscy oficerowie. Mundury ich były polskie, ale bardzo słabo mówili po polsku. Werbowali do Armii Berlinga. Nasi żołnierze wołali: „Wypuście gen. Wilka, my chcemy Wilka! Wilka!”. Oficerowie opuścili nasz obóz, a my długo i ładnie śpiewaliśmy nasze partyzanckie, harcercy i legionowe pieśni. Podnieśliśmy się na duchu. W niedzielę nasi kapelani odprawili mszę św. i udzielili nam absencji.

Jesteśmy gotowi znowu iść w nieznane. W sanitariacie zrobili nam rewizję i wyprowadzono za ogrodzenie obozu. Tam wyruszyły kolumny naszych chłopaków, a nam na łączce urządzono drugą rewizję. W końcu

czwórkami idziemy piaszczystą drogą, mijając żegnające nas wileńskie brzoźki. Docieramy do stacji Kiena, gdzie czekały nas bydłące wagony. Pada komenda: „Na kolana!”. Klękamy przed wagonami, w środku składu pociągu i po drewnianej pochylni wchodzimy do naszego wagonu. Robi się bardzo ciasno i kiedy drzwi zostały zamknięte, jest duszno. Cała podłoga wagonu zajęta, dziewczęta leżą jedna obok drugiej. Z lewej strony wagonu jest szeroka na wzrost człowieka półka. Umieściłam się pod samym okienkiem, obok mnie jedna z miłszych dziewcząt Ada. I tak z przygodami upływała nam podróż. W Mińsku uprosiliśmy naszych konwojentów o pozwolenie na noszenie wody do męskich wagonów. Dostałyśmy wiadra i nosiłyśmy wodę chłopcom na każdym postoju. Przywództwo w naszym „cupe” objęła Sabina Kalinowska, wspaniała dziewczyna, opiekuńcza, odważna.

Którejś nocy nasz pociąg zatrzymał się. Usłyszeliśmy wojskową orkiestrę, marsze i o dziwo krakowiaka. Wyładowaliśmy się! Okazało się, że w męskich wagonach są chorzy na czerwonkę. U nas też chorują Halina i Sulima. Obie zostały zabrane do szpitala w Kałudze.

Na jutro 15 dziewcząt i ja dostałyśmy polecenie urzędnika szpitala chorym. Zaprowadzono nas pod konwojem do jakiegoś baraku – umyłyśmy go z przerażającego brudu i urządziłyśmy dwie sale. Jeszcze podłogi dobrze nie wyschły, jak zaczęli napływać chorzy. Każdy z kocem pod bok i drugim do przykrycia się. Przybyli też nasi lekarze, oczywiście dr Ginko i inni. Ze mną pracowali dr Rymian, dr Tymiński i dr Pimpicki. Po pierwszym dniu pracy, wróciwszy do koszar, dowiedziałam się, że suterena, w której nas zainstalowano, nosi nazwę „wtaraja minamiotnaja rota” (2 kompania moździerzy).

Po dwóch tygodniach szpital został zlikwidowany. Miano nas szkolić jako kierowców, ale nie było samochodów do nauki jazdy. Przez krótki okres dysponowałyśmy ogromnym traktorem, do którego takie małe osoby jak ja wchodziły po drabinie. Kierownica była rozmiarów jak duża balia. Brakowało rąk, aby ją ująć. Odmówiłyśmy tej nauki. Zaczęła się „strajawaja podgatowka” (musztra). Pewnego dnia zaprowadzono nas do łaźni, nasze ubrania zabrano do dezynfekcji, a nam po kąpielii wydano sowieckie mundury.

Za parę dni kazano przyszyć do furazerek sowieckie gwiazdki. Na znak protestu tego dnia nie przyjęłyśmy posiłków. Wtedy oni wsadzili na „odwach” Sabinę i Ignasię – do czasu aż założymy gwiazdki. Na następny dzień nasi chłopcy dostali również gwiazdki. Do ich założenia zostali przymuszeni różnymi szykanami.

Teraz od rana do obiadu dostawałyśmy „w kość” intensywną musztrą innymi ćwiczeniami.

Przygotowywano nas do jakiejś parady. Okazało się, że szykowano nas do uroczystości złożenia przysięgi wojskowej. Stanowczo odmówiłyśmy. Nie pomogły żadne perswazje, prośby, ani groźby. Było to ogromne zaskoczenie dla naszych sowieckich dowódców. Nastąpił radykalny przełom. Zabrano nam nowe umundurowanie, wydano jakieś „podarciuchy”. Nas dwoma ciężarówkami wywieziono do pracy na „podsobnoje chazajstwo”. Był już wrzesień, pracowaliśmy przy kopaniu kartofli, a nawet budowałyśmy świniamik i stodołę. Stodoła okazała się ponad nasze siły. Była to budowla duża, wysoka, a materiał budowlany – to stare podkłady kolejowe, jako zaprawa glina wymieszana z końskim nawozem i zgrabionymi liśćmi. Było zimno, padał dokuczliwy deszcz. Odmówiłyśmy pracy. Czekala nas kara, ale w Kałudze zabrakło w koszarowej kuchni kapusty, więc skierowano nas na olbrzymie pole z tą jarzyną. Głowy kapusty były duże, dorodne i ciężkie, po nocnych przymrozkach oblodzone, noże do wycinania byle jakie, już po południu miałyśmy na dłoniach krwawe pęcherze, które przy pracy pękały i sprawiały dotkliwy ból. W szałasach, w których spałyśmy, pod jednym kocem, na gołej trawie nie można było usnąć. Zmarznięte, niewyspane zapadałyśmy na zdrowiu.

Postanowiłyśmy nie wyjść do pracy, jeżeli nas nie ulokują w jakimś ludzkim pomieszczeniu. Naszymi dowódcami byli dwaj lejtenanci – oni wysłuchali naszych protestów. Pięknie po rosyjsku mówiła jedna z naszych koleżanek „Wiosenka”, osoba około 40 lat, z zawodu felczer, jej rzeczowa argumentacja została przyjęta i na czele z naszymi opiekunami udałyśmy się do zabudowań kolchozowych. Na nasz widok pozamykały się wszystkie drzwi, ale jest takie zakłęcie, które je kolejno otwierało. W ten sposób do każdego domostwa została wepchnięta czwórka polskich dziewcząt. Odżyłyśmy – w domach było ciepło i czysto!

Pod koniec miesiąca przybyły dwie ciężarówki, a na nich nasi żołnierze, którzy przyjechali nas „wyzwolić”.

Nasz lejtnant Szaścin odczytał na kapuścianym polu rozkaz dzienny, podając informację, że kobiety zostają zwolnione z obozu i mają być odesłane do miejsca zamieszkania (żytyelstwa). Szalałyśmy z radości! Tylko nasz „starszyna”, powiedział:

„Ja też się cieszę z wami, ale myślę, że lepiej Wam tutaj, bo o tym wie cały świat. A w Wilnie przyjdzie ktoś, co powie chodź z nami i wtedy już nikt o tym nie będzie wiedział”.

Jego słowa okazały się prawdziwe. Prawie wszystkie sanitariuszki i łączniczki, które wróciły z Kaługi, zostały w Wilnie do końca 1944 r. aresztowane. Wiele z nich otrzymało wieloletnie wyroki, a losy ich były bardzo różne.

W Kałudze było nas 48 kobiet. Wiele z nich już nie żyje. Wspominam je z bólem serca. Przede wszystkim Sabinę Kalinowską-Korejwo, która patronowała nam do ostatnich dni swego życia.

Tuż przed drukiem książki nawiązałem jeszcze jeden kontakt, mianowicie z Zofią Rykowską-Cholewiną, która powiększyła wykaz dziewcząt z Kaługi.

Do 1945 r. mieszkała w Wilnie na Zwierzyńcu. Ojciec brał udział w wyprawie na Kijów w 1920 r. W 1940 r. zmarła jej matka. Od 1941 r. angażowała się w pracę konspiracyjną, jej szefową była Zosia Dąb-Biernacka. Po wyspie musiała opuścić Wilno, wyjechała do Szczuczyna i tam trafiła do batalionu „Zycha”, a następnie do batalionu „Ragnera”. Po rozbrojeniu osadzona została w Miednikach, a następnie wywieziona do Kaługi, figurowała tam pod fałszywym nazwiskiem Orzecka. Po zwolnieniu z Kaługi ukrywała się w Wilnie przed poszukującym ją NKWD. Wreszcie wyjechała do Polski i osiedliła się w Sopocie. Tu zdała maturę i wyszła za mąż. W latach osiemdziesiątych zaangażowała się w ruch „Solidarności”. Jej wnuk, urodzony w dniu rejestracji NSZZ „Solidarność”, za ojca chrzestnego miał Lecha Wałęsę. Do 1999 r. pracowała jeszcze jako bibliotekarka.

W obszernym artykule pod tytułem „Kaługa” [21] opisała dzieje kobiet i dziewcząt osadzonych w obozie w Miednikach, uciążliwy przejazd do Kaługi, perypetie w czasie odbywania służby w 361 zapasowym pułku piechoty, wreszcie powrót po zwolnieniu do Wilna. W zakończeniu artykułu napisała:

„Zanim każda z nas pojechała w swoje strony, gdyż nie wszystkie byłyśmy z Wilna – umówiliśmy się spotkać przed Katedrą. Następnego dnia na placu przed wileńską katedrą, mieszkańcy mieli niecodzienny widok. Spotkanie 50-ciu kobiet i dziewcząt, ubranych ni to po wojskowemu, ni to po cywilnemu, każdą nadchodzącą witające okrzykiem „pożalować” i przeciągłym „ooo!” Rozeszliśmy się, przyrzekając spotkanie po wojnie w Miednikach. Niestety, nie było spotkań, ani nie było Miednik, zabrakło i Wilna”.

Z udziałem Saby Kalinowskiej oraz Lusi Różyńskiej odtworzony został niepełny skład kobiecego plutonu z 361 zapasowego pułku piechoty w Kałudze.

1. Sabina Kalinowska - ps. „Sabina”, ur. 15.10.1925 r. w Lublinie. Zamieszkała od 1927 r. w Wilnie. Wprowadzona do pracy w konspiracji przez swoją siostrę Barbarę, początkowo w Garnizonie m. Wilna, od grudnia 1943 r. była łączniczką 3 Brygady „Szczerbca”. Po rozbrojeniu trafiła do obozu w Miednikach. Wywieziona do Kaługi, przebywała tu do chwili zwolnienia kobiet. W pamięci uczestniczek pozostała jako jedna z najdzielniejszych, krzepiących ducha całej „babskiej rotę”. Jej mężem został Marian Korejwo, ps. „Milimetr”, z 3 Brygady „Szczerbca”. Zmarła w Gdańsku w 1998 r.

2. Wanda Cejkówna – po mężu Kiałka, koleżeńska, pomocna w każdej potrzebie, zachowała się w pamięci jako najładniejszy uśmiech „babskiej rotę” w Kałudze.

3. „Wiosenka” NN. – najstarsza w grupie, zawodowa pielęgniarka, wspaniała tłumaczka z polskiego na rosyjski i odwrotnie, potrafiła w trudnych sytuacjach konfliktu z władzami obozu wyjść obronną ręką.

4. „Kozaczek” NN.– niewysoka, brunetka, z nieodłącznym papierosem w ręku, która o 5 rano, na dźwięk pobudki, odrywała głowę od siennika i z sobie tylko właściwym rozłożeniem akcentu mówiła: „jasna cholera...”

5. „Hajduczek” NN. – wysoka, smukła, poważna, ciemne brązowe oczy o kroju bizantyjskiej piękności.

6. „Iгнаś” NN.– wspaniała dziewczyna, silna, wysoka, krótko ostrzyżona blondynka. Odważnie, bez literackich ozdób, za to z męską prostotą mówiła każdemu, co należało, nie wyłączając oficerskiej władzy. Sama wesołość!

7. Teresa Kaczanowska – ps. „Jedyna”, po mężu Kujawa, piękne zęby, szparka między górnymi jedynekami, miła, dobra dziewczyna, przed rozbrojeniem była w I Brygadzie „Juranda”. Zmarła w Szczecinie.

8. „Pączek” NN.–była z Brygady „Juranda”.
9. „Cyganka” NN.– Tęskniła za swoją gitarą, na której grała na „Jurandowych” wieczorach w partyzanckim lesie.
10. „Abisynka” NN. – bardzo ładna, o dużej kulturze bycia, była z siostrą Basią i bratem Jurkiem.
11. Barbara Maruszewska – siostra Krysi i Jurka Maruszeewskich.
12. Ada Banaszewska – intelekt dowcipu, piękna sylwetka, dziecięca mimiczna buzia, bardzo muzykalna.
13. Bronisława Pałubińska – ps. „Madelon”, kochana koleżanka, zawsze pogodna, zawsze gotowa do pomocy. Jej mąż był również w Kałudze.
14. Wanda Adamkowiczówna – tęskniąca za domem.
15. Poraj-Dolińska – cicha, serdeczna koleżanka.
16. Narkiewiczówna – niewysoka, ciemnoziłota, faliste włosy zaplatała w warkoczyki nad uszami. Sporo piegów na buzi, które dodawały jej uroku.
17. Lusja Różyńska – najdłuższe rzęsy w „rocie”, poważna, zasadnicza, solidarna, lubiana.
18. Ania Dęmska z UBK – III bat. 77 pp AK, blondyneczka, duże mądre oczy, poważna, świetnie się z nią rozmawiało, bardzo miła koleżanka.
19. „Kalina” NN.– dźwięczny sopran, stale śpiewała, jej ulubiona piosenka to: „Przy drodze stoi biały dom”. Miła, rozmowna, zadawała dużo pytań.
- 20-21. Halina i Sulima NN. – obie profesjonalne pielęgniarki z 2 Brygady, ciche, poważne, zawsze zapracowane.
22. Nusia NN. – najmniejsza, chodziła w ostatniej czwórce. Nie było dla niej odpowiednich butów, wszystkie były za duże, stąd ciągle miała obtarte nogi.
23. Kazimiera Żejmo - ps. „Kaźka”, po mężu Paradowska, współautorka powyższej listy. Po zwolnieniu z Kaługi i powrocie jesienią 1944 r. do Wilna już w grudniu 1944 r. została aresztowana przez NKWD, a 10 marca 1945 r. wywieziona bez sądu do Saratowa; po drodze zachorowała na tyfus, przekazano ją do więzienia w Mińsku, po wyzdrowieniu przewieziona do Wilna na Łukiszki, zwolniona w sierpniu 1945.
24. Hanka Szyszko-Grzywacz – mieszkała w Katowicach.
25. Irena Nowaczyk – z domu Roszczewska, ps. „Alina”, z I batalionu „Zycha”, w Kałudze jako Rogiecka.
26. Zofia Rykowska-Cholewina – ps. „Ewa”, w Kałudze jako Zofia Orzecka.
27. Janina Piotrowska – brak bliższych danych.
28. Stacha Jurałowicz – z domu Rokicka, ps. „Basia”; po wojnie pozostała w Wilnie i tam mieszka.
29. Basia Karwatówna – brak danych.
30. Agnieszka NN. – brak danych.
31. Lala NN. – brak danych.
32. „Zośka” NN. – wysoka blondynka.
33. Iza NN. – mówiono, że była zakonnica lub miała nią zostać.

Rewizje.

Pierwsza rewizja została przeprowadzona w piątek, 28 lipca 1944 r., pod murami miednickiego zamku. Żołnierze wojsk ochrony pogranicza, w dużej mierze pochodzenia azjatyckiego, niskiego wzrostu – jak ktoś określił: „drobne postacie, o czarnych, skośnych oczach, dzikie, o obojętnym wyrazie” – z niezwykłą zręcznością przeszukiwali rzeczy wyjęte z chlebaków i plecaków. Odrzucali na bok wszystkie metalowe przedmioty: brzytwy, żyłетки, noże, ale i aluminiowe pudełka od mydła, papiery, druki, książki, dowody osobiste, medykamenty, bandaż, proszki od bólu głowy, aspirynę – wszystko na kupę, bezładnie. W Kałudze dopiero wyjaśniono, że „mogła być to trucizna, taki proszek jeden czy drugi, nie wiadomo ...”

Oto jedna ze scenek. Oficerowie chodzą i przyglądają się robocie swoich chłopców. „Towariszcz lejtnant – mydło mi się zepsuje, zostawcie mi pudełko”. – „Bieri”. „A to książeczka do nabożeństwa”. – „Moliszszia?” – machnął ręką. Rewizja skończona. Rewidowani w pierwszej partii trafili na złodziejskie ruchy skośnookich chłopców. Na bok szły: zegarki, pierścionki, a nawet obrączki. Dopiero interwencja pokrzywdzonych położyła kres grabieżom. Dokładne zrewidowanie ponad 4.000 ludzi w ciągu niecałych dwu dni nie było możliwe, stąd np. w jednym z wagonów na 45 osób zabrano zaledwie 2 noże i 1 brzytwę, zostało jeszcze około 15 noży i 14 brzytw, toteż było czym wycinać różne otwory w wagonach, co nie uszło uwagi konwojującego. Wydał rozkaz: „Oddajcie noże i brzytwy! Inaczej będzie ponowna rewizja”. Na odczepnego oddaliśmy 4 najgorsze noże. Konwojent odszedł zadowolony.

Po przyjeździe do Kaługi dowódcy plutonów przeprowadzali rewizje osobiste. Niektórzy robili to pobieżnie,

jakby dając do zrozumienia, że wypełniają tylko rozkaz przełożonych. Później – w związku z przypadkami zamiany sowieckich gwiazdek na polskie orzelki – rewizje przeprowadzali dowódcy rot. Kiedy trafiali przy okazji na nieregulaminowe przedmioty, np. kąpielówki lub inne „łachy”, konfiskowali je jako niepotrzebne sowieckiemu żołnierzowi. Komuś w czasie rewizji z książeczki do nabożeństwa wypadł obrazek z Chrystusem. Oficer indagował: „To Wasz Bóg? I wierzycie w niego? Toż to tylko obrazek.” Nasz żołnierz odpowiedział: „Obrazek tylko przypomina nam Boga, my nosimy go w sercu”. O dziwo! Nie skonfiskowano ani obrazka, ani książeczki do nabożeństwa, z której on wypadł.

Penetracja służb specjalnych. Jedną ze specyficznych cech systemu sowieckiego była systematyczna, zorganizowana, powszechna penetracja wszystkich zbiorowisk ludzkich.

Parutysięczna rzesza polskich żołnierzy, w większości ludzi młodych, wychowanych w duchu patriotycznym, gotowych do wszelkich poświęceń budziła wielką podejrzliwość organów sowieckich. Przy pomocy rozbudowanej sieci donosicieli, agentów i funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa starano się więc wykryć najmniejsze odchylenia – nie tylko w działaniu, ale nawet w myśleniu.

Pierwszym krokiem naszych „opiekunów” było oddzielenie polskiej kadry oficerskiej i podoficerskiej od żołnierskiej masy. Przez bardzo długi czas sowieckie służby specjalne wyłapywały ukrywających się oficerów i podoficerów, a następnie wywoziły ich do specjalnych obozów. W tym celu znacznie wcześniej ulokowali w partyzanckich oddziałach wileńskich komunistów, między innymi Henryka Chmielewskiego i Szczepana Steca, oddelegowanych przez Związek Patriotów Polskich[22]. Obaj w Kałudze otrzymali pracę w strukturach zaopatrzeniowych i zostali zwolnieni z udziału w ćwiczeniach wojskowych. Tych, którym udało się ulokować w kuchni, magazynach, stolarni, warsztatach naprawczych, żołnierze uważali za szczęściarzy, nie podejrzewano ich wtedy o wysługiwanie się NKWD. Nie oznacza to, że każdy wykonujący takie funkcje musiał być na usługach NKWD.

Sowiecki system dla pozyskania współpracowników często posługiwał się metodą szantażu i zastraszania. O takich metodach pisał na przykład Witold Czarnecki[23]:

„Podoficer prowadzi mnie [...] gdzieś do małego domku poza koszarami, na skraju miasta. Wchodzę do pokoju, za biurkiem siedzi oficer, nagan na biurku, jakieś papiery. Mówi: «My wsio znam, masz w Wilnie matkę i młodszego brata». Podaje adres i inne szczegóły. Zastanawiam się, skąd on to wie? Żąda współpracy, mówi, że koledzy się zmagają, chcą uciekać, co będzie traktowane jako dezercja z frontu itd. Wywijam się jak umiem, udaję durnia, mówię, że jestem wśród obcych, nikogo nie znam. Pada argument nie do obalenia: «Nie podpiszesz, twoja rodzina pojedzie na Sybir». Podpisuję wreszcie dla świętego spokoju jakiś świstek, myśląc: «całuj psa w nos!» [...] Myślę, że takich podpisów zebrano całą kolekcję, bo wciąż kogoś wprowadzano”.

Witold w końcu zdecydował się na ucieczkę. Napisał kartkę do swej Mamy, że „siostrzeniec mojej cioci pewno na Boże Narodzenie będzie w domu”. Około 10 grudnia ukrył się z dwoma kolegami w ruinach cerkwi. Następnie o zmroku dostali się na kałuski dworzec kolejowy. Tu rozdzielił się, aby nie zwracać na siebie uwagi. Patrol wojskowy aresztował jednak Witolda i odstawił do koszar. Trafił do gaubtwachty. Wkrótce odbył się proces. Sąd polowy w składzie: oficer, podoficer i szeregowy wymierzył karę – 7 lat łagrów.

Pominę opis pobytu Witolda w więzieniach sowieckich czy ciekawą charakterystykę sylwetek sowieckich więźniów. Opiszę jednak sam epilog tej sprawy. Po ogłoszeniu częściowej amnestii z okazji zakończenia wojny w sierpniu 1945 r. Witolda wezwano do biura łagru celem załatwienia formalności zwolnienia. Kiedy wyraził on chęć wyjazdu do Lublina, usłyszał: „W Polsce nieźlia!” Na pytanie, gdzie urodzony, odpowiedział: „W Sarnach”. – „Tak, ty Ruskij” – usłyszał. Wtedy zdębiał, zaczynał zdawać sobie sprawę, że wydostanie się ze Związku Sowieckiego nie będzie takie proste. Za radą życzliwego więźnia-oficera podał jako miejsce docelowe Oszmianę. Dzięki temu dostał się do Wilna, następnie do Polski.

Ciężka praca, głodowe racje żywnościowe powodowały u niektórych bunt i sprzeciw, a nawet odmowę podejmowania pracy. Taki przypadek opisuje Wiktor Iwanowski:

„[...] Oświadczyłem, że nie mam siły i pracować nie będę. Inni przyłączyli się do tej akcji. Ponieważ ja

byłem organizatorem tego pomysłu, konsekwencje skupiły się oczywiście na mnie. Cisza nocna, wszyscy śpią jak zabici, nagle ktoś mnie budzi, patrzę, a tu oficer-dowódca, gestem ręki pokazuje, żebym wstał i kładąc palec na ustach nakazał, żeby zachowywać się cicho. Od razu otrzeźwiałem, nadepnąłem Cygankowi na brzuch – ten przebudzony wyskoczył i rozdarł się wniebogłosy [...], za chwilę obudziło się kilku następnych kolegów.

W naszym batalionie, i nie tylko w naszym, ciągle penetracje personalne systematycznie wyluskiwały «niebłaganadziożnych» (niepewnych), a to od „Łupaszkę”, a to od „Ragnera”, a nawet jeszcze tych od „Kmicica” (którzy uszli z życiem). Penetracja była wynikiem pracy własnych kapusiów, których nie brakowało w żadnym środowisku. Ci «wyluskani» ginęli, rano stwierdzaliśmy, że brakuje jednego lub kilku kolegów i już więcej ich nie widzieliśmy – była to oczywiście znana bolszewicka metoda.

[Jednego razu] oficer wyprowadził mnie, wychodząc pierwszy, zarepetował pistolet i zaprowadził mnie do „kapliczki”. Była to ziemianka, znajdująca się na uboczu [...], gdzie siedział ppłk Bułhakow [...]. Zacząłem składać meldunek. Przerwał mi krzyżąc:[...] «Pracować ci się nie chce, a więc nie zobaczysz już więcej ani ojca, ani matki, ani rodziny [...]. Wiem,bo sprzyjasz hitlerowskim bandytom, tak więc ty też jesteś faszystą, a na takich my mamy sposoby» – prowadził monolog. Próbowałem coś powiedzieć, lecz natychmiast powtarzała się stara piosenka: odpowiadaj, milcz, dlaczego nie odpowiadasz, milcz itd. [...]. Do ziemianki wróciłem już bez eskorty [...]. Całkowicie załamany siadłem obok Cyganka [...]. Postanowiliśmy zakończyć nieudany strajk i przystąpić do pracy”.[24]

Forma fizyczna i psychiczna uwięzionych zależała od wielu czynników. Nie tylko od odporności organizmu na niedożywianie, ale i od tego, jak kto był przygotowany do pracy fizycznej, a nawet jak daleko posuwał się w ryzykownych poczynaniach dla zdobycia żywności. To ostatnie polegało na grupowym wyjściu nocą ze strzeżonego obozu, dojściu do najbliższego kolchozu, rozbiciu zamknięcia ziemianki, gdzie przechowywano żywność, i powrocie do obozu w sposób niezauważony przez strażników. Poza kilkoma kilogramami ziemniaków dawało to pewność, że można przeciwstawić się trudnej sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy.

Wspomnieć tutaj należy, że sporadycznie zdarzały się przypadki, iż nasi chłopcy znajdowali się na usługach ciemniźcicieli. W tak wielkiej zbiorowości zawsze znajdują się ludzie o słabym charakterze, chcący za wszelką cenę poprawić swój byt kosztem innych. We wspomnieniach Kazimierza Kozłowskiego (III batalion) wymieniony jest „pomkomwzvod” Giza. Był on prawą ręką d-cy plutonu sierżanta Kinzigułowa i znany był powszechnie jako ślepy wykonawca wszystkich rozkazów. Chłopcy obiecywali mu, że wyrzucą go z wagonu, jak będziemy wracać do kraju. Ale jak wynika z relacji Bolesława Stockiego, Giza podczas ucieczki został złapany i skazany na 10 lat ciężkich robót i nie wracał już razem z wszystkimi do kraju. Trudno go obiektywnie osądzić. Na pewno jest to jeden z wielu przykładów osobistych dramatów ludzkich w czasie wojny. Ucieczki. Już w czasie rozbrajania niektórzy z naszych żołnierzy podejmowali próby przedostania się do Warszawy, gdzie właśnie trwała akcja „Burza”.

Sporo prób ucieczek naszych chłopców miało miejsce zaraz po rozbrojeniu, kiedy prowadzono nas do obozu w Miednikach. Między innymi właśnie wtedy uciekł mój brat Jerzy („Mur”), ja zaś dałem się doprowadzić do miednickiego obozu.

Na pewno nie wszystkie próby ucieczek były udane. Opowiadano o bezwzględności konwojentów. Taki przypadek opisuje W. Iwanowski:

„Wkrótce staliśmy się świadkami pierwszej tragedii. Zaraz po rozpoczęciu marszu jeden z partyzantów (nazwiska jego nie znaliśmy) szybko odłączył się i zaczął uciekać. W pogoń natychmiast ruszyło kilku konnych, dopędzili go i zaczęli okładać pejciami. Na to podjechał [...] major, żołdacy rozstąpili się, a major wymierzył i strzelił do bezbronnego, następnie odjechał, by za chwilę powrócić i oddać do leżącego jeszcze kilka strzałów. Obraz ten prześladuje mnie do dzisiaj [...].

Nie skończyło się na jednej tragedii. W czasie gdy wszyscy zaabsorbowani byli morderstwem dokonanym

przez bolszewików na partyzancie, inny chłopak wyrwał się do ucieczki z drugiej strony kolumny wykorzystując nieuwagę eskorty. Był oddalony od kolumny jakieś 50 metrów, gdy ruszyła za nim pogoń na koniach. On jednak zdążył dopaść terenu porośniętego krzakami. Padło za nim kilka strzałów, po chwili z krzaków wyłonili się konni i z zadowoleniem orzekli: «No i etowo swołacza toż ubili». Po czterdziestu latach, na corocznym spotkaniu akowców całkowicie przypadkowo zeszliśmy na temat tamtej ucieczki i dokonanego przez NKGB morderstwa. I oto okazało się, że wcale «towo swołacza nie ubili». Młodzieńki, wówczas 16-letni partyzant, o pseudonimie «Bończa», żyje do dzisiaj (prawdziwe nazwisko: Tadeusz Mieczkowski)[25].

W okresie przetrzymywania nas w Miednikach, mimo silnej straży, też zdarzały się ucieczki. Sam miałem okazję opuszczenia tego obozu przy pomocy mojej Mamy. Ale jak już nadmieniałem wcześniej, były i sytuacje odwrotne – mianowicie dobrowolnego przybywania do obozu młodych Polaków, pragnących w ten sposób uniknąć sowieckiego werbunku do armii.

W tym zakresie brakowało jasności, jak postępować. Dowodem może być zalecenie członka Komendy Głównej – legendarnego Stanisława Kiałki. W swoich wspomnieniach pisze on:

„W pierwszym rządzie posłałem wiadomość do chłopców, którzy zostali internowani w Miednikach, by uciekali. Zrobili to wszyscy z kompanii szkolnej 6 Brygady «Konara» i «Przerzutu» z miasta, którzy się tam dostali. Pozostał tylko jeden, który mając matkę w Jugosławii, tą drogą chciał się przedostać na Zachód.”[26]

W czasie naszego pobytu w koszarach w Kałudze próby ucieczek były traktowane jako dezercja z armii. Złapanych sądzono publicznie przed całym pułkiem. Wyroki były wysokie: od 10 do 15 lat ciężkich robót w łagrach. Niestety, ani losów skazanych, ani szczęśliwców, którym powiodło się, nie udało się ustalić.

Jedną z takich ucieczek – bodaj że pierwszą udaną – zrelacjonował Zygmunt Kłosiński.[27] We wrześniu 1944 r., parę dni po odmowie złożenia przysięgi na wierność ZSRR, pięciu żołnierzy pochodzących z miejscowości Smorgonie: Leon Birn, Tadeusz Dunowski („Ali”), Kazimierz Kosowicz („Kusy”), Zbigniew Radzikowski („Mruk”) i Roman Sławiński („Szturlis”) postanowiło nie czekać niepewnego losu. Udało im się opuścić koszary i oddalić się. Dla zmylenia pościgu obrali kierunek północny. Maszerowali nocą, a o świcie odpoczywali w lesie, z dala od ludzkich siedzib. Po dziesięciu dniach marszu znaleźli się nad rzeką Ugrą. Teren wcześniejszych walk frontowych pełen był rozbitego sprzętu wojskowego, a w świetle księżycy białeły ludzkie i końskie kości. Jeszcze parę razy przekraczali rzeki, najczęściej w pław. Unikali linii kolejowych, strzeżonych przez uzbrojone patrole. W końcu dotarli w okolice Wiaźmy, a po dwudziestu kilku dniach w okolice Smoleńska. W poszukiwaniu żywności, ziemniaków z pól, podzielili się na dwie grupy. Niestety, nie spotkały się one już. „Ali” z „Mrukiem” zdecydowali się maszerować również za dnia. Wyniknęło to z konieczności przeprawienia się przez Dniepr, który najlepiej było pokonać pociągiem towarowym. Na peryferiach Smoleńska przeżyli chwilę grozy. Głodni i zziębnięci zapukali do jednego z domostw, gdzie gospodyni ugościła ich w kuchni mlekiem i ziemniakami. Przez uchylone drzwi zobaczyli mężczyznę w mundurze enkawudzisty, czyszczącego rozebrany na stole pistolet. Kobieta ofuknęła go, że pobrudzi obrus i zamknęła drzwi. Podziękowali i czym prędzej opuścili gościnny dom. Ominąwszy przejazd kolejowy, na stacji rozrządowej, chyłkiem wdrapali się do pustego wagonu-węglarki. Po drodze do wagonu dosiadło się kilku pograniczników. O dziwo, nie zainteresowali się dwoma „bojcami”, nawet dostali od nich po kawałku chleba. Po dwóch dniach dojechali do Mołodeczna, skąd blisko było już do Smorgoń, a więc byli w domu.

Grupa „Kusego” natomiast została zatrzymana przez patrol wojskowy w okolicy Smoleńska. Oświadczyli, że skierowano ich z 361 pułku Armii Czerwonej do polskiej armii Berlinga, a odpowiednie dokumenty posiadają ich dwaj koledzy, którzy się zagubili. Po paru dniach aresztu, ponieważ nie było zapewne możliwości sprawdzenia wiarygodności ich oświadczeń, dostali z „wojenkomatu” skierowania do Lublina. Pojechali jednak do Wilna. Stąd Leon Birn i Roman Sławiński jednym z pierwszych transportów repatriacyjnych przedostali się do Polski. „Kusy” miał mniej szczęścia, po paru dniach pobytu w Wilnie został zatrzymany na ulicy i aresztowany, a później tak jak wielu wileńskich akowców wywieziony za krąg polarny. Przetrwał wygnanie, wrócił do Polski w 1956 r. Główny bohater, Zbigniew Radzikowski „Mruk” i

opisujący tę pierwszą ucieczkę z Kaługi Zygmunt Kłosiński („Huzar”, „Dan”) już nie żyją.

Najaktywniejsi chłopcy zdecydowali się na organizowanie przemysłnych uciezek, najczęściej w małych grupach. Uczestnikiem jednej z takich udanych eskapad był Mieczysław Turek[28], ps. „Kmieć”. Był on zastępcą dowódcy 1 plutonu kawalerii Oddziału Rozpoznawczego Komendanta Okręgu (OR KO). Internowany w Miednikach zataił swój stopień podoficerski. Został wywieziony do Kaługi, a następnie zesłany do pracy przy wyrębie lasów podmoskiewskich.

Pod koniec maja 1945 r. wszystkie bataliony robocze zelektryzowała wieść o ucieczce trzech naszych żołnierzy z III batalionu. Opowiadano, że zawładnęli oni samochodem ciężarowym Zis-5, którym zwożono z lasu drewno i dzięki temu nie zostali złapani. Po 48 latach M.Turek tak zrelacjonował swoją ucieczkę:

„Widząc nasze beznadziejne położenie, brak zainteresowania naszym losem ze strony zachodnich sojuszników, po 1 maja 1945 r. podjąłem decyzję ucieczki na rodzinną ziemię. W związku z tym zaczęliśmy ze Stanisławem Tamulewiczem, byłym żołnierzem 3 brygady „Szczerbca”, gromadzić prowiant. Należy nadmienić, że znał on rzemiosło szewskie i potrafił z powierzonego materiału wykonywać dla radzieckich oficerów z naszego batalionu buty z cholewami, tzw. «harmoszki».

Za swoją pracę otrzymywał dodatkowy chleb, kaszę, a czasami i konserwy. Z okresu partyzantki posiadałem skrzętnie ukrywany w czasie licznych rewizji wojskowy kompas. W pewnej odległości od naszych ziemianek urządziliśmy schowek na gromadzone produkty. Do naszego zespołu przyjęliśmy jeszcze trzeciego żołnierza (niestety, nie pamiętam już jego imienia i nazwiska), był on bardzo religijny i ciągle żarliwie się modlił. Naszą ucieczkę zaplanowaliśmy w drugiej połowie maja, licząc na lepszą, cieplejszą pogodę. Ustaliliśmy hasło: «idę gotować ziemniaki», co nakazywało udanie się do naszego schowka z prowiantem, w którym mieliśmy już 3 bochenki chleba, 2 kg kaszy, 1 kg soli i parę mięsnych konserw. Jeden z naszych kolegów, pracujący w warsztatach samochodowych, wykonał nam 3 solidne noże. Któregoś dnia przed 15 maja zauważyłem funkcjonariuszy NKWD, którzy podejrzanie penetrowali nasze ziemianki. Obawiając się, że chodzi o nas, planujących ucieczkę, zabrałem pospiesznie swój buszlat i powiedziałem dyżurującemu koledze: «idę gotować ziemniaki» z prośbą o przekazanie tej informacji Tamulewiczowi i trzeciemu naszemu koledze, których nie było w tej chwili w ziemiance. Bardzo szybko znaleźliśmy się w trzech w umówionym miejscu [...], nie zwlekając ruszyliśmy według kompasu na zachód [...].

Szliśmy przez kilka nocy, w dzień wypoczywając zaszyci w gęstwinie lasów. Złożyliśmy sobie solenne przyrzeczenie, że nigdy żadnego z nas nie opuścimy, nawet gdyby ktoś zachorował, będziemy oczekiwać do czasu wyzdrowienia, aż będzie mógł iść. Jeżeli wpadniemy, to wszyscy razem, we trójkę [...]. Początkowo okolice były słabo zaludnione, gdzieniegdzie natrafialiśmy na kołchoz lub sowchoz, które ostrożnie omijaliśmy. Po dwóch tygodniach nasze zapasy żywności się wyczerpały, zaczęliśmy podkraść, początkowo z pól, najczęściej ziarno i jarzyny. W jednym z kołchozów udało nam się ukraść wiadro, w którym rozcieraliśmy ziarno zboża i prażyliśmy je zamiast chleba. W lasach napotykał się na pociski, które rozbrajaliśmy, gromadząc w woreczku proch, który służył nam do szybkiego rozniecania ognia. Byliśmy już mocno umęczeni, nogi opuchłe w kostkach, obuwiu mocno nadwerężone. Głód zmuszał nas do radykalniejszych działań: zabijaliśmy napotykaną na pastwiskach zwierzęta kołchozowe: owce, czasami nawet krowę lub konia. Naturalnie tylko część mięsa mogliśmy zabrać ze sobą, reszta zostawała na polu. Kiedy skończyła się sól, zapalki, zaczęliśmy część zdobytego mięsa odstępować kołchozowej ludności [...]. Do chałup wchodziliśmy wieczorem, gdzieś na skraju wsi i po załatwieniu transakcji jak najspieszniej oddalaliśmy się.

Raz w czasie swojej wędrówki trafiliśmy na pole minowe między lasami, przebyliśmy je z dużą ostrożnością, w odstępach 50-metrowych. Wreszcie dotarliśmy do rzeki Moskwy, około 30 kilometrów od stolicy. Przebyliśmy ją w pław i za dwa dni znowu natknęliśmy się na tę rzekę [...].

Przed ucieczką miałem około 300 rubli gotówką, które służyły nam teraz do opłacania różnych usług ludności (dawałem od 10 do 20 rubli), a więc zasób ten szybko się wyczerpał.

Zazwyczaj dłuższe przerwy robiliśmy w niedziele, wtedy odbywaliśmy generalne pranie, odpoczywaliśmy i nie zapominaliśmy o modlitwie. Kiedy dotarliśmy do Dniepru, byliśmy już bardzo wyczerpani, nawet dłuższe odpoczynki już nie wystarczały. I wtedy przypadek odmienił nasze wędrowanie – w jednym kołchozie zauważyliśmy trzy uwiązane łańcuchami łódzie. Po wielu trudach udało nam się jedną łódź uwolnić. Teraz przez osiem dni płynęliśmy, wypoczywając, ku Smoleńskowi. Od czasu do czasu przybijaliśmy do brzegu dla zdobycia żywności i posilenia się.

Ta sielanka, niestety, została przerwana. Kiedy zbliżyliśmy się do dużego, żelaznego mostu, zauważono nas i próbowano zatrzymać, musieliśmy zawrócić i zrezygnować z wodnego środka lokomocji. Nie chcieliśmy już kontynuować dalszej drogi pieszo. Na jednym z kołchozowych pastwisk ujrzeliśmy stado niepopętanym koni. Wydawało mi się, że są to nasze polskie konie, wyglądały jakby były to kawaleryjskie konie spod siodła [...], sam pochwyliłem dwa konie, uważając to za rek wizycję wojskową. W następnym kołchozie zdobyliśmy wóz i uprząż i tym zaprzęgiem dojechaliśmy aż pod Mołodeczno, gdzie sprzedaliśmy wóz, a następnie jednego konia. Pieniądże podzieliliśmy między sobą i rozstaliśmy się. Każdy udał się w swoje strony. Do Smorgoń dotarłem z jednym koniem, którego też musiałem sprzedać.

Nasza ucieczka z podmoskiewskich lasów trwała sześć miesięcy. Był to ogrom trudu, niewyobrażalny do pokonania przez człowieka. A jednak osiągnęliśmy to, co zamierzaliśmy – byliśmy znowu na naszej wileńskiej ziemi jako ludzie wolni, chociaż kraj był ciemniejszy.

Od razu nawiązałem kontakt z naszą akowską konspiracją w Oszmianie. Sytuacja była skomplikowana, większość ludzi związana z działalnością Armii Krajowej wyjechała do Polski. Złożyłem aż w trzech różnych komórkach konspiracyjnych zapotrzebowanie na kartę repatriacyjną. O dziwo, otrzymałem trzy karty. Może to świadczyć o znakomitej działalności naszych komórek konspiracyjnych.

W końcu 1945 r. wraz z 11 innymi akowcami opuściłem Wileńszczyznę, aby prowadzić gospodarstwo rolne pozostawione przez rodziców w Polsce”[29].

Na przełomie stycznia i lutego 1945 r. udaną ucieczką okazała się eskapada, pochodzącego z Dyneburga (Łotwa), Henryka Szostaka (ps. „Edmund”) [30]. Ze swoim kolegą (ps. „Jasny”) ukrył się w załadowanym drewnem wagonie, gotowym do odjazdu do Moskwy. Podróż była uciążliwa. W wagonie między drewnem a drzwiami było bardzo mało miejsca. Temperatura na zewnątrz około –300C, musieli czuwać na zmianę, aby nie zamarznąć. Co 15 minut zmieniali się – jeden spał, drugi czuwał, trwało to całą dobę. Do Moskwy dotarli zmarznięci do szpiku kości. Tam najpierw zjedli na targowisku po trzy miski gorącej zupy. Następnie metrem dojechali do Białoruskiego Dworca, skąd odchodziły pociągi w kierunku Wilna. Do pociągu nie było łatwo się dostać. Biletów na przejazd nie sprzedawano bez odpowiednich przepustek – przy wejściu na peron kontrolowano, przy drzwiach wagonu znów była kontrola. Okrężną drogą wyszli więc na odpowiednie tory i skoczyli do wagonu, kiedy pociąg był już w biegu. Podróż do Wilna trwała około tygodnia.

Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej ucieczce, opisaną obszernie przez Wiktora Iwanowskiego[31]. Zdecydował się on ze swoim bratem Tolkiem i dwoma kolegami, Wićką i Wińką, podjąć próbę ucieczki z Kaługi w miesiącu wrześniu. Wiktor jako specjalista od kładzenia asfaltu przywieziony został z prac w lesie do koszar w Kałudze. Po zebraniu zapasów żywności, głównie sucharów, cukru, soli oraz zapalek i tytoniu zdecydowali się na ten ryzykowny krok. Od Kaługi starali się oddalić najpierw łódką, płynąc rzeką Oką, później pieszo, unikając osiedli, bo wiedzieli, że za każdego złapanego zbiega czy dezertera obywatel Związku Sowieckiego mógł dostać 1 pud mąki (16 kilogramów). Po pokonaniu około 120 km dotarli w okolice Kozielska i tu zostali zatrzymani przez wojskowy patrol. W brawurowy sposób wymknęli mu się z rąk, ale musieli rozdzielić się. Wiktor z postrzelonym bratem Tolkiem kontynuowali eskapadę ku wolności. Pozostało im 29 zapalek, 4 paczki tytoniu po 200 g, trochę soli. Szczegółowy opis przeżyć tej dwójki mógłby posłużyć za scenariusz do pełnego napięcia filmu. Pożywali się głównie grzybami, ziemniakami i kapustą z pól kołchozowych, jarzębinami, żurawinami, a najczęściej byli głodni. Koło Briańska zrozumieli, że pieszo nie dotrą do celu, więc zaczęli korzystać z pociągów. Parę razy natykali się na kontrole, z których udawało się im wyjść obronną ręką. Kiedy już dotarli na polskie tereny, zrozumieli, że i tutaj sytuacja

radycznie się zmieniła. Lęk o własne życie, o losy najbliższych, lęk przed hitlerowską przemocą i przed rozbastwioną dziczą bolszewicką nie ominął nikogo, a gwałty, rozboje, mordy stały się czymś powszechnym.

Jedną z nietypowych ucieczek opisuje Mieczysław Rostkowski, który po wyjeździe większości do podmoskiewskich lasów pracował w małej grupie w miejscowości Piasocznoj, około 50 km od Kaługi[32]:

„Ogłoszono koniec wojny, ale o naszym zwolnieniu było cicho. Jeden z naszych chłopaków zakochał się w miejscowej Rosjance, dróżniczce na kolejowym przejeździe. Któreś nocy zakochana para i dwóch naszych chłopaków zniknęli. Siedli do pociągu i pojechali na zachód. Jechali jak tylko się dało najdalej, resztę drogi odbyli pieszo. Ona w tej podróży odegrała olbrzymią rolę – sprawdzała przejścia przez mosty na rzekach, zaopatrywała w żywność zakupywaną za wcześniej uzbierane pieniądze, otrzymywane od rodzin naszych chłopaków. W końcu uciekinierzy szczęśliwie dotarli na Wileńszczyznę, ona została u rodziców swego ukochanego, chłopcy jak najprędzej wyjechali do Polski.”

Nie wszystkie próby ucieczek kończyły się pomyślnie. Czasami zbiegów łapano. Wtedy najczęściej karano wysokimi wyrokami, zsyłano do łagrów. W Kałudze odbywało się to publicznie, przed całym pułkiem, w celu odstraszenia innych, o czym świadczy, opisany wcześniej, przypadek Witolda Czarnieckiego. Niektóre ucieczki z prac w lesie kończyły się tragicznie. Skazani na wieloletnie zsyłki nie zawsze powracali po latach odbywania kary. A groby ich pozostały bezimienne.

Była jeszcze inna kategoria ucieczek. W końcowej fazie naszego pobytu w lasach podmoskiewskich znaleźli się zwolennicy szukania rozwiązania przy pomocy polskiej ambasady w Moskwie. Do Moskwy nie było daleko, a więc amatorom szukania tej drogi udawało się dostać do naszego przedstawicielstwa. Tam przyjmowano ich bez większego entuzjazmu, grzecznie tłumaczono, że należy cierpliwie czekać na pozytywne załatwienie problemu i odsyłano z powrotem. Stąd powszechnie nazywano ich „ambasadorami”. Nie mieli oni wśród nas większego posłuchu. Traktowaliśmy ich jako tubę naszych „politruków”, czasami podejrzewaliśmy nawet, że są po prostu ich narzędnikiem.

Według bardzo niepełnych i niepewnych danych, z Kaługi, a następnie z obozów leśnych uciekło około 250 osób, z których tylko część udało się formacjom NKWD złapać[33].

Gaubtwachta

System kar stosowanych przez naszych przełożonych służył podporządkowywaniu nas. Obejmował on:

- kary porządkowe indywidualne i zbiorowe, tzw. „nariad w nie oczerdzi”, czyli sprzątanie poza kolejnością, najczęściej pomieszczeń koszarowych lub obozowych, a jeżeli miała to być kara bardziej dotkliwa – to pomieszczeń sanitarnych;
- dodatkowe ćwiczenia, stosowane szczególnie dla wymuszenia posłuszeństwa, np. za niewykonanie pieśni w języku rosyjskim pluton musiał biegać lub wykonywać inne forsowne ćwiczenia, powtarzano je aż do uzyskania zadowalającego efektu;
- w czasie pracy w lesie, szczególnie w pierwszym okresie, nie zezwalało zakończyć roboty tym zespołom, które nie wykonały normy, skutkiem tego było nieotrzymanie normalnego posiłku;
- tzw. „gaubtwachta”, zwana przez nas w skrócie „guba”, czyli kara aresztu ścisłego, odbywana w odosobnionym pomieszczeniu, bez żadnych wygod i nie ogrzewanym, co było szczególnie dotkliwe zimą, z jednym posiłkiem dziennie.

A oto parę fragmentów wspomnień osób, które doświadczyły kary „gaubtwachty”. Zbigniew Roguski tak opisuje odbywanie kary „gaubtwachty” w II batalionie[34]:

„Areszt wyglądał w ten sposób, że było to przedłużenie ziemianki I kompanii, po prostu był to dół o wymiarach 3 x 5 m, bez okna, przy drzwiach stał wartownik. Gdy ktoś chciał się załatwić, stukał w drzwi, wartownik otwierał i szło się za płot. W tym czasie drzwi były otwarte i wchodziło świeże powietrze. Jedzenie dawano tylko jeden raz dziennie. Ale chłopcy zrobili dziurę w ziemiance I kompanii do aresztu i po

podniesieniu belecarki podawali moją porcję, którą dostawał pluton. W sumie więc nie było aż tak źle. Nie chodziło się do ciężkiej pracy, siedzieliśmy lub leżeliśmy na piasku, bo nie było żadnej pryczy. Po trzech dniach sierżant przychodzi mnie zabrać i pyta z ironicznym uśmiechem: «Dobrze się siedziało?» Odpowiadam – «Wyśmienicie!» Wobec tego dał mi jeszcze dodatkowo trzy dni aresztu. W sumie odsiedziałem 36 dni. Były one już gorsze, bo później rudy kapuś, nasz chłopak, który był «pomkom-wzwodem» w naszym plutonie, zjadał moją porcję. Po powrocie do Polski w Białej Podlasce dostał za swoje”.

O „srogim reżimie” gaubtwachty opowiada w swoich wspomnieniach Wiktor Iwanowski.[35] Karę tę zastosowano wobec chłopaka o pseudonimie „Cyganko”. Dostał on list, z którego dowiedział się o wielkiej tragedii: „ojca twego rozstrzelali bolszewicy, matkę wywieźli w nieznanym kierunku, siostrę kilku ruskich zgwałcili i też wywieźli”. Psychika młodego chłopaka nie wytrzymała, przestał w ogóle mówić, zobojeźniał na wszystko, na nic nie reagował. Przestał jeść, trzeba było go karmić. Nie pilnowany wychodził i szedł za każdym razem na zachód. Po wyprowadzeniu z latryny też rozpoczął swój „marsz na zachód”. Robił to zupełnie podświadomie. Sprawa nabrała rozgłosu. Wiktor Iwanowski, jego kolega, zawiadomił o tym dowódcę i lekarza batalionowego Tamarę. Dowódca zdecydował o pozostawieniu go na razie w ziemiance, chłopcy otoczyli go specjalną opieką. W plutonie w zasadzie byli sami swoi, ale – jak wspomina Wiktor „porcje mu przysługujące podkradały «hieny»”. Wreszcie sprawą zainteresował się sam ppłk Bułhakow, który nie wierzył w chorobę chłopaka.

„Wizyta politruka w ziemiance była wydarzeniem niecodziennym. Dyżurny podał rozkaz „baczość” i złożył raport o stanie liczebnym plutonu. Jedynek, który nie zareagował, był oczywiście «Cyganko». Siedział nieporuszony na pryczy, na kolanach trzymał miskę z zupą, miałem go zamiar karmić. Politruk spytał: «A gdzie etot sumaszedszy?» (gdzie jest ten wariat?), któremu się nie chce pracować. W tym momencie «Cyganko» nieoczekiwanie odwrócił się i chlusnął w politruka miską pełną zupy. Oniemieliśmy, wprawdzie z odległości około 4 metrów nie trafił w głowę, lecz część lury zwanej zupą spoczęła na oficerskim enkawudowskim mundurze. «Cyganko» tymczasem usiadł, jak gdyby nic się nie stało. Bułhakow wyskoczył z ziemianki, a za chwilę wpadło do nas kilku ze straży i wywlekli «Cyganka» na gubwachtę [...]. Nieszczęśnik nie stawiał żadnego oporu [...]. Na szczęście do batalionu przybyła wizytacja. «Cyganka», przeniesiono do sanczasti, gdzie na 5 łóżek był tylko on. Tamara chorego objęła opieką. Po pewnym czasie odwiedzając «Cyganka» zauważyłem pewną poprawę w jego zachowaniu się, przebywał on jednak dalej pod stałym dozorem Tamary”.[36]

Tadeusz Ginko, który po odmowie współpracy z politrukiem, dostał się też na gaubtwachtę, opisał ją następująco:

„Dwaj żołnierze wyprowadzili mnie pod karabinami na dwór. Szliśmy w kierunku aresztu, który znajdował się niedaleko pomieszczeń nadzoru i domków zajętych przez «naczalstwo».

Zostałem sprowadzony schodkami w dół, w całkowitych ciemnościach, do pomieszczenia w rodzaju piwnicy. Jeden z żołnierzy zapalił zapalniczkę, w błysku światła zauważyłem kilka postaci na pryczy w izdebce na wprost wyjścia. Dla mnie otwarto drzwi na prawo, wpełznięto do osobnego pomieszczenia i zamknięto na skobel. Żołnierze wyszli, zapanowała cisza. Wyciągnąłem przed siebie ręce i tuż, tuż przed sobą wymacałem ścianę. Cella, w której mnie zamknięto, miała wymiary metr na metr, metr kwadratowy podłogi, wysokość wystarczająca, by w niej stanąć. Klęcząc westchnąłem do Boga. Niepokój uleciał [...], ułożyłem się na ubitej ziemi, z nogami zgiętymi w kolanach wypełniłem sobą kwadrat powierzchni, z klockiem pod głową nie było tak źle. Kołnierz buszlaty chronił ucho od ucisku [...]. Nie mogłem się doczekać snu, przyszedł na ranem.

Obudziły mnie głosy towarzyszy niedoli, otworzyli skobel. – Wychodź, chodź do nas. Było ich trzech. Jednego złapano w czasie ucieczki, wydali go kołchoźnicy, do których zaszedł prosząc o jedzenie. Odszedł od obozu zaledwie 80 km. Dwaj pozostali, prości żołnierze, sprzeciwiali się pracy ponad normę. Jeden z nich poturbował sierżanta z nadzoru. Pierwszego uciekiniera czekał sąd. Drugi się zaciął i postanowił nadal odmawiać pracy [...].

Słyszając kroki zbliżającego się strażnika, stanąłem szybko w izolatce [...]. Po jego odejściu wszedłem na schody i przyłożyłem oko do szpary w drzwiach. Już było jasno [...], poznałem Kozakiewicza, studenta

medycyny, mego ucznia z okresu, gdy pracowałem jako asystent w Zakładzie Histologii u prof. Hillera. Wręczył bajcowi małą paczuszkę i coś mu wetknął w dłoń. Strażnik skierował kroki do aresztu, otworzył drzwi: «Eto dla ciebie» [...]. Był to kawałek słoniny, kosteczka wielkości 5x10 cm, już nieco pożółkła, ale pachnąca smakowicie wędzonką. Wzruszyłem się [...]. Myślałem sobie, jak różnymi drogami chodzi ludzka przyjaźń i życzliwość. Ofiarowany mi skarb był na wagę złota. Porcje żywnościowe były tak skromne, że ciężko pracujący tracili siły [...]. Starannie owinąłem kasek słoniny w zatłuszczony papier pozostawiając ją na czarnej godzinę. Trzeciego dnia wyprowadzono do pracy moich towarzyszy [...]. Dołączono mnie do nich [...]»[37].

Każdy batalion miał swoją gaubtwachtę, której ciemne ściany mogłyby niejedno podobne wydarzenie opowiedzieć.

Gospodarstwo pomocnicze pułku. Pułk posiadał własne gospodarstwo rolne, położone około 25 km od Kaługi. Zwano je „podsobnoje chazajstwo”. Już od sierpnia wysyłano tam do prac polowych naszych chłopców. Jako jedna z pierwszych pracowała tam część roty „automatnoj” III batalionu, uczestnicząc z kosami i grabiami przy sprzątaniu jarych zbóż. Pobudka była już o 4 rano, a pracę kończono o 18. Ale za to wyżywienie było dobre. Nie żałowano ziemniaków i jarzyn, a za śledzie i cukier można było kupić mleko, a czasami nawet i masło, toteż kierowani do tej pracy uważali się za szczęśliwców.

W wielu ankietach i wspomnieniach są wzmianki o pracach wykonywanych w gospodarstwie, takich jak: zbiory ogórków, kiszenie kapusty itp. Te pobyty w gospodarstwie były lepiej oceniane, dawały więcej możliwości poprawy wyżywienia. Nasze dowództwo szukając możliwości zdobycia wyżywienia: ziemniaków, kapusty czy ogórków, wypożyczało nas okolicznym sowchozom i kołchozom jako siłę roboczą, której dotkliwy brak odczuwały te gospodarstwa. Czasami były to doraźne potrzeby. Np. grupa z III batalionu pracowała w pobliskim kołchozie, za co otrzymaliśmy słomę do naszych sienników. Pracujący żołnierze otrzymywali dodatkowy posiłek, bez chleba, którego dotkliwy brak odczuwało się nawet w kołchozach. Po paru tygodniach chłopcy wracali do koszar w Kałudze. W jednym ze wspomnień jest wzmianka o takim pobycie:

„Najpierw trafiłem na «podsobnoje chazajstwo», należące do naszej jednostki, gdzie mieliśmy wykonywać pracę przy wykopkach ziemniaków. Zrobiono zbiórkę wywołując fachowców do różnych prac, reszta poszła do kopania ziemniaków. Zgłosiłem się do powożenia wołów. Woły były już zaprzężone. Zapytałem kołchozowego chłopaka: A gdzie są lejce? Chłopak uśmiechnął się i powiedział: Lejce są niepotrzebne. Jeżeli chcesz skręcić w prawo, dotykasz patykiem prawego woła i mówisz «sub !», jeżeli w lewo – dotykasz lewego woła mówiąc «sobe». I mimo że nigdy wcześniej tego nie robiłem, przez ponad tydzień wozłem wołami ziemniaki z pola. Jedzenie się na tyle poprawiło, że na obiad mieliśmy gęstą zupę z jarzynami, jałową, ale do syta»[38].

Życie religijne. W niedzielę, 23 lipca 1944 r., jeszcze przed opuszczeniem kraju, w Miednikach, wszyscy internowani uczestniczyli we mszy świętej, podczas której otrzymali absolutorium „in articulo mortis”. Naszych kapelanów wraz z oficerami i podoficerami oddzielono od masy żołnierskiej. Przed wyjazdem do Kaługi rewidowano nas i rekwirowano wszelkie posiadane przez nas „papiery”, między innymi związane z kultem religijnym. Zdarzały się rzadkie przypadki ukrycia książeczek do nabożeństwa, a nawet nieoficjalnego przyzwolenia na ich zachowanie. To spotkało i mnie – sowiecki pogranicznik pozwolił mi zatrzymać nowennę do Miłosierdzia Bożego i obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Dobrowolnie składając je na stosie rekwirowanych przedmiotów, nie próbując ich ukryć, czułem się jakbym dokonywał zdrady moich przekonań. Jakże często te niepozorne „papierki” roztaczały niewidzialną pieczę nade mną w najtrudniejszych chwilach mego pobytu w kraju pozbawionym Boga.

Bo byliśmy w kraju oficjalnie pozbawionym Boga i zwalczającym wszelkie praktyki religijne. Dawna Kaługa miała wiele cerkwi, przed rewolucją było ich około 30. W ciągu 20 lat większość z nich uległa całkowitej zagładzie lub przebudowie na potrzeby świeckie. W wielu przypadkach ich ruiny służyły jako nieoficjalne, publiczne szalety.

W rzeczywistości wyglądało to inaczej. Tadeusz Ginko w swoich wspomnieniach opisuje ciekawy przypadek. Kiedy znalazł się w prywatnym domu jednego z sowieckich oficerów, zobaczył

charakterystyczną rosyjską ikonę na honorowym miejscu. Co dziwniejsze – i oficer i jego rodzina przed posiłkiem odmówili modlitwę[39].

Mnie również przydarzyło się coś szczególnego. Kiedy przemarznięty i zrozpaczony stałem na stacji rozrządowej, gdzie przetaczano na tzw. górcie puste wagony towarowe, pomyślałem o ukróceniu tej męki przez wejście między bufory zderzających się wagonów. I wtedy, ściskając w ręce mój obrazek z Matką Boską, usłyszałem jakby Jej głos: „Nie czyń tego – samobójstwo to grzech”. Później interpretowałem to jako szczególną opiekę z Jej strony. Muszę wyznać, że tamten okres, mimo braku możliwości odbywania normalnych praktyk religijnych, jak msze święte, sakramenty, odwiedzanie kościoła, był czasem, kiedy byłem bardzo blisko Boga.

Wspomnienia polskich żołnierzy świadczą o ich religijności, ale czasami ukazują też zaskakujące przypadki religijności Rosjan. Przykładem może być wydarzenie, jakie miało miejsce w czasie ucieczki Wiktora Iwanowskiego i jego brata.

„Zbliżyliśmy się do niedużego wzniesienia i tam całkiem nieoczekiwanie dostrzegamy smużkę dymu. [...] Po wejściu do środka Tolek zauważył ikonę, w pierwszych słowach wyraził pozdrowienie Boga, co stało się kluczem do serc mieszkańców ziemianki. Zastaliśmy tam rodzinę składającą się z babci, córki i 2,5-letniej wnuczki. Od dnia ucieczki po raz pierwszy znaleźliśmy się pod prawdziwie gościnnym dachem, w ciepłym pomieszczeniu. Po wejściu i zajęciu miejsc na maleńkiej ławie kobieta [...] zobaczyła na mojej szyi krzyżyk, jakich wiele zrobiłem kolegom w obozie. Widząc znak Chrystusowy, babcia rozplakała się i ukazała w rogu chaty małą ikonę. Okazało się, że w tak nieoczekiwanej sytuacji właśnie religia nas połączyła. Po wyjaśnieniu faktu, że jesteśmy uciekinierami z łagru, babcia najpierw nas pobłogosławiła, następnie wysypała na stół trochę ugotowanych malutkich ziemniaków oraz okruszyny soli, a w banieczce od konserw podała trochę oleju. Dała to, co miała, był to prawdziwy dar serca”[40].

O jakichkolwiek próbach grupowego wykonywania praktyk religijnych w koszarach nie mogło być mowy. Wielu z nas modliło się indywidualnie i skrycie. Prawie wszystkie wspomnienia wzmiankują o odwoływaniu się do Boga, szczególnie w momentach trudnych. Wielokrotnie cytowany już Wiktor Iwanowski wspomina: „W niedzielę Wińka zaintonował liturgię mszy św. Odmówiliśmy też litanię i przystąpiliśmy do posiłku”. Podobnie podaje w swojej relacji Mieczysław Turek: „W niedzielę nie zapominaliśmy o modlitwie”.

Kiedy pracowaliśmy w lesie, co dziesiąty dzień mieliśmy „wychodnoj”, czyli dzień wolny. W niedziele zazwyczaj pracowaliśmy, starając się jednak pamiętać o dodatkowej modlitwie niedzielnej. Później, kiedy wróciliśmy, do sześciu dni roboczych, wszyscy pamiętaliśmy o niedzieli.

Moją pierwszą wigilię spędzoną poza domem, opisałem w pierwszej części tej książki. Był to rok 1944. Byłem wówczas w lesie na 27 kilometrów, przywieziony tu z innymi „niedobitkami z Kaługi”. Czułem się samotny, choć nie byłem głodny, mogłem ugotować sobie kaszę jaglaną, zdobytą w drodze do miejsca zesłania. Smutna to była Wigilia, ale mogło być jeszcze gorzej.

Te nasze Wigilie obchodzone były w małych grupach i były do siebie podobne. Bolszewicy śmiali się z tego, z jakiegoś Boga, z durnych zwyczajów. Swoją Wigilię tak opisuje Wiktor Iwanowski:

„W Wigilię całkiem nieoczekiwanie podszedł do mnie „Hubert” (Zdich Fedorowicz) i zaprosił do swojej ziemianki. Wigilia była bardzo uroczysta. Na „stole”, a właściwie na pryczy, znalazły się trzy porcje chleba, cały kociołek ugotowanych kartofli, trochę cukru i symboliczny opłatek w postaci skórki od chleba. Rozmowy zakończyły się cichym śpiewaniem kolęd”. [41]

Swoje pierwsze Święta Wielkanocne opisałem w liście z dnia 1 kwietnia 1945 r. Inni koledzy wspominają je również.

Zenon Jankowski z II batalionu pisał[42]:

„Wielkanoc przypadała w tym roku na dzień 1 kwietnia. W dniu tym cały batalion skierowany został do załadunku wagonów towarowych drewnem. W przeciągu paru godzin załadowali wagony i powróciliśmy pośpiesznie do ziemianek. Dano nam do wieczora wolne.

Z posiadanych z przydziału konserw amerykańskich i jajek w proszku przygotowaliśmy święcone. Obchodziliśmy święto wspólnie z całą ziemianką, razem z drugim i trzecim plutonem. Świętowaliśmy, śpiewaliśmy pieśni wielkanocne, składaliśmy sobie życzenia. Resztę dnia spędziliśmy poza ziemiankami, przy ogniskach, gotując i zajadając ziemniaki.”

W zupełnie innej atmosferze obchodziliśmy Święta Bożego Narodzenia w 1945 r. Byliśmy całym pułkiem w Kirowie. Nastrój był już radosny, w myślach jechaliśmy już do domu. Każdy miał nadzieję nadejścia tej upragnionej chwili. Aprowizacja była też już znośna. Mieliśmy nawet opłatki, nie było problemu ze śledziami, które dostawaliśmy w ramach naszych racji. Każdy chomikował na ten dzień różne wiktuały. Kolędowaliśmy radośnie i głośno. Jeszcze nie było możliwości udania się do kościoła, ale nastrój był podniosły i religijny i co najważniejsze: mogliśmy być razem, widzieć się i uściskać, złożyć sobie życzenia. A jeszcze do niedawna nasze bataliony dzieliły kilometry, których nie wolno nam było przekroczyć.

I nareszcie Polska. Jesteśmy w Białej Podlasce. Niedziela, 13 stycznia 1945 r. W zwartych szeregach, z pieśnią na ustach, udajemy się do kościoła na niedzielną mszę św. A jest nas niemało, co najmniej 3.500 ludzi, odzianych w angielskie wojskowe płaszcze, wielu na sowieckich zimowych czapkach ma polskie orzełki, inni białoczerwone opaski na rękawach, te, które cudem uniknęły konfiskaty. Na zakończenie mszy rozległo się gromkie „Boże, coś Polskę ...”. Nikt z nas i z miejscowej ludności nie krył łez wzruszenia. Był to przepiękny akord naszej tułaczki, tak szczęśliwie zakończonej.

Życie kulturalne. Założenia ustroju socjalistycznego zakładają znaczny udział kultury w życiu człowieka. Kultura ta jednak ma służyć budowie socjalizmu, a w dalszej fazie komunizmu. Dlatego była nasycona hasłami i sloganami propagującymi wyższość tego nowego systemu. Gloryfikacja przybierała nieraz kształty monstrialne, aż do absurdu i śmieszności. Nam, ludziom wychowanym w kulturze zachodnio-europejskiej, opartej na wiekowych tradycjach antycznych i chrześcijańskich, typ kultury socjalistycznej nie mógł imponować.

Poniższy przegląd działalności kulturalnej naszych żołnierzy tylko w przybliżeniu zarysowuje obraz tego życia. Jest on niepełny i fragmentaryczny. Całe lata przemilczania prawdy o tamtym okresie wyrządziły niepowetowaną stratę.

- Filmy propagandowe. Miały kształtować nasze postawy. Wyświetlano je już w Kałudze, później w lasach moskiewskich. Przyjmowaliśmy je z ulgą, bo w czasie ich projekcji, mieliśmy chwilę wytchnienia od wysiłku fizycznego. Dzisiaj już nie pamiętam ani ich tytułów, ani treści. Jeden z nich, o banalnej miłości między radziecką kołchoźnicą a amerykańskim farmerem, wyjątkowo utkwiał w mojej pamięci, pobudził tęsknotę za wolnością i mógł być inspiracją do podejmowania prób jak najszybszego opuszczenia miejsca naszego zesłania.

- Radio. Koszary w Kałudze były zradiofonizowane. Prawie przez cały dzień brzęczały głośniki. Informowały one nas głównie o postępach na froncie, osiągnięciach Kraju Rad. Nadawano też muzykę wojskowo-wojenną, często melodie były nawet miłe dla ucha. Nie zawsze wierzyliśmy podawanym wiadomościom, ale były one jedynym źródłem informacji, poza codziennymi zajęciami politycznymi. W lesie już tego nie mieliśmy, nawet pogadanki polityczne ograniczono nam do minimum.

- Prasa. Gazet oficjalnie, „służbowo”, prawie nigdy nie otrzymywaliśmy. Były one cenne dla palaczy – służyły do robienia „skrętów” (papierosów). Otrzymywane z domu były naturalnie już nieaktualne.

- Muzyka. W Kałudze na dworcu przywitała nas dęta orkiestra pułkowa, która towarzyszyła nam podczas ważniejszych ćwiczeń, a przede wszystkim pułkowych przeglądów i uroczystości. Po wyjeździe do lasów każdy batalion starał się o utworzenie namiastki orkiestry batalionowej. Np. w I batalionie był 9-osobowy zespół: trębacz Wołodia (Rosjanin), reszta: gitara, dwoje skrzypiec, harmonia, mandolina, trąba i perkusja – to nasi chłopcy. W innych batalionach zespoły muzyczne były podobne. Ze względu na przewagę instrumentów strunowych nazywano je orkiestrami „strunnymi”. Występowały one na uroczystościach oficjalnych, jak również na koncertach naszych zespołów artystycznych. Członkowie orkiestr byli zwalniani z pracy w lesie, a tym samym stanowili grupę uprzywilejowanych.

Zespoły artystyczne. Zaczęły powstawać przy batalionach roboczych, najczęściej równocześnie z orkiestrą lub zaraz po jej powstaniu[43]. Najszynniejszym i najlepszym zespołem kierował Henryk Czyż, znany później kompozytor i muzyk pedagog, Bernard Ładysz – światowej sławy bas operowy. W II batalionie

występowali komici „Czeczkin” i „Pipkin”. Były to pseudonimy. Ich występy przyjmowane były z wielkim aplauzem, zarówno przez naszych chłopców, jak i przez sowieckich dowódców.

Kiedyś w II batalionie wystąpił zespół artystyczny z karnego batalionu byłych oficerów Armii Czerwonej. Stacjonowali oni gdzieś w pobliżu nas, w głębi puszczy, o czym dotąd nie wiedzieliśmy. Odbywali karę za grzechy nie popełnione. W pierwszym okresie wojny dostali się do niewoli niemieckiej i przebywali w niej do końca wojny. W trakcie występów krytycznie oceniali zarządzenia swych władz, a nawet przejawy zła w ustroju socjalistycznym. Polityczne czynniki batalionu cały program przyjęły z życzliwym humorem.

Komici wykorzystali ten fakt, stosując bardziej ciętą satyrę, obnażającą wady i przywary naszych przełożonych. O dziwo, przyczyniło się to w pewnej mierze do ukrócenia różnych machlojek oficerów i podoficerów, pełniących funkcje gospodarcze w magazynach, kuchni. Musieli liczyć się z tą formą krytyki. A zatem występy przynosiły nam nie tylko odprężenie i ulgę, ale i łagodziły utrudnienia wynikające z ludzkiej nieprawości.

- Drobną twórczość artystyczną. W I batalionie powstała zupełnie przypadkowo. W pobliżu rejonu naszego działania leżał w polu wrak sowieckiego samolotu szturmowego Ił-2. Lądował on przymusowo „na brzuch”, bo nie otworzyły się podwozia. Silnik został zabrany, reszta w ciągu paru tygodni kompletnie rozebrana przez naszych chłopców, przechodzących w pobliżu wraka do pracy w lesie. Zdobyta w ten sposób cienka blacha aluminiowa okazała się wspaniałym materiałem do wykonywania drobnych pamiątek, jak: ryngrafy, papierośnice, pudełka ozdobne itp. Mistrzem w tej dziedzinie okazał się Henryk Sawala, który za porcję chleba wykonywał na zamówienie różne cudeńka.

W innych batalionach istniała podobna produkcja. Ludzka inwencja nie ma granic i nawet w najcięższych warunkach znajduje potrzebę twórczego wypowiedzenia się i posiadania czegoś ładnego. Wiele ciekawych przedmiotów, jak np.: krzyżyki, ryngrafy, papierośnice, odlewane z aluminium fajki wykonywał w III batalionie Wiktor Iwanowski.

Literatura polska. Była nam niedostępna. Wprawdzie w plutonie naszych lekarzy znalazł się przemycony tom Krzyżaków Sienkiewicza[44], ale krąg jego czytelników był bardzo wąski. Natomiast już w lesie pojawiła się nowa funkcja: „opowiadacza książek”. Wieczorami, po ułożeniu się do snu, narrator bardzo sugestywnie, z drobnymi szczegółami snuł opowieści o przygodach Skrzetuskiego i Heleny, Bohuna, imć Pana Zagłoby i innych Sienkiewiczowskich bohaterów. O ile początkowo niektórzy, bardziej złaknieni odpoczynku i ciszy protestowali, to z czasem trudno było utrzymać rozsądny czas narracji. Przypuszczam, że wielu z naszych żołnierzy po raz pierwszy zetknęło się z twórczością Sienkiewicza i innych polskich pisarzy. Podobne praktyki stosowano i w innych batalionach. Mój przyjaciel, Wacek Gilicki z 39 kilometra (IV batalion), pisał do mnie 6 lipca 1945 r.: „Do czasu, gdy zechce się spać, jeden «malec» (w gwarze wileńskiej: chłopak) opowiada książki. Wszyscy jak jeden mąż słuchają. U niego w ogóle wszystko «jak z rękawa». Teraz idą trzy tomy Sergiusza Piaseckiego. Pamiętasz, jak to czytaliśmy?” W okresie późniejszym była możliwość dostania do czytania drobnych pozycji z literatury rosyjskiej, naturalnie w tym języku.

- Poezja. Wśród nas byli również ludzie wykształceni, a nawet utalentowani. Powstawała więc poezja obozowa opiewająca, nieraz humorystycznie, nasze życie.

- Rysunek. Znaleźli się twórcy, którzy zostawili potomnym graficzny zapis naszej obecności. Na przykład dr Tadeusz Ginko stworzył wiele portrecików, karykatur i scenek z życia obozowego. Znaczna część twórczości T. Ginki pozostała w Rosji, bo rysował on również portreciki sowieckich oficerów i podoficerów, na ich życzenie. Wielka szkoda, że zbyt mało jego twórczości trafiło do jego wspomnień, wydanych w „Bibliotece Wileńskich Rozmaitości Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej” (Bydgoszcz 1993). Z całą pewnością podobnych jemu było znacznie więcej.

P o e z j a o b o z o w a*

Ziemiańka

*Wśród rzędu ziemianek i nasza stała,
Wyjątkowo czysta, wyjątkowo biała.
Za postanie w niej nary szmatami obite,
Dymiący piec zastępuje nam płytę,
Oświeśla ziemiankę – kopcilka naftowa,*

Wisi i żarówka piętnastuwoltowa.
Mrugnie sobie czasem, jak jaka kokietka,
By się nie przemęczać, ot tak sobie z lekka.
A czego tutaj chłopcy nie robią,
Tu suszarnia onuc i pokój stołowy,
Pracownia blacharska i stadion sportowy.
O wielu czynnościach nie będę wspominał,
Te w pojęciu panien – to istny kryminał.
Trudno wyobrazić, jaka tu wspólnota,
Tarakany, myszy, zobaczysz i kota,
Turkuć podjadek i świerszcz jegomość,
Walczyć z nimi na próżno „sto na jednego”,
Zwyciężą nawet Taraszewskiego.
Dniewalny z miotłą kręci się, zamiata,
Wstać! Smirna! Tawariszcz, no i nowina.
Na „gaubtwachcie” siedzi „starszyna”.
Najweselszy jednak to wieczorny czas,
Wśród miłych wspomnień piosenka łączy nas.
Płynie piosenka, mijają dni,
O lepszym jutrze – tylko nam się śni.
Oj! Znasz ty sny nasze, ziemianko jodłowa.
Lecz szkoda, bo może kiedyś w przyszłości
Mogłabyś powiedzieć o nas
potomności.

Żegnaj... Kaługo!

Żegnaj, nieszczęsne miasto, straszne w snach koszmarnych,
Ty mi w oczach stać będziesz wciąż po nocach czarnych,
W pamięci pozostanie murów twych odbicie.
Ty nam młodość zatrzymaś i straciłaś życie.
Przez te miesiące ni razu radośnie
Pieśń polska nie zabrzmiała długo i radośnie,
Lecz milkła nie doszedłszy nieraz do połowy,
Drgając w zaschniętych piersiach jak psalm Dawidowy.
Szły setki naszych braci po drogach Kaługi,
Wlokąc za sobą pyłów gęste smugi,
Wojsko to albo kondukt pogrzebowy,
W oczach smutek widoczny, na pierś zgięte głowy.
O kałużanie! Długo w oczach Waszych
Zostanie echo smętnych piosenek naszych,
Zostanie obraz rycerzy skazańców
Na pastwę losu rzuconych wygnańców.

Żegnaj Kaługo, nasza cytadelo,
Po raz ostatni mury twe się bielą,
Już się skończyły tve piecze nad nami.
Nikt cię jednak nie żegna żalem ani łzami.
Może nas los szczęśliwy na swą ziemię rzuci,
A może jeno kości matce ziemi wróci.
Jednak choćbym miał umrzeć i przyjść na świat drugi
Nawet bym duchem nie chciał wrócić do Kaługi.
Słyszysz, nieszczęsne miasto, jak ciebie żegnają
Polscy żołnierze, oni ci w twarz plują.
Ty polską ręką z gruzów odgrzebana,

Polskim słowem przeklęta bądź i zapomniana!

Sen

*Tak miło, miło tej nocy mi się śniło.
Po prostu dawne czasy, tej nocy nie szumiały lasy.
Słyszałem jakieś dziwne tony.
Tak! To były katedralne dzwony.
Ach! Ja przecież W i l n o widziałem.
Wilno, o które krew przelewałem.
Wilno – miasto kochane,
Czemuś tak smutne i zadumane.
Ach! Wilno, płaczę Willi falami,
Tak tęskni, tak tęskni ono za nami.
Tam w Ostrej Bramie Najświętsza Panienka,
Obraz odsłaniają, naród przyklęka,
I płyną, płyną modlitwy słowa,*

*Błogosławi swe miasto Polski Królowa.
W sercu jakiś żal, tęsknota,
Rwę się do Ciebie Polsko moja złota!
Hej, a przyjdzie wreszcie taki czas,
Kiedy pożegnamy przeklęty las,
Gdy z okien wagonu popłynie śpiew.
Witajcie drodzy, witajcie kochani!
Nie poznajecie? To my kałuzanie!
Poezja I batalionu roboczego**

Dzielenie chleba

*Fantazjo! Swe obrazy zła – ten temat twórz!
Co za dziwy się dzieją – któż odgadnie – któż?*

*Loch podziemny podobny do katakumb wnąk,
Ledwie wejdiesz paniczny ogarnie Cię lęk.
Ciemność wnet ogarnie najbystrzejszy wzrok,
Nikły promień światełka zwalcza gęsty mrok.
Jakieś straszne postacie cicho siedzą w krąg.
Wpatrzeni, zapatrzeni w ruch jedynek rąk,
Czujnie śledzą, by jak najmniejszy nie zakradł się błąd,
Niespokojni, jakby do prochu ktoś przykładał lont.*

*W jego ręku okropny połyskuje nóż,
Co za dziwy wyczynia Mistrz Masońskich Lóz?
Albo inny przywódca, bo ktoś „szefem” zwie,
Lecz on milczy uparcie – tylko tnie i tnie.
Jedna postać na rozkaz zwróciła się w ką,
Jakieś dziwne imiona popłynęły stąd:
Wotawa – Kurc – Dolata – Skorwid – Leśku – Krych.
A gdy każdy coś dostał, wywoływacz ścichł.
Pewnie skarb jakiś wielki otrzymał do rąk,*

*Bo wzruszeniem najwyższym ożywił się krąg.
Fantazjo! Przypuszczenia na ten temat rób!
Może banda opryszków dzieli krwawy łup!*

*Albo wyznawców diabła – ze strachu serce drga,
W podziemiach jakiejś świątyni – czarna idzie msza?*

*Cóż to za misteria dzieją się bez słów,
Wczesnym rankiem, w południe i wieczór znów?
Nam, którzy tu siedzą, zgadywać nie trzeba,
Tak odbywa się u nas zwykły podział chleb.*

*Obiad w lesie
Zmęczeni, wygłodniali pchali się kupą,
By zmarznięte wnętrzości ogrzać ciepłą zupą,
I małą kromką chleba swe siły podtrzymać,
By nie zmogła nas praca, nie zniszczyła zima.*

*Oblegliśmy wiadra z naszą szczupłą strawą,
Jeden cisnął się w lewo, drugi laźł na prawo.
Pchaliśmy się w pośpiechu wśród tłoku i ścisku,
By znaleźć jakieś miejsce przy zbawczym ognisku.*

*Ów przykucnął, ten klęknął, inni kręgiem stali,
Zimny wiatr mroził plecy, ogień twarze palił,
Dym wciskał się do oczu, gryzł je, mglił i mroczył,
Wyciskał łzy ze zmęczonych, smutnych naszych oczu.*

*Jedliśmy cieńką zupę bez łyżek, jak wodę.
Łyżki? Po cóż nam łyżki? Nawet czasu szkoda!
Jedźmy prędko, bo jeszcze czeka nas kasza,
A maszyna nadchodzi – nasza czy nie nasza?*

*„85” ! Cóż tak prędko przynieśli ją diabli!
Powoli, bez pośpiechu, wracamy do sztabli,
Potykając się w śniegu klnie, kto mocny w pysku.
Tak się kończy nasz obiad w lesie, przy ognisku.*

Panis bene merentium

*Jeśli chodzi o „depe”, to tutejsze „Ruty”
W lutym dają za grudzień, a w maju za luty.
Ten sposób, choć nie nowy, zaciskania pasów,
Umożliwi zebrać żywności zapasów.
A genialna metoda nauczy najprościej
Oszczędności „Konsumy” i wstrzemięźliwości.
Najpierw radość, a potem przestrasz chwyci,
Jak przechować to wszystko – szukasz jakiejś rady,
Lecz w głowie powstał mętlik i w chaosu wirze,
Majaczą się spiżarnie, jakieś chłodnie, lochy.
Aż wreszcie myśl natrętna do głowy przychodzi,
Że me skarby bezcenne skradnie sprytny złodziej.
Jednakże w końcu problem sam się przez się rozwiąże,
Przecie tego wszystkiego tutaj zjeść nie zdążym.
Stąd moja do władz naszych jest prośba wielka –
Panis bene merentium – przyszlizcie do Wilna.
Z jaką radością witać pracy mojej plony
Będą wnuki – ładowne przyjmując wagony.*

Kilka charakterystyk

*Więc najpierw Makarewicz – opiszę pokrótce
Zalety, co cechują naszego dowódcę:
Człowiek to z charakterem i ma tę odwagę,
Gdzie trzeba ostro zganić kłamstwo, fałsz i blagę.
Arkana naszej pracy zna on i prawidła,
Jak inni swej władzy nie włazi bez mydła.
Spraw naszych nieugięty rzecznik i obrońca
Jest z nami od początku – niech będzie do końca!*

*Wysokie sam o sobie ma wielce mniemanie,
Do dyskusji na każdy temat chętnie stanie.
Nieobca mu jest żadna najzawilsza sprawa,
Specjalność wypiek chleba i znajomość prawa.
Bolesław Kondratowicz – drużynowy drugi,
W stosunku do plutonu ma także zasługi,
On życie towarzyskie wśród kolegów krzewi,
Sekundują mu dzielnie Leśku, Kurc, Dziedziewicz.
W rezultacie karciany hazard srogi
„Dzieduszkę” Mrowelskiego postawił na nogi.
Za to biedny Dziedziewicz – ongiś smakosz wielki,
Zamiast mleczka – zmarznęte je dziś kartofelki,
I z wielkim niepokojem listonosza czeka,
By czym prędzej znowu przegrać nowy z domu przekaz.*

*Pierwszy jest w każdym dziele, pierwszy w każdej sprawie,
Pierwszy w trudzie najcięższym, dyskusji, zabawie.
Pierwszy strawę podzieli, pierwszy chleb pokraja,
Pierwszy ciebie pochwali, pierwszy ciebie złaja.
Pierwszy w ciężkiej potrzebie, czy to dniem czy nocą,
Poda rękę życzliwą, przyjdzie Ci z pomocą.
Bezpośredni i prosty, arbitralny trochę,
Pierwszy Cię znienawidzi, pierwszy Cię pokocha.
Każdy drobiazg, błahostka zdoła go zachwycić,
Przez drobnostkę potrafi obrzydzić Ci życie.
Realista: nie lubi romantycznych wzlotów,
Słowa swoje – swym czynem zawsze poprzeć gotów.
Któż to taki? – niejeden z Was, nowych, zawoła –
My, starzy, dobrze wiemy – to nasz Kurc Mikołaj!*

*Nie tak „in illa tempore” bywało . . .
Mówiono nam, gdy wojna jeszcze trwała sroga,
Że każdy kloc dla państwa jest ciosem we wroga.
Byliśmy wtedy liczni, silni, dzielni, twardzi,
Ot, można by powiedzieć, drugi pluton gwardii.*

*Nie było markieranctwa, nie było wykrętów,
Wypełnialiśmy normy na dwieście procentów.
Aż miło było patrzeć, kochani rodacy,
Na naszych stachanowców, entuzjastów pracy.
Dziś rozsypał się pluton w różne światła strony,
A reszta się wykańcza – kto nie wykończony.
Po trudach ponad siły w końcu pozostała
Ledwie zdolnych do pracy – ludzi garstka mała.*

Gdzie nasi towarzysze, gdzie jest stara wiara –
Opowiedzieć kolegom dzisiaj się postaram.

*

Jeden z pierwszych, co sprytnie uśmiech losu złowił
„Politruk” naszej rotę – Pan Radziwinowicz.
Tak wytrwale objął protektorów progi,
Aż puszczono do domu, bo mu spuchły nogi.
Chciał jechać razem z nami, ale nas wyprzedził –
Choć ruszył jeszcze w sierpniu – dotychczas wciąż siedzi.

*

Nie doczekał do zimy Stanisław Dolata,
Wyzwolił go z tych lasów – kiszek ostry katar.
Też do domu nie trafił, choć czas płynie długi –
Czeka i smętne listy pisuje z Kaługi.

*

Nie dobiegnie wraz z nami do ostatniej mety
Również „szef” Ostaszewski – Wielki Mistrz Repety,
Budowniczy ziemianek, jak wieść o nim niesie,
Stawia metry, nieborak, gdzieś w Kluczowskim lesie,
I pasa zaciskając, sławi dawne czasy „Dziadzi Saszy”.

*

Nie widać w dzień w ziemiance, choć na noc przytązi
Mały Miecio Puciata – onże Wielki Łazik –
Według nowego zaczął niedawno żyć planu,
Odkąd ich wielką miłość zdradził płochy Janusz.

*

Nie krzyczy na sierżantów, jak dawniej na placu,
I dzisiejszy „dniewalny”, nasz Piontkowski Wacusz,
Nie widać go, nie słychać, siedzi gdzieś w kątku
I dalej swoje zupki warzy na piecyku.

*

„Ambasador” Piotrowski i Leśkiewicz Tadek,
By uniknąć prac ciężkich też znaleźli radę.
Spokojnym nurtem życie im w tartaku płynie,
Drzemkę Tadzia bajkami rozpędza inżynier,
Biegły we wszystkich sprawach i wielkich i małych,
Puszczając wodze fantazji można przez dzień cały.
W ten sposób globtrotter – encyklopedysta
Z braku encyklopedii w tych lasach korzysta.

*

W kuchni stoi przy drzwiach – nikogo nie puszcza –
Znawca spraw erotycznych – „dniewalny” Matuszczak.
Zasłuchanym kucharzom opowiada bzdury,
U której jest zwyczajnie, a w poprzek u której.

*

„Naddniewalny” Dajnowski – Eminencja szara,
Z matni, w którąśmy wpadli, wydobyć się stara.
Tymczasem gdzieś w „sanczasti” nad sposobem duma,
Jak by dowieść lekarzom, że już dawno umarł.

*

Zdradził „szejk” Wotawa swoje „alibaby”,
Łazi dziś po ziemiance chory, dziwnie słaby,
Swej roli stachanowca do końca nie sprostął,
Pozbył się swych ambicji i „dniewalnym” został.

*

„Hrabia” Zbigniew Karczewski – ten dzisiejszą modą,
Zrzuciwszy pychę z serca – został woziwodą.
Złośliwi wnet puścili o nim wieść niemiłą,
Że uciekłszy od pluskiew, sypia dziś z kobyłą,

*

Także Romuś Mrowelski – nie wiem z jakiej racji –
Na ładunek wagonów cennych sił nie traci,
Przez dzień cały nie złącząc z Madejowej pryczy
Kilku głupców w pokera nieustannie ćwiczy.
Ile Mistrz od frajerów już forsy wydoił –
Wie jeden „szejk”, co Romcia i karmi i poi.
Popłynął już u niego Kurc, Dziedziewicz płynie,
Popłynie Kondratowicz, Leśku i Życiniec.
Nie ominie, wierzcie, także tęga chłosta
I naszego „szatana” – Władka Dobrogosta.
Dosyć będzie jednak o tym – mój udział skończony
W tej sprawie – a o graczy niech się martwią żony,
Bowiem o nich od dawna takie gadki krążą,
Że przysyłać pieniędzy mężom nie nadążą.
Na zakończenie parę strof o pożegnaniu naszego
„sierżanta” – d-cy plutonu o przydomku „Pajac”.

Pożegnanie „Pajaca”

Spadł nagle, jak grom z nieba, zniknął jak kamfora,
Bowiem – „dłużej klasztoru niżeli przeora”.
Swą pamięć o nim pluton w tych słowach utwali:
„Liubow była bez radości – rozłuka bez pieczali”.
Ja w miej wykwiłtej formie pożegnani „Pajaca”:
Idź sobie do stu diabłów – idź – i nie wracaj!

Malejcha, listopad 1944 r., Skorwid

Piosenka śpiewana na melodię: Oj, Ludwiko . . . **
Oj, wesole tu życie płynie w koło,
Czy ty „kiwasz” na maszynie, czy pijesz,
„Grużisz” wagon albo drogi reperujesz...
Oj, wesole tu życie płynie w koło.
Kto nie był w lesie – ten „durak”,
Nie wie, co życia smak.
Śpisz, a noc tak bardzo krótka,
Już Wałodzia gra pobudka,
A „dniewalny” głośno wrzeszczy, że „podjom”.
Zaraz będzie umywanie,
„Pomkomzwod” ciebie wygania,
Wylatujesz ty z ziemianki, tak jak grom,
Zjesz śniadanie, masz ochotę
Wtedy ruszyć na robotę.
Już na ciebie krzyczą „pulej wyletaj”.
A w niedzielę dzień „wychodny”,

*Będzie koncert nowy, modny,
Będzie życie, będzie radość, będzie raj.
Refren : Oj, wesoło tu życie płynie w koło. . .
Wrócisz z pracy, wszyscy znacie,
Będzie wnet „politzaniatie”,
Albo z pół godziny ćwiczyć „strajawoj”,
Potem tak jak w restauracji
Gra orkiestra do kolacji,
Za godzinę będzie sygnał na „odboj”.
Wczoraj poszedł do „sanczasti”,
Doktor mnie przyłożył maści.
Potem był podniósłszy jakiś wielki krzyk,
Dał lekarstwa mnie z pół szklanki,
Jutro będzie stawiał bańki,
A pojutrze będę zdrowy ja jak byk.
Refren: Oj, wesoło tu życie płynie w koło . . .*

*Choć niecałe pół roku gościł u obcych, **
Zapomnieliśmy pięknej swojej mowy – chłopcy!
Tego, który swój język kaleczy jak nożem,
Choć przekleństwa piętnuję – tą klątwą obłożę:
Jeśli powiesz, żeś chodził „za zupą” na kuchnię,
Niech jęzor kołem stanie, a wstrętą gęba spuchnie!*

Wcześniejsze zwolnienia

W październiku 1944 r., po ukazaniu się rozkazu nr 11594 z dnia 18.09.44 r. o częściowej demobilizacji, w naszym pułku nastąpiły zwolnienia, które objęły roczniki starsze od 1900 r. i młodsze od 1928 r. Oto relacje dwóch naszych żołnierzy, którzy mogli wyjechać wcześniej do domu.

Henryk Szulżycki – ur. 19.07.1926 r. żołnierz 10 Brygady „Gustawa”, ps. „Kruk”

Jesteśmy w Kałudze. Koniec lipca 1944 r. W naszym wagonie 90 osób z różnych kompanii i samodzielnych batalionów Armii Krajowej. Jest ranek. Budzimy się. Gra orkiestra. O dziwo – krakowiaka, mazurki i jakieś inne marsze. Otworzono wagon i pada komenda: „Wychadź, strojsia w kałonu !” (Wychodzić, stawać do szeregu w kolumnie). Wymęczeni i osłabieni jazdą w dusznych wagonach, ruszaliśmy się niemrawo. Przyjechałem prawdopodobnie w pierwszym transporcie. Tylko jeden raz, między Smoleńskiem i Witebskiem, wypuszczono nas. Do jedzenia dawano solone śledzie, a do picia nic – stąd nasza niemrawość. Po ustawieniu nas w czwórki pomaszzerowaliśmy na czele z orkiestrą do koszar. Pamiętam tylko, jak przechodziliśmy koło ruin cerkwi, na której murach widoczny był anioł albo jakiś święty. Doprowadzono nas do koszar poza miastem. Zabudowania były otoczone wysokim płotem z drutu kolczastego. Byliśmy bardzo spragnieni, toteż widząc na placu pompę, rzuciliśmy się do niej i piliśmy wodę. Później przy pompie postawiono krasnoarmiejca z pepeszą, który nie dopuszczał do wody. Rozłokowano nas w budynkach, po 10 osób w pokoju, tak jak staliśmy. Po przespanej nocy stwierdziłem, że mam świerzb. Skierowano nas do „sanczasti”, gdzie smarowano nas śmierdzącą maścią. Po tygodniu jako wyleczony wróciłem do koszar. Tu dowiedziałem się, że jesteśmy w 361 zapasowym pułku piechoty. Zostałem przydzielony do 8 „strelkowej” roty, do plutonu ckm-ów („pulemiotnyj wzwod”). Dowódcą kompanii był lej. Michajłow, a dowódcą plutonu sierżant Mirsaitow. Szef kompanii mówił do mnie „synok”.

Koszary naszej 8 kompanii znajdowały się po lewej stronie wejścia z bramy głównej (od sztabu). Sale nasze były na parterze, łóżka piętrowe dla całej drużyny. Przed umieszczeniem nas w sali odbyliśmy kąpiel w łaźni, gdzie pozbawiono nas wszelkiego zarostu. Do dzisiaj przechodzą mnie ciarki, kiedy kapral z brzytwą kazał pociągać „narządy” raz na prawo i raz na lewo, a on machał tylko brzytwą. Brr! Po umyciu się dostaliśmy zupełnie nowe sowieckie umundurowanie i rozpoczął się mozolny dzień ćwiczeń. Pobudka o

godz. 6.00, po skromnym śniadaniu wymarsz na plac ćwiczeń. Maszerowaliśmy w stronę rzeki Oki. Na przejściu przez rzekę był mostek, który najczęściej był ćwiczebnie „zaminowany”, a więc musieliśmy przechodzić przez rzekę w bród. Było płytko, skakaliśmy po kamieniach, aby zbytnio się nie zamoczyć. Nie zawsze się to udawało. Parę razy tylko korzystaliśmy z normalnego przejścia mostkiem. Po drugiej stronie wysoki, stromy brzeg. Ziemia śliska, a zmoczone buty utrudniały wejście na skarpę. Po wdrapaniu się, bez odpoczynku, ćwiczenia walki wręcz. Padały rozkazy: „długim koli, krótkim koli”. Stały tam makieły przeciwnika. Po tych ćwiczeniach plutonami nasi sowieccy instruktorzy prowadzili zajęcia z taktyki, nauki o broni, granatach itd. Wykłady i ćwiczenia odbywały się na pograniczu z polami kołchozowymi. Czasami udawało się wygrzebać kartofle i schować do kieszeni. Wracając do koszar musieliśmy śpiewać. Początkowo były to wojskowe polskie piosenki, później zmuszano nas o śpiewania po rosyjsku. Po przyjeździe do koszar – czyszczenie broni, chociaż najczęściej były to atrapy.

I wreszcie upragniony obiad: chochla rzadkiej zupy i jako drugie łyżka makaronu lub ziemniaków czy kaszy jaglanej. Zjedzony obiad pobudzał tylko apetyt. Szczęśliwcy, mający ukryte ziemniaki, zdobyte w czasie ćwiczeń próbowali je upiec w kotłowni w piwnicy („kaczegarce”). Naturalnie nie dotyczyło to większości. Niektórzy koledzy dokupywali chleb zza płotu koszar, za zegarki i inne przechowane przedmioty. Zdarzały się przypadki dostania się któregoś z naszych za ogrodzenie, po złapaniu był karany czyszczeniem WC lub sprzątnięciem korytarzy, ale jeżeli udało się mu zdobyć marchew, zielone pomidory – był zadowolony. Prawie miesiąc trwało nasze wojskowe szkolenie. Kiedy odmówiliśmy złożenia sowieckiej przysięgi, przerwano ćwiczenia i kierowano nas do różnych zajęć i prac, zarówno na terenie koszar, jak i poza nimi.

W trudnych chwilach, kiedy mieliśmy trochę wolnego czasu, np. w tzw. „dzień wychodny” (wolny dzień od pracy), siadałem w stołówce, wyciągałem swoją książeczkę do nabożeństwa i różaniec i modliłem się. Te cenne dla mnie przedmioty musiałem przy rewizji w Miednikach złożyć na stosie rekwirowanych nam przedmiotów, ale zdobyłem się na odwagę i zapytałem asystującego przy tym procederze sowieckiego oficera: „Te przedmioty nie są żadną bronią i nikomu nie szkodzą, dlaczego mnie je zabieracie?”. Oficer polecił krasnoarmiejcowi: „Oddajcie!” I w ten sposób przez cały czas moja książeczka i różaniec towarzyszyły mi do końca mego pobytu.

Tu chciałbym wspomnieć o jeszcze jednym zdarzeniu. Obok mnie przy stole siedział sowiecki bojec z kompanii wartowniczej, piszący list. Z ciekawości zerknąłem mu przez ramię i ku memu zdumieniu ujrzałem wstęp po polsku „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Okazało się, że pochodził on z dawnych Kresów Południowo-Wschodnich. Takie to były pogmatwane polskie losy. W początku października byłem delegowany na wykopki. Pewnego dnia przyjechał szef kompanii i ku mojej wielkiej radości powiedział: „Nu synok pojediesz k mamie” i zabrał mnie do Kaługi. Tu wypisano mi odpowiednie zaświadczenie, „sprawkę”, i w grupie czterech podobnych szczęśliwców mogliśmy wyjechać z Kaługi. Namawiano nas, aby po drodze przejechać przez Moskwę, ale my zdecydowaliśmy się jechać jak najprostszą drogą do domu. W tym samym czasie z sowieckim oficerem wyjeżdżała grupa naszych dziewcząt.

Józef Iwanowski – ur. 13.01.1929 r., żołnierz 4 Brygady „Narocz”, ps. „Anglik”

Zostałem rozbrojony 17.07.1944 r. i osadzony w obozie w Miednikach, gdzie przebywaliśmy około dwóch tygodni. Droga do Kaługi była bardzo uciążliwa z powodu ciasnoty w wagonach, braku wody przy sierpniowych upałach. Do Kaługi dotarliśmy 5.08.44 r. Ze względu na mój rocznik trafiłem do „uczebne-go” (młodzieżowego) batalionu. Ulokowano nas w starych koszarach. Bardzo szybko poddano nas intensywnemu szkoleniu wojskowemu: musztra, nauka o broni, okopywanie się. Po odmowie złożenia sowieckiej przysięgi wykonywaliśmy różne prace, jak: wykopywanie kartofli, pozyskiwanie i załadunek torfu. Ponieważ zachorowałem na dyzenterię, przez tydzień byłem w pułkowym szpitalu.

We wrześniu 1944 r. młodsze i starsze roczniki oraz nasze dziewczęta zostały zwolnione, rozkazem o częściowej demobilizacji Armii Czerwonej. Do domu jechaliśmy: około 100 mężczyzn i od 40-50 polskich dziewcząt. Do Mińska konwojował nas jeden sowiecki oficer. Na drogę dostaliśmy suchy prowiant (głównie suchary i kasza jaglana, którą gotowaliśmy na stacjach, przy ogniskach). Nasz przejazd odbywał

się różnymi pociągami, w zależności od sytuacji na kolei. Często były to pociągi towarowe. Od Mińska odbywaliśmy dalszą drogę według własnego uznania. Ja z kolegą dojechałem do Głębokiego, gdzie przemocowaliśmy u znajomych i kośćcówkę do domu, około 60 km, odbyliśmy pieszo.

Pole tekstowe: Józef Mascianica Po powrocie do domu, w krótkim okresie czasu, bo już 20.10.44 r. zostałem aresztowany przez NKWD, osądzony, dostałem wyrok 5 lat jako małoletni, bez udowodnienia winy. Zarzucono mi przynależność do organizacji AK, ponieważ byłem poprzednio jej żołnierzem. Po aresztowaniu byłem bity wyciorem, dla wymuszenia podania innych nazwisk. W czasie konwojowania do Postaw nasz dowódca konwoju meldował napotkanemu sowieckiemu pułkownikowi, że prowadzi aresztowanych: dezertów, bandytów, złapanych z bronią w lesie i jednego legionistę, tzn. mnie. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego zostałem tak nazwany.

W łagrze przesiedziałem do 1954 r. Po powrocie do domu zastałem przyslaną mi fotografię kolegi Józefa Mascianicy, którą dołączam do ankiety. Do Polski wróciłem w 1958 r. za staraniem mego brata i osiedliłem się w Gorzowie Wlkp.

[1] Raporty Ł. Berii do Stalina ogłosił 27 X 1994 r. „Moskowskij Komsomolec”, a przedrukował „Kurier Wileński” (z 13 X 1994). Tutaj przedr. z: L. Tomaszewski, Wileńszczyzna lat wojny i okupacji 1939-1945, Oficyna Wydawnicza „Rytm”, Warszawa 1999, s. 644-654.

[2] Iwan Aleksandrowicz Sierow, ur. w 1905 r., w 1939 r. ukończył Akademię Wojskową im. Frunzego. Odkomenderowany do służby w NKWD, zrobił błyskawiczną karierę: od IX 1939 – komisarz, od II 1941 – pierwszy zastępca Berii. Był głównym wykonawcą planu pacyfikacji Polski w latach 1944-45, doprowadził do aresztowania przywódców Polski Podziemnej, sądzonych później w „procesie szesnastu”. Po zakończeniu wojny objął w Warszawie funkcję doradcy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Odznaczony w 1946 r. Orderem Virtuti Militari 4 kl. Od 1947 r. wiceminister spraw wewnętrznych ZSRS, od 1954 r. przewodniczący KGB, w 1955 r. otrzymał stopień generała armii, w latach 1958-1963 kierował sowieckim wywiadem wojskowym. W 1963 r. niespodziewanie zdjęty ze stanowiska, zdegradowany i pozbawiony tytułu Bohatera Związku Sowieckiego. Zmarł 11 VII 1990 r. w Moskwie. Zob. L. Tomaszewski, op.cit., str. 512.

[3] „Wilk” to pseudonim gen. Aleksandra Krzyżanowskiego.

[4] „Szczerbicz” to prawdopodobnie pseudonim mjra Teodora Cetysa (ps. „Wiking”, „Sław”, „Sławek”), szefa sztabu Okręgów Wilno i Nowogródek, przed operacją „Ostra Brama”.

[5] W połowie kwietnia 1944 r. gen. „Wilk” powołał trzy zgrupowania bojowe AK, w skład których wchodziło po kilka brygad partyzanckich. Wszystkie trzy zgrupowania przetrwały do dnia rozbrojenia przez Sowietów. Zob. L. Tomaszewski, op.cit., str. 425.

[6] Stan liczebny oddziałów AK przed operacją „Ostra Brama” wynosił: Okręg Wileński około 5.500 żołnierzy, Okręg Nowogródzki około 4.000. Po operacji „Ostra Brama” Okręg Wileński znacznie wzrósł – do 9.100 osób w jednostkach pierwszej linii. Zob. L. Tomaszewski, op.cit., str. 430.

[7] Znany jest fakt zawieszenia polskiej flagi na Wieży Gedymina w Wilnie przez podchor. Jerzego Jensza (ps. „Krepdeszyn”), zdjętej przez Rosjan.

[8] Zob. M. Strykowski, Kronika polska, litewska, żmudzka i wszytkiej Rusi, 1582 r. Wyd. M. Malinowski, t. 1-2, Warszawa 1846.

[9] J. Jurginis, Medininku Pilis (Zamek Miednicki), Vilnius Mintis, Wilno 1984, s. 19.

[10] M. Baliński, T. Lipiński, Starożytna Polska pod względem historycznym, jeograficznym i statystycznym opisana, t. III, Warszawa 1846, s. 213.

[11] Z. Kobylańska, Ze wspomnień sanitariuszki, Pax, Warszawa 1988, s. 150-152.

[12] Zob. M. W. Fechner, Kaługa, Moskwa 1971 (w jęz. ros.); D.I. Malinin, Kaługa. Rys historyczny, Kaługa 1992 (w jęz. ros.); G.M. Morozowa, Kaługa. Przechadzki po starej Kałudze, Kaługa 1993 (w jęz. ros.).

[13] Zob. A. Lewicki, Zarys historii Polski, wyd. 8, Warszawa 1923.

[14] Zob. G. Cioroch, Misja franciszkańska w Rosji [w:] „Rycerz Niepokalanej” 1998, nr 2, s. 72-73.

[15] R. Szczęsnowicz „Remwicz”, Kaługa znaczy łagier (Wspomnienia żołnierza I Brygady AK), Biblioteka Wileńskich Rozmaitości, Bydgoszcz 2002, s. 40-41.

[16] T. Ginko, Wspomnienia z Kaługi 1944-1946, Bydgoszcz 1993, s. 19-20. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy. T. 3.

[17] Maszynopis nieznanego autora, 14 stron formatu A4 (znajduje się w moich zbiorach – przyp. J.H.).

- [18] Zob. T.Ginko, Wspomnienia z Kaługi, op.cit., s.17-18.
- [19] W. Iwanowski, Wilno, Ojczyzno moja... Wspomnienia, Wyd. Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 1994, s. 194-195.
- [20] Rękopis w moich zbiorach – przyp. J.H.
- [21] Z.Rykowska-Cholewa, Kaługa [w:] „Ład” 1989, nr 19.
- [22] W. Borodziejewicz, Szósta Wileńska Brygada AK, Wyd. Bellona, Warszawa 1992, s.254.
- [23] W. Czarnecki, Kresowe losy, Bydgoszcz 1995, s.54. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości TMWiZW w Bydgoszczy. Nr 2.
- [24] W.Iwanowski, Wilno, Ojczyzno moja... . Wspomnienia, op.cit., s.202-204.
- [25] W.Iwanowski, Wilno, Ojczyzno moja ..., op.cit., s.182.
- [26] Stanisław Kiałka. Legenda wileńskiej konspiracji. Materiały biograficzne i pisma wybrane. Red. L.J.Malinowski, TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2000, s.362. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości. Seria B, nr 30.
- [27] Zob. Z.Kłosiński, Pierwsza udana ucieczka z obozu w Kałudze [w:] „Pamiętnik Okręgu Wileńskiego AK”. Wyd. Komisja Historyczna Okręgu Wileńskiego AK ŚZŻAK, Bydgoszcz – Warszawa 1998, nr 3, s.9-12.
- [28] Zmarł w końcu listopada 2000 r.
- [29] Ucieczka z podmoskiewskich lasów Mieczysława Turka „Kmiecia” z OR KO. Ustną relację spisał J.Hrybacz [w:] „Wileński Przekaz” 1992, nr 5, s.22-24.
- [30] Zob. H.Szostak, Ucieczka z lesozagatowki [w:] Z.Grunt-Mejer, J.Hoppen-Zawadzka, L.Iwanowski, Z.Kłosiński, H.Szostak, Koniec epopei, TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1996, s.95-117. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości. Seria B, nr 7.
- [31] Zob. W.Iwanowski, Wilno, Ojczyzno moja ..., op.cit., s. 229 i nast.
- [32] Rękopis relacji w moich zbiorach – przyp. J.H.
- [33] Zob. J.Bohdanowicz, Brygada „Wilhelma”. Oddziały partyzanckie „Żuka” i „Gozdawy”, Gdańsk 1998, s.94.
- [34] Rękopis relacji w moich zbiorach – przyp. J.H.
- [35] Zob. W.Iwanowski, Wilno, Ojczyzno moja ..., op.cit., s. 214-215.
- [36] Op.cit., s.216.
- [37] T.Ginko, Wspomnienia z Kaługi, op.cit., s.41-43.
- [38] Fragment relacji Zbigniewa Roguskiego. Rękopis w moich zbiorach – przyp. J.H.
- [39] Zob. T.Ginko, Wspomnienia z Kaługi, op.cit. s.21.
- [40] W.Iwanowski, Wilno, Ojczyzno moja..., op.cit., s.251.
- [41] W.Iwanowski, Wilno, Ojczyzno moja ..., op.cit., s. 196.
- [42] Z.Jankowski, Wspomnienia z 2 Wileńskiej Brygady AK oraz z Kaługi, op.cit., s.125-126.
- [43] Zob. Z.Jankowski, Wspomnienia z 2 Wileńskiej Brygady AK oraz z Kaługi. TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1998, s. 128-130.
- [44] Op.cit., s.21.

* Autor wierszy nieznan. Teksty dostałem od kogoś z „kałużan” – przyp. J.H.

* Autorem zbiorku wierszy jest Skorwid, imienia już nie pamiętam. Razem służyliśmy w jednym plutonie, na 27 kilometrze. Wiersze te przekazywałem w listach do domu, które zachowały się w całości. Po powrocie nie udało mi się odnaleźć Skorwida (przyp. J.H.).

** Wiersze nieznanego autora.

Praca w lasach podmoskiewskich

We wrześniu 1944 r. nastąpiła radykalna zmiana naszego statusu. Zostaliśmy potraktowani jako jednostka robocza. Skierowano nas do pracy przy wyrębie lasów podmoskiewskich. Moskwa potrzebowała znacznej ilości drewna na opał. W pierwszej fazie z Kaługi wyjechała podstawowa część naszej jednostki. W koszarach pozostali czasowo niezdolni do pracy oraz różni specjaliści niezbędni do utrzymania jednostki. 10 września po ogólnej zbiórce i wystąpieniu na rozkaz tzw. „fachowców” kilkunastu branż, których skierowano z powrotem do koszar, reszta odmaszerowała na stację kolejową. Do wagonów ładowano się plutonami, po około 45 osób. Po kilku dniach podróży, w czasie której wydawano suchy prowiant, dowieziono nas do lasów podmoskiewskich. Tu wysadzono nas przy linii kolejowej, w niezago-spodarowanym obszarze leśnym, rozmieszczając w niedużej odległości od siebie: I batalion na

27 kilometrów, III batalion na 32 km, IV batalion

na 39 km i II batalion na 47 km. Obrazuje to

poniższa mapka:

Większość wysłanych do lasu żołnierzy podzielono na pary, wydając każdej ręczną piłę i siekiere. Wcześniej wydzielono drużyny gospodarze, kucharzy i innych nie przewidzianych do wyrębu lasu. Według zapewnień dowódców praca w lesie miała trwać 6 tygodni, a faktycznie trwała do połowy grudnia 1945 r. Polecono budowę szałasów. Przez cały ten okres nie dostarczono ani koców, ani sienników. Spać trzeba było w tym, w czym chodziło się i pracowało. Ubrania były zmieniane dwa razy w roku: jesienią – na zimowe i wiosną – na letnie. Dzienna norma wyrębu lasu wynosiła od 8 do 12 m³ drewna, w zależności od batalionu i rodzaju lasu. Aby zarobić na dodatkową porcję chleba, tzw. „depe”, trzeba było przekroczyć normę o 10%, ale gdy większość ją osiągała, podwyższano normę pracy. Kiedy temperatura spadła poniżej zera i śnieg już leżał na stałe, a sypiano wciąż w szałasach mieszczących po około 150 ludzi (wymiar szałasów 40 x 7 m) – sytuacja stała się nie do zniesienia. W grudniu 1944 r. pozwolono na budowę ziemianek. Drewno na budowę trzeba było przynosić z lasu na plecach. Ludzie byli kompletnie wyczerpani, w dzień wykonywali pracę w lesie, a nocą budowali ziemianki. Tylko nieliczni zostali z tego powodu zwolnieni z pracy w lesie. Do ziemianek wprowadzono się w drugiej połowie grudnia 1944 r. W wigilię – 24 grudnia 1944 r. – dowieziono z Kaługi następną grupę żołnierzy.

Bardzo uciążliwe stały się częste pobudki w nocy do ładowania wagonów. Praca ponad siły, przy głodowych racjach żywienia, doprowadzała do takiego wycieńczenia organizmów, że nawet sowieccy lekarze dawali zwolnienia lekarskie. Ciągła inwigilacja, znikanie ludzi wzywanych po nocy do politruka, kłamliwe obietnice rychłego powrotu domu – wszystko to stwarzało przygnębiającą atmosferę. Na skutek wyczerpania tak fizycznego jak i psychicznego zdarzały się nie tylko naturalne wypadki przy pracy, ale nawet saomookaleczenia.

We wszystkich relacjach ten okres oceniany jest jako najtrudniejszy. Dotkliwy chłód surowej zimy rosyjskiej, ciężka praca, a przede wszystkim głodowe racje żywnościowe – były powodem stopniowego pogarszania się fizycznej i psychicznej kondycji naszych chłopców.

Z y g m u n t Z i e l o n k o Z listu z dnia 19 września 1996 r.:

Po rozbrojeniu żołnierzy 4 Brygady „Narocz” (d-ca „Ronin”), znalazłem się w Miednikach. Z Miednik do stacji kol. Kiena, gdzie nas załadowano do wagonów, no i podróż do Kaługi, przez Smoleńsk. Do Kaługi przyjechaliśmy w nocy. Rano zaskoczyła nas orkiestra wojskowa, grająca krakowiaka. Przez 3 tygodnie ćwiczone nas jako żołnierzy Armii Czerwonej, z przeznaczeniem na front. Po odmowie złożenia sowieckiej przysięgi wywieziono nas do lasów pod Moskwą do wyrębu drzew. Była to bardzo ciężka praca. Po paru tygodniach byłem już tak wykończony, że nie chciało mi się żyć. Trafiła się okazja obierania ziemniaków w kuchni, wysłano mnie po wodę do rzeczki, około 100 m. Zrobiłem przerębel w lodzie, nabrałem wody do wiader, a potem sam wskoczyłem do lodowatej wody. Po powrocie do kuchni byłem tak przemarznięty, że mój płaszcz łamał się. Do rana grałem się przy ognisku, po skończonym dyżurze udałem się do lekarza, byłem cały spuchnięty. Lekarz skierował mnie do „sanczasti”, było nas takich chorych około 80. Skierowano nas do Kaługi na komisję, niektórych zwolniono jako niezdolnych do służby, ja trafiłem do szpitala wojskowego, gdzie przeleżałem równe 100 dni.

Wiosną, po wyjściu ze szpitala, jako „niestrajawoj” (nieliniowy) zostałem przydzielony do kompanii PRP, nad samą rzeką Oką. W tej kompanii było nas mniej więcej 50. Stan był płynny, bo jedni wyjeżdżali w „kamandirowku” (oddelegowania), inni wracali. Wysyłano nas do różnych prac: rozładowywaliśmy drewno do fabryki zapalek, dowoziliśmy kopalniaki do kopalni węgla, byłem też w pomocniczym gospodarstwie pułkowym przy zbiorach ogórków i zielonych pomidorów, które kładliśmy do beczek. Trafiłem też do silosów do kiszenia kapusty, ale w końcu zabrano nas do koszar do Kaługi, gdzie przydzielono mnie do 8 roty, w skład której wchodził cały zbiór niedobitków. Właśnie w czasie prac porządkowych na terenie pułku zrobił nam poniższe zdjęcie pułkowy fotograf – żydek. Niestety już nie pamiętam uwidoczonych tam kolegów, poza naszym „sierżantem” Kopczukiem, Ukraińcem, który służył w niemieckim TOD, a potem był w ruskiej partyzantce, skąd trafił do Kaługi jako młodszy podoficer.

I roboczy batalion – wieś Malejcha – 27 km

Był ulokowany w lasach podmoskiewskich, w rejonie Korobowskim, na 27 kilometrze, przy linii kolejowej, wzdłuż której bataliony naszego pułku zajmowały się wycinką drzew. W odróżnieniu od innych batalionów nie był on ogrodzony, nie było żadnej bramy ani posterunków wartowniczych, ze wszystkich stron był wolny dostęp. Rozmieszczenie poszczególnych ziemianek i ich przeznaczenie przedstawił na schematycznym szkicu Henryk Sawala, żołnierz tego batalionu. Na schemacie zaznaczono miejsce pierwotnego obozu (18), gdzie w początkowym okresie biwakowano na ziemi, a następnie w prymitywnych szałasach z gałęzi. Wzniesione ziemianki były uszeregowane w dwóch głównych rzędach, z wejściami naprzeciw siebie. Jeden rząd stanowiły pomieszczenia poszczególnych rot (kompanii). Drugi szereg miał kilka ziemianek żołnierskich, reszta w zależności od przeznaczenia była odpowiednio mniejsza (areszt – „gaubtwacht”, oficcerska, dowódcy batalionu „kombata”, lazaret itp.). Kuchnia miała wyjątkowo inną budowę, znaczna jej część górowała nad powierzchnią ziemi, zbudowana z solidnych bierwion, miała kilka okien, odpowiednio obudowane kotły. Jadalnia składała się z kilku długich stołów z ławkami, była pod „gołym niebem”. Nieco dalej rozmieszczono łaźnię o charakterze sauny, z charakterystycznymi ogrzewanymi kamieniami, które – polane wodą – wytwarzały gorącą parę. Nie stosowano natrysków (mieliśmy je w pułkowej łaźni w Kałudze). Obok była tzw. „prażyłka”, gdzie zabiegowi odwszawiania odzieży poddawano delikwentów, kierowanych tutaj przez instruktora sanitarnego.

Ziemianka żołnierska posiadała zbiorowe, dwupoziomowe prycze, na których spało po około 50 żołnierzy, prycze były „gołe”, niczym nie pokryte. Za postanie służyła odzież: buszlat (watowana kurtka), spodnie i bluza. W ziemiance znajdowało się małe obudowane pomieszczenie dla dowódcy plutonu – jego funkcję pełnił sowiecki „sierżant”. Ziemianka miała jedno małe okno, pod nim stał jeden stolik, służący wszystkim jej mieszkańcom. Był jeszcze mały składzik na narzędzia pracy i żelazny piecyk, odgrywający zimą szczególnie ważną rolę. Gdyby nie tysiące pluskiew, gnieźdzących się we wszystkich zakamarkach drewnianej obudowy ziemianek, pobyt w nich może byłby i znośny.

Henryk Sawala – ur. 4.12.1925 r. we Wronkach, zm. ok. 1990 r. w Międzychodzie
Żołnierz 3 Brygady „Szczerbca”, pseudonim „Poniatowski”. W lesie, w I batalionie, byliśmy w jednym plutonie, był moim sąsiadem na pryczy. Do Kaługi trafił razem ze swoim ojcem Stanisławem, który ze względu na wiek spełniał jakąś funkcję gospodarczą. Heniek był uzdolniony artystycznie. Wykonywał z blachy aluminiowej różne drobne pamiątki: ryngrafy, papierońnice, pudełka na tytoń itp. Po powrocie do kraju i ukończeniu studiów wyższych na Wydziale Spożywczo-Przemysłowym Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Łodzi pracował w Międzychodzie jako nauczyciel średnich szkół zawodowych. Był aktywnym działaczem – początkowo ZBoWiD-u, a później w Światowym Związku Żołnierzy AK. Napisał obszernie wspomnienia z okresu walk partyzanckich i późniejszego pobytu w Rosji. Niestety, po jego śmierci praca ta zaginęła. Ocalały niektóre fotografie i starannie sporządzone szkice obozu I batalionu i ziemianki mieszkalnej, wykorzystane w tej pracy. Żołnierz 3 Brygady „Szczerbca”, pseudonim „Poniatowski”. W lesie, w I batalionie, byliśmy w jednym plutonie, był moim sąsiadem na pryczy. Do Kaługi trafił razem ze swoim ojcem Stanisławem, który ze względu na wiek spełniał jakąś funkcję gospodarczą. Heniek był uzdolniony artystycznie. Wykonywał z blachy aluminiowej różne drobne pamiątki: ryngrafy, papierońnice, pudełka na tytoń itp. Po powrocie do kraju i ukończeniu studiów wyższych na Wydziale Spożywczo-Przemysłowym Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Łodzi pracował w Międzychodzie jako nauczyciel średnich szkół zawodowych. Był aktywnym działaczem – początkowo ZBoWiD-u, a później w Światowym

Związku Żołnierzy AK. Napisał obszernie wspomnienia z okresu walk partyzanckich i późniejszego pobytu w Rosji. Niestety, po jego śmierci praca ta zaginęła. Ocalały niektóre fotografie i starannie sporządzone szkice obozu I batalionu i ziemianki mieszkalnej, wykorzystane w tej pracy.

II roboczy batalion – 47 km

Był najdalej wysuniętym na linii kolejowej batalionem naszego pułku. Został zlokalizowany na 47 kilometrze, zaledwie 1,5 km od kołchozu i wsi Prudy. Drugą sąsiadującą wieś – Obuchowo – leżała w odległości ponad km. Trzecia pobliska miejscowość to Chartampajewo, gdzie był urząd pocztowy, do którego przychodziła korespondencja z naszych domów. Rejon mieścił się w Korobowie. Był to obszar z niekończącymi się lasami, tylko gdzieś tam widać było małe zagony uprawne.

Batalion był ogrodzony, miał bramę wejściową. Wartownia z sowiecką strażą i domek dowódcy batalionu kpt. Siewliorstowa znajdowały się poza naszym obozem. Sześć kompanii (rot) miało ziemianki rozrzucone w różnych miejscach (zob. schemat obozu). Tuż przy bramie mieliśmy herb Związku Sowieckiego i nasz polski herb. W środku obozu mieścił się plac apelowy, na którym odbywały się zbiórki batalionu. Batalion po przybyciu na miejsce liczył ponad 1.000 ludzi. W skład kompanii wchodziły tutaj trzy plutony, a nie cztery – jak w Kałudze. Pluton liczył 60 osób. Prycza w ziemiance była na 30 osób. W pierwszym okresie plutony wychodziły do pracy ze swym dowódcą, którym był teraz podoficer. Podzielono nas na pary. Dzienna norma na parę wynosiła 8 m³ drewna, później wzrastała. Na wieczornym apelu ogłaszano wyniki pracy poszczególnych plutonów, na zakończenie orkiestra batalionowa grała hymn Związku Sowieckiego. W czasie apelu, a głównie podczas grania hymnu, oficerowie polityczni (politrucy) obserwowali zachowanie żołnierzy. Za niewłaściwe zachowanie wzywano na rozmowy do „księdza” (z-cy dowódcy do spraw politycznych), który urzędował w swojej ziemiance. W listopadzie 1944 r. wydzielona grupa zbudowała duży klub batalionowy ze sceną i salą widowiskową. Poza tym rozbudowano zaplecze magazynowe oraz areszt, tzw. „gaubtwachtę”.

W grudniu mrozy stawały się coraz dokuczliwsze. Brak środków higienicznych spowodował zawalenie całego batalionu. „Kombat” rozkazał zbudować łaźnię batalionową. Ta bardzo potrzebna budowla powstała w odległości około 6 km od obozu – nad małym jeziorkiem, wśród starego dorodnego lasu. Mieściła się w niej: umywalnia z dużymi kotłami na zimną i gorącą wodę, rozbieralnia, suszarnia, tzw. „waszopródka” (odwieszanie odzieży) i pralnia. W łaźni pozostawiono do obsługi drużynę pod dowództwem sierżanta Abaszkina. Zgodnie z sowieckimi zwyczajami przekazanie łaźni do użytku potraktowano jako zobowiązanie dla uczczenia Nowego Roku 1945 i wkład do zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami.

Zima 1944/45 była bardzo ostra i ciężka do przeżycia. Plutony wykruszały się, coraz więcej ludzi było na zwolnieniach lekarskich, było dużo odmrożeń. Umysłne odmrożenia były karane jako sabotaż, delikwent szedł na „gaubtwachtę”.

W połowie marca nastąpiły roztopy, prace leśne przyhamowano. Prawie wszystkie kompanie były zatrudnione przy załadunku wagonów. Wytężona praca i licha jakość odzieży spowodowały, że do roboty wychodziła zaledwie połowa stanu osobowego. Aby temu zaradzić, utworzono warsztaty krawieckie i szewskie, które starały się reperować rozpadającą się odzież. Szefowie kompanii znosili wieczorem porwaną odzież, a warsztaty w ciągu nocy doprowadzały ją do takiego stanu, żeby nadawała się do użytku. Rankiem odbierano produkty warsztatów, umożliwiały one wyjście do pracy większej grupy.

Wojciech Michniewicz – ur. 4.07.1926 r., Żuprany, woj. wileńskie

Rozbrojony 17 lipca 1944 r. w czasie powrotu oddziału (23 Brygada „Gustawa”) z akcji w terenie, w okolicy wsi Bieniakonie. Osadzony w Miednikach. 27 lipca wyjazd ze stacji kol. Gudogaje do Kaługi. Ilość wagonów w transporcie: około 40, ilość osób w wagonie: 90.

Pierwsze dwie doby, zanim minęliśmy Mołodeczno, nie pozwolono nawet wychylić głowy przez zadrutowane okienko wagonu. Dokuczał upał i pragnienie. W czasie postoju nie pozwalano nabierać wody do menażek. Przy każdym wagonie był strażnik. Prycze w wagonach były dwupiętrowe. W podłodze wagonu wydłubano scyzorykiem otwór, który służył za ubikację. Pierwszy prowiant: dwa suchary i pudełko rybek na 2 osoby otrzymaliśmy w czwartym dniu podróży. Zwiększyło się pragnienie. Trasa przejazdu: Mołodeczno, Mińsk, Smoleńsk, Kaługa. W czasie doprowadzania do Miednik było kilka ucieczek, do uciekających strzelano; w czasie transportu jeden z naszych żołnierzy wyskoczył przez okienko. Czy próby się powiodły? – nie wiem.

Do Kaługi przyjechaliśmy 5.08.44 r. Przydzielono mnie do II batalionu, umieszczono nas w „starych koszarach”, gdzie był ustawiony sztandar pułkowy. Mój starszy brat Józef był w IV batalionie w „nowych koszarach”. Stąd przychodzili do nas na wyświetlane na placu filmy.

W Kałudze wykonywaliśmy prace pomocnicze: kilka razy przy odgruzowaniu budynków i porządkowaniu

terenu za miastem, gdzie było złomowisko sprzętu wojskowego i broni (oczyszczaliśmy przejścia do dalszych sektorów).

Do pracy w lesie wyjechałem we wrześniu 44 r., zostałem wcielony do II batalionu, skąd w czerwcu 45 r. zostałem przeniesiony do I batalionu na 27 km. Początkowo pracowałem w lesie przy transporcie drewna z lasu oraz wycinaniu drzew, później naprawiałem obuwie. Wyżywienie bardzo skromne i mało. W naszym batalionie był jeden lekarz Polak i sanitariusz Uzbek. Raz w miesiącu przyjeżdżał lekarz pułkowy (Rosjanin). Zimą 1944/45 odmroziłem palce lewej nogi i tylko dzięki naszemu lekarzowi nie oddano mnie pod sąd – za sabotaż. 12 dni leżałem w „sanczasti”. Jeden z moich kolegów, chcąc wydostać się do domu, wypił szklankę wywaru tytoniowego („kareszki”). Mimo prób uratowania do Polski już nie dojechał. Po zakończeniu wojny, kiedy nadzieja na szybki powrót do kraju malała, rozpoczęły się indywidualne i zbiorowe ucieczki. Nasza pracownia, z 6 kompanii, naprawiała obuwie szykującym się do ucieczki, naturalnie „poza limitem” (bez wiedzy przełożonych). Złapani uciekinierzy byli sądzeni za dezercję, wyroki opiewały na 10-12 lat łagrów. Nie znam żadnego przypadku, aby któryś ze skazanych wydał „wspomagających”. Te ucieczki spowodowały przeniesienie naszego obozu z 27 kilometra w głąb lasów, daleko od kolei, gdzie jedyny dojazd był przez bagna po grobli. Wyjazd do Polski nastąpił w grudniu 1945 r. Punktem etapowym był Kirow, gdzie byliśmy umieszczeni w koszarach po litewskiej dywizji sowieckiej. Z Kirowa wyjechaliśmy 2/3.01.46 r. Nasza rota nie dostała sortów angielskich, podobno część ich rozkradziono, dostaliśmy płaszcze sowieckie i czapki „uszanki”, ale już bez gwiazdek. W Białej Podlasce dostałem zaświadczenie nr 320 z datą 11.01.1946 r. Żadne pamiątki z tego okresu nie uchowały się.

Józef Stanulewicz – ur. 10.08.1922 r. w Lidzie Żołnierz 6 batalionu 77 pp AK, ps. „Gwóźdź”. Rozbrojony został 19 lipca 1944 r. razem z oddziałem wracającym z Puszczy Rudnickiej.

Podczas transportu z Miednik do Kaługi warunki były szczególnie ciężkie, dotkliwie brakowało wody. Tylko jeden raz dziennie byliśmy wypuszczani do załatwienia potrzeb fizjologicznych. W takim momencie wykorzystano sadzawkę z kijankami, gaszono pragnienie rękami nabierając z niej wodę.

Dokładnej daty dotarcia do Kaługi nie pamiętam, było to na początku sierpnia 1944 r. Byłem w nowych koszarach. Przydzielono mnie do II batalionu. W rocie – jak pamiętam – były 3 plutony. Ile batalionów liczył cały pułk nie wiem. W początkowym okresie ćwiczyliśmy musztrę i szermierkę. Po paru tygodniach mieliśmy składać stalinowską przysięgę, wszyscy jednak odmówili.

Jakiś czas byłem zatrudniony przy noszeniu cegieł z miasta. Musieliśmy też zdać nasze nowe mundury, otrzymaliśmy stare, podarte, łatane. Zabrano nam też koce i sienniki. Na początku września wywieziono nas do lasu. Trafiliśmy do 2 roboczego batalionu. Główną naszą pracą był wyrąb lasu i ładowanie drewna na wagony.

Po przyjeździe do lasu musieliśmy sami wybudować ziemianki. Nie dostaliśmy żadnej pościeli, nasza odzież służyła nam za posłanie. Wyżywienie było bardzo słabe: 600 g dziennie chleba, około 1 litra zupy, bardzo rzadkiej, pozbawionej tłuszczu.

Opieka zdrowotna prawie żadna. Praca bardzo ciężka, szczególnie trudna zimą, przy niskich temperaturach. Z mego najbliższego otoczenia uciekły trzy osoby, spotkałem je później w Polsce, więc ucieczka była udana.

W grudniu wyjechaliśmy z pracy w lesie i zatrzymaliśmy się w Kirowie. W styczniu 1946 r. trafiliśmy do Białej Podlaski, gdzie nas bardzo dobrze przyjęto.

Leon Andruszkiewicz – ur. 8.05.1921 r. w Lidzie

Rozbrojony 17 lipca 1944 r. z częścią swego oddziału (II batalion 77 pp AK „Kryśia”) we wsi Gudełki. Załadowany do wagonu z 45 innymi żołnierzami na stacji Kiowa w dniu 29.07.44 r.

Warunki w czasie transportu były ciężkie, brakowało wody, był dokuczliwy upał. Ludność miejscowa na terenie Rosji wrogo usposobiona – obrzucanie wagonów kamieniami. Zdarzyło się jednak, że kiedy wyjaśniono, że nie jesteśmy Niemcami, wtedy przyniesiono nam wody.

Do Kaługi przyjechaliśmy 5.08.44 r. Trafiłem do batalionu, który stacjonował w nowych koszarach, zwanych „białymi”. W rocie było około 120 żołnierzy. Nie pamiętam, ile było rot w batalionie i ile było batalionów w pułku.

W okresie wojskowego szkolenia przechodziliśmy ćwiczenia z musztry, naukę o broni strzeleckiej, okopywanie się i walkę na bagnety, strzelania już nie mieliśmy. W czasie przygotowywania nas do złożenia przysięgi miałem incydent z naszym politrukiem. Ponieważ w plutonie głośno wyrażałem swą dezaprobatę, zostałem indywidualnie wezwany do politruka. Od razu zaczął na mnie krzyżeć i wyciągnąwszy nagan z szuflady, groził mi: „Ubju kak sabaku! Ty podżygatiel!” W desperacji rozerwałem bluzę i koszulę, zadrapiując się na piersi krzyknąłem: „Strzelaj!” On od razu się uspokoił, kazał ordynansowi dać mi całą bluzę i pozwolił odejść. Wróciwszy do plutonu w oficerskiej bluzie (naturalnie bez dystynkcji), zostałem przyjęty z dużą rezerwą, a nawet wrogo, jak sprzedawczyk, wszyscy się ode mnie odwrócili. Dopiero moje wyjaśnienia, a przede wszystkim pokazane zadrapania na piersi zmieniły stosunek do mnie, wznoszono okrzyki na moją cześć za wykazanie właściwej postawy.

Wraz z innymi pracowałem przy odgruzowaniu miasta, noszeniu cegieł i jakiś czas pracowałem w „podsobnym chazajstwie” pułku (gospodarstwo rolne).

Do pracy w lesie wyjechałem późną jesienią. Trafiłem do II batalionu, w pobliżu miejscowości Prudy i Obuchowo. Wykonywaliśmy różne prace, głównie wycinkę lasu, zwaną u nas „piłką” – obowiązująca norma na parę wynosiła 8 m³ drewna, pracowałem również przy zwożeniu drewna z lasu oraz przy ładowaniu wagonów. Warunki pracy były bardzo ciężkie. Jeden z naszych chłopców został zabity przez spadające, ścięte drzewo, a jeden zamarzył na śmierć. Jego nieobecność zauważono wieczorem po powrocie z roboty.

Był również głośny przypadek zastrzelenia przez sowieckiego oficera rzekomo uciekającego. Oficer ten został po tym wypadku przeniesiony do innej jednostki.

Latem 1945 r. wraz z moim kolegą Nosewiczem podjęliśmy decyzję o ucieczce. Po oddaleniu się od naszego miejsca pracy uznaliśmy, że jedynym sposobem dotarcia do domu jest podróż pociągiem. Zmienialiśmy kilkakrotnie nasz środek lokomocji. Najczęściej podróżowaliśmy na dachach wagonów. Mimo że nie wyróżnialiśmy się wśród podróżujących, musieliśmy bardzo uważać na liczne kontrole i patrole wojskowe. Jeden raz zostaliśmy zatrzymani przez kolejowego funkcjonariusza NKWD. Na szczęście po zabranii nam rubli mogliśmy skutecznie kontynuować naszą jazdę. Od Mołodeczna poczuliśmy się pewniej. Stąd powrót do Lidy był już fraszką. Mimo nasycenia dawnych terenów Polski Wschodniej, było tu jeszcze dużo Polaków, na pomoc których można było zawsze liczyć.

Ryszard Kononowicz – ur. 26.09.1921 r. w Grodnie Żołnierz VII batalionu 77 pp AK „Ponurego”. Został rozbrojony 17 lipca 1944 r. we wsi Gudelki.

Dnia 16.07. oddział podążał do Puszczy Rudnickiej, nad nami latał sowiecki „kukuruźnik”, który w końcu zrzucił ultimatum o poddaniu się celem uniknięcia rozlewu krwi.

Nasze dowództwo zarządziło ogólną odprawę oddziałów i podjęło decyzję o złożeniu broni. Punktem rozbrojeniowym ogłoszono wieś Gudelki. Tam też przenocowaliśmy i rano Sowieci nas rozbrajali. Mało kto oddał broń, część jej zakopano lub zniszczono. Wielu chłopców nie czekało na rozbrojenie, po prostu uciekło. Byłem ranny w kolano, nie mogłem dobrze chodzić, więc pozostałem. Doprowadzono nas do obozu w zamku miednickim następnego dnia.

Po rewizji przed opuszczeniem Miednik nawet osobiste przedmioty musiałem ukryć, zabierano nam dosłownie wszystko. W wagonach było nas około 50 osób. Warunki transportu były bardzo uciążliwe. Był okropny upał, nie dostawaliśmy wody. Parę razy transport zatrzymywano celem załatwienia potrzeb

fizjologicznych. W Witebsku gromada wyrostków z czerwonymi chustami obrzuciła nasze wagony kamieniami i wyzwiskami od faszystów. Z przejazdu zapamiętałem miasta: Mińsk, Witebsk, Smoleńsk.

Do Kaługi przyjechaliśmy 4.08.44 (nie jestem jednak zupełnie pewny tej daty). Przywitała nas wojskowa orkiestra i pod obstawą zaprowadzono nas do koszar. Zostałem przydzielony do III batalionu. Mieścił się on w nowych koszarach, byłem w drugim budynku od wejścia. Pluton (wzwód) liczył około 50-60 żołnierzy. Ilości kompanii i batalionów nie pamiętam. W czasie ćwiczeń, po pewnym okresie, przyszło trzech oficerów, którzy proponowali pójście na front, naturalnie po zaprzysiężeniu, mówili, że być może trafimy do polskiej armii Berlinga.

Jeden raz byłem w nocy wezwany na przesłuchanie, głównie interesowało ich, czy nie znam przypadku rozstrzelania 10 skoczków rosyjskich w puszczy Nackiej.

Po odmowie złożenia przysięgi byłem zatrudniany przy wyławianiu kłód ze spławu na rzece Oca do fabryki zapalczanej i kilka razy nosiłem z miasta cegły na potrzeby naszych koszar. Przed wyjazdem z koszar w Kałudze zabrano nam nasze nowe umundurowanie, dając mocno zużyte. Mówiono, że to po rannych i trupach (?).

W lasach moskiewskich zostałem przydzielony do batalionu, który zlokalizowany był koło kolchozu Prudy, a z drugiej strony było Letowo. Musieliśmy sami wykopać sobie ziemiankę. Mieszkało w niej około 50 ludzi. Praca nasza polegała na ścinaniu drzew, piłowaniu i układaniu w sztaple. Norma wynosiła 8 m długości i 1,10 m wysokości. Moim partnerem był Antoni Siedmiogrodzki. Wyżywienie było bardzo kiepskie. Codziennie zupa z kapusty, zw. „szczy”, prawie żadnej opieki lekarskiej. Dlatego od początku pobytu w obozie myślałem o ucieczce. W tym celu starałem się zdobyć kompas. Nosił go przy torbie „sierżant”. Wykorzystując jego nieobecność, wskoczyłem do ziemianki i zerwałem kompas ze ściany. Mieliśmy grupę aż 34 kolegów chętnych do podjęcia ucieczki, planowaliśmy rozbrojenie naszej ochrony. Jedni z nas zaczęli dostawać listy z domu, innych odstraszyła surowa zima z zawiejami, śniegiem, w końcu uciekło nas sześciu. Była tego wieczoru silna zawierucha, z piłami i siekierami przeszliśmy ogrodzenie obozu, od strony lasu. Przez około 14 dni i nocy, głównie nocami, podążaliśmy na zachód. Przypadkowo trafiliśmy na kolchoz, gdzie parę dni temu spaliły się magazyny. Obława 5 konnych sani NKWD szybko nas wyłapała. Stanęliśmy przed wojennym sądem – ja dostałem 10 lat, koledzy od 6 do 8 lat.

Na podstawie amnestii po zakończeniu wojny w końcu 1945 r. wrócił do Polski. Mimo ciężkich przeżyć, nie mogąc pogodzić się z sowiecką rzeczywistością w kraju, od sierpnia 1948 r. do kwietnia 1949 r. działał w organizacji niepodległościowej, za co został uwięziony. Od kwietnia 1949 r. do marca 1953 r. siedział w więzieniu, głównie we Wronkach.

Zbigniew Roguski

W kwietniu 1945 r., gdy zaczęły się roztopy, nasza kompania wyruszyła piechotą, torami kolejowymi, do miejsca postoju II batalionu. Po przebyciu 30 km natknęliśmy się na III i IV batalion, które stacjonowały nad rzeczką, w pobliżu wsi Średniakowo. Po przebyciu jeszcze 7-8 km dotarliśmy do II batalionu. Był on rozlokowany z lewej strony torów kolejowych, które sami układaliśmy, w odległości około 3 km od wsi Charłampajewo i około 2 km od wsi Prudy. Obóz położony był na wzniesieniu, a ziemianki ze wszystkich stron otaczał las, przeważnie brzożowo-olchowy, czasami zdarzała się sosna lub jodła, często „suchostoje”. Dopiero teraz, po stajaniu śniegu, można było się zorientować, ile go było w zimie. Wskazywały na to ścięte na wysokości 2,5-3,0 m pnie, mimo że chłopcy przed przystąpieniem do ścinania drzew udeptywali śnieg dookoła. Jedzenie jak gdyby trochę się poprawiło. Zupa była gęstsza, czasem z rybą, częściej trafiał się ziemniak lub kapusta. Jednak panował nadal szkorbut – ruszały się zęby, a z dziąseł płynęła krew. Prawie wszyscy chorowali na wrzody, na które jedynym lekarstwem była „margancowka”. Zwolnień z pracy nie dawano. Lekarzem była tutaj lej. Kasalapowa – ta sama co w I batalionie. Kiedy przybyliśmy do II batalionu, byliśmy tak wycieńczeni, że nasza 2 kompania została zakwali-fikowana jako „niestrojajowa”. Zanim jednak do tego doszło, jeszcze miesiąc pracowaliśmy normalnie. A normę pracy wyśrubowano nam do 14 m3. Znalazł się taki Brzożowski, który przez trzy dni

wykonywał taką normę, a więc nasz sierżant mówił: „No, jeśli Brzozowski może – to i wy też możecie!” Ale i Brzozowskiemu ręce i nogi tak popuchły, że trafił w końcu do „niestrojakowików”, którym dawano lżejszą pracę, jak spalanie gałęzi, robienie gontów, a czasem brano do obierania ziemniaków. Ja przez dwa tygodnie woziłem wodę z Charłampajewa do kuchni, ponieważ woda ze studni, którą wykopaliśmy, nie nadawała się do picia. Potem prawie do końca pobytu w obozie darłem gonty. W końcu listopada 1945 r. przychodzi wieść: Wyjeżdżamy do Polski! Podstawiono wagony, z których wysypali się „własowcy”. Oni teraz zajęli nasze miejsca w ziemiankach. Jechaliśmy przez południowe przedmieścia Moskwy i dotarliśmy do Kirowa, leżącego między Moskwą a Wiaźmą. Tam zostaliśmy przemundurowani w angielskie płaszcze, buty i koszule, które potraktowano jako bluzy. Zostały nam sowieckie spodnie, owijacze i zimowe czapki. W styczniu wyruszyliśmy przez Brześć do Polski. 10 stycznia dotarliśmy do Białej Podlaski. Wróciło nas około 3.500 chłopaków. W Białej Podlasce, w wagonach, daliśmy solidny wycisk naszym rodzimym „kapusiom”. Ludność Białej Podlaski przyjęła nas bardzo życzliwie. Młode dziewczynki zatrzymywały nas na ulicach i niemal siłą zaciągały na poczęstunek. Ja zatrzymałem się u pani pułkownikowej. Jej córki Mirosława i Sławomira opiekowały się mną i uprzyjemniały chwile pobytu, zaprowadziły mnie nawet do teatru. Przebywałem tam około tygodnia, tak długo dopóki Urząd Bezpieczeństwa nie wydał nam dokumentów tożsamości.

Zygmunt Mineyko – żołnierz 36 Brygady „Żejmiana”, ps. „Petroniusz”

Po zaniechaniu szkolenia nas w Kałudze zostałem pieszo odprowadzony z 2-gim batalionem do Lasów Umańskich, pod miejscowość Charłampajewo. Szliśmy około czterech dni w śniegu i mrozie. Praca w obozie polegała na wyrębie lasu o potężnym starodrzewie. Dzień pracy wynosił 12 godzin. Norma dzienna na dwie osoby – 8 m³ spiłowanego i ułożonego drewna. Każde zwalone drzewo trzeba było pozbawić gałęzi, pociąć na dwumetrowe koły i ułożyć w sztaple.

Pierwszy okres spędziliśmy w przygotowanych przez siebie szałasach z gałęzi. Dopiero później zbudowaliśmy ziemianki. Polegało to na tym, że kopaliśmy długie rowy o głębokości półtora metra. Ściany rowu umocnione były żerdziami, dach dwuspadowy, również z żerdzi, pokryty gałęziami i obsypany ziemią. W ziemiance były dwa szeregi pryczy z żerdzi, na których spaliśmy, bardzo stłoczeni, jeden obok drugiego, układając się na boku. O swobodnym położeniu się na wznak nie było mowy. Wejście do ziemianki było zamykane drzwiami zrobionymi z żerdzi. Sowieckie dowództwo i straż mieszkali w normalnych budynkach, wykonanych z bali przez cieśli „wyłuskanych” spośród naszych żołnierzy. Punkt sanitarny („sanczast”) mieścił się też w podobnym budynku. Tam mieszkało paru lekarzy i było pomieszczenie na kilku chorych. Opieka lekarska była ograniczona z powodu braku lekarstw i podstawowych materiałów opatrunkowych. Okres przymusowej pracy w obozie w Charłampajewie pozostawił w naszej świadomości okropne wspomnienia. Jeszcze dzisiaj nieraz budzę się, nie mogąc uwolnić się od koszmarne snu, przytłaczającego tamtymi wspomnieniami. Praca przy wyrębie lasu, szczególnie w warunkach ostrej zimy rosyjskiej, wymagała ogromnego wysiłku, wręcz nadludzkiej możliwości. Dopiero przy końcu udało mi się jako z zawodu kierowcy przejść do lżejszej roboty – prowadzenia ciężarówki wywożącej drewno z lasu. Kiedy jednak ostro zareagowałem na złe traktowanie – przez sowieckiego strażnika – naszych chłopców ładujących drewno, stanąłem przed sowieckim prokuratorem wojskowym. I los mój mógłby się potoczyć tragicznie dla mnie, gdyby nie to, że byłem niezbędny jako kierowca, a nasz sowiecki dowódca zażądał od prokuratora oddania mnie do jego dyspozycji. Wkrótce też nastąpił nasz wyjazd z lasu i udało mi się ująć surowemu prawu sowieckiemu. Warto wspomnieć, jak trudne były warunki żywnościowe. W celu ratowania siebie i kolegów przed wycieńczeniem podkradaliśmy się do budynków naszych przełożonych, mieszkających często ze swymi rodzinami. Tam próbowaliśmy znaleźć w odpadkach resztki jedzenia, a więc łby od śledzi czy kartoflane obierki, gotowaliśmy z tego zupę. Niektórzy z nas początkowo musieli się zmuszać, aby takie „rarytasy” przelknąć. Pamiętam, że w ten sposób uratowaliśmy od wycieńczenia Sosinowskiego, szwagra hrabiego Czapskiego z Nowosiótek pod Oszmianą. Złapany jeź był szczytem smakowitości. Osmalało się jego kolce i piekło się na ogniu albo robiło się zupę (wiadro wody na jednego jeża). My, pochodzący z lasów Wileńszczyzny, znaliśmy każdą roślinę i wszystko, co może dać las dla pożywienia człowieka. Tę wiedzę wykorzystywaliśmy i uczyliśmy innych, jak należy ratować swoje życie. Dzisiaj, już prawie 90-latek, sterany przejściami wojennymi, różnymi oskarżeniami, długoletnią walką o godność ludzką i Polaka nie mam już siły, zdrowia i pamięci, aby precyzyjnie przekazać swoje wspomnienia. Dla nas, którzy tam przebywali, słowo „Kaługa” jest jednoznacznie hasłem naszego

cierpienia.

Antoni Laskowski – ur. 19.12.1924 r. w Wilnie

Laskowskiego poznałem w Wilnie w latach 1943/44. Był sympatią naszej sąsiadki Sylwii Hawryłkowicz. Chłopak wysoki, przystojny, ale o nieposkromionej naturze wileńskiego „malca”, któremu nieobce było rozstrzyganie sporów przy pomocy pięści. W okresie partyzanckim nie znałem bliżej jego losów. Później dowiedziałem się, że był w Oddziale rtm. Zygmunta Gerbert-Błażejewskiego „Groma” – dowódcy Oddziału Rozpoznawczego I Zgrupowania AK, gdzie pełnił funkcję d-cy konnego zwiadu. Ponownie zetknąłem się z nim już w Miednikach. Z miejsca roztoczył nade mną iście ojcowską opiekę – dbał o moje wyżywienie, starał się łagodzić trudne warunki obozowe. Nigdy nie wiedziałem, czemu zawdzięczałem jego troskę o mnie. W czasie pobytu w Kałudze nasze spotkania były sporadyczne i krótkie. Nie mieliśmy na to czasu, byliśmy w innych pododdziałach, reżim ostrej dyscypliny wykluczał utrzymywanie koleżeńskich kontaktów. Po wyjeździe do lasu trafiliśmy do różnych batalionów – on był w drugim, ja w pierwszym. Dzielilo nas zaledwie kilkanaście kilometrów, ale nie było możliwości zobaczenia się. Dopiero w czerwcu 1945 r. otrzymałem od niego pierwszy list, a w sumie tylko dwa listy. W drodze powrotnej do Polski znowu się spotkaliśmy – było to w Kirowie. Spędziliśmy niezapomnianą Wigilię Bożego Narodzenia – 24 grudnia 1945 r. Odtąd opiekował się mną aż do powrotu do Polski.

Nie zapomnę nigdy trochę zabawnej historii spowodowanej jego impulsywną troską o mnie. Po przemundurowaniu nas w angielskie sorty dostałem najmniejszy płaszcz (rozmiar nr 1). Kiedy Tosiek zobaczył mnie w tym przykrótkawym odzieniu, kazał „podpadniętemu” za donosicielstwo koledze ze swojego batalionu zamienić się ze mną płaszczem. Chłopak próbował oponować, ale Tosiek przybrał groźną postawę, wróżącą użycie siły. Wówczas ja nie wyraziłem chęci na taką zamianę. Tosiek był jednak stanowczy, zagroził, że i wobec mnie użyje siły. Dzięki temu wróciłem do kraju w przyzwoitym płaszczu, który służył mi jeszcze przez wiele powojennych lat w Gorzowie. Później nasze losy znowu się rozeszły. Tosiek ze swoim kolegą Witkiem Plawgo objęli w posiadanie niemiecki mająteczek w okolicach Jeleniej Góry. Można bez przesady powiedzieć, że Witek zawdzięczał Tośkowi swoje życie. Kiedy ten poważnie zranił się siekierą w czasie pracy w lesie i groziła mu gangrena, wtedy Tosiek, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, w najprymitywniejszych warunkach obozowych, przy pomocy zrobionego z kawałka kosi skalpela dokonał operacji rany i jej oczyszczenia. Nikt wtedy nie wierzył w szczęśliwe zakończenie tej przygody. Później, po latach, Tosiek ożenił się ze swoją dawną miłością Sylwią i osiedlił się w Szczecinie. Pracował jako nauczyciel, miał dwóch synów, studiował zaocznie w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Szczecinie. Dopiero na zjazdach akowców dawnego Okręgu Wileńskiego zaczęliśmy się spotykać – nad jez. Wełtyń, w Podgrodziu, a ostatnio w Międzyzdrojach, gdzie wspominamy nasze dawne dzieje.

Fragment listu Antoniego Laskowskiego z 20 czerwca 1945 r.

Teraz pracuję na „piłce”. Robimy to bardzo szybko i potem mamy cały dzień wolny. Wieczorem „zasuwamy” od 19 do 20 – postawimy 4-5 m3. Rano wstajemy o 4:00 i do śniadania „fertig” – mamy normę 9 m 3. Mówili nam artyści, którzy byli u Was z koncertem, że macie gorzej. U nas w ziemiance mamy harmonijkę oraz parę mandolin, z nami mieszkają nasi artyści. Witek Plawgo rozrząbał nogę parę dni temu. Teraz spuchła i boimy się o gangrenę.

III roboczy batalion – 32 km

Batalion liczył około 900 żołnierzy. Poza ziemiankami mieszkalnymi była kuchnia, „sanczast”, w tym odrębna ziemianka dla chorych na świerzb, jak wszędzie odrębna siedziba oficera politycznego, zwana „kapliczką”, i areszt, czyli „gaubtwachta”. Nieco oddalona była latryna, składająca się z krzyżaków, na których położona była solidna żerdź, jej dach tworzyły gałązki z jedliny, miała tylko ściany boczne, z tyłu i z przodu cała przestrzeń była otwarta po to, aby była możliwość obserwowania.

Pierwszy okres to było wegetowanie na gołej ziemi, przy ogniskach, na pograniczu wytrzymałości, szczególnie gdy temperatura spadła do - 200 C. W ziemiankach było już o wiele cieplej i znośniej. Miały one blaszaną beczkę służącą za piec. Beczka była od wewnątrz wyłożona gliną, aby lepiej utrzymywać ciepło. Na końcu ziemianki było miejsce przeznaczone dla pisarza, z małym stolikiem, z jednym niewielkim oknem, naturalnym źródłem światła. Do wyposażenia pisarza należała „kopciłka” – banieczka po

konserwach, wypełniona ropą, w której tkwił knot. Prycze były wykonane z okrągłaków, na których się spało bez pościeli i przykrycia. Po ogłoszeniu ciszy nocnej, aby utrudnić ewentualne ucieczki, obowiązywał rygor rozebrania się do bielizny. Spano najczęściej dwójkami. Jeden buszłat był posłaniem, drugi służył za koldrę, pod głowę podkładało się czapki „uszanki”.

Przez długi czas nie można było uzyskać szkicu trzeciego batalionu.

W 2001 r. uzyskano dwa szkice, nieco różniące się, ale odtworzono je po przeszło 50 latach, czas zrobił swoje.

Stocki Bolesław – ur. 18.08.1926 r. w Mołodecznie, zm. 22.11.1999 r. w Gorzowie Wlkp. Żołnierz 13 Brygady „Nietoperza”, rozbrojony ze znaczną częścią swego oddziału. Internowany w Miednikach, wywieziony do Kaługi, gdzie początkowo dostał przydział do „pulemiotnowo bataliona” (karabinów maszynowych), do kompanii rusznic przeciwpancernych. Nie zdążył przejść w tym zakresie przeszkolenia, bo po kryzysie przysięgowym” wraz z innymi złożył swoją niesprawną rusznicę do pułkowego magazynu broni. Po wywiezieniu do lasu trafił do III roboczego batalionu. Pracował przy wyrębie drzew. Do kraju wrócił w styczniu 1946 r. Podjął pracę w Dyrekcji Lasów Państwowych w Gorzowie Wlkp. Tu złożył egzamin dojrzałości w Liceum Handlowym, a następnie ukończył studia ekonomiczne w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Szczecinie. Dostał nakaz pracy do Technikum Finansowego w Gorzowie Wlkp. jako nauczyciel przedmiotów ekonomicznych. Był dobrym organizatorem i wychowawcą młodzieży. Jego wychowankowie osiągnęli znaczne sukcesy sportowe w kajakarstwie. Był również jednym z aktywnych działaczy ruchu akowskiego, między innymi inicjatorem i współwykonawcą tablic pamiątkowych w kościołach gorzowskich – jednej w katedrze, poświęconej w lipcu 1984 r. z okazji 40-lecia operacji „Ostra Brama”, drugiej w kościele pw. NMP Królowej Polski – ku czci żołnierzy 13 Brygady „Nietoperza”.

Kazimierz Kozłowski – ur. 10.02.1928 r. w Mołodecznie, żołnierz 13 Brygady „Nietoperza”, ps. „Kozioł” Zrobił doktorat. W latach 1984-86 pełnił funkcję Dziekana Wydziału Technologii i Inżynierii Chemicznej Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy, bezpartyjny.

Po akcji „Ostra Brama” i aresztowaniu gen. „Wilka” oraz innych oficerów rozpoczęliśmy marsz naszej 13 Brygady „Nietoperza” w kierunku Puszczy Rudnickiej. Byliśmy pod ciągłą obserwacją lotniczą, a sowieckie oddziały starały się blokować dojsie do puszczy. Po paru dniach marszu zostaliśmy otoczeni przez czołgi i rozbrojeni. Skierowano nas do obozu w Miednikach. Podczas tego marszu dużo osób próbowało uciekać. Ja też z Bolkiem Stockim chcieliśmy uczynić to samo, ale do domu, do Mołodeczna, było daleko, a tam nasz los byłby niepewny, zmobilizowano by nas do wojska, skierowano na taki odcinek frontu, gdzie nikt żywy by się nie ostał. Do Miednik dotarliśmy około 20 lipca 1944 r. Było tam już bardzo dużo rozbrojonych partyzantów. Po paru dniach przyjechał, w polskim mundurze, pułkownik Soroka. Jego wystąpienie łamaną polszczyzną: „W Polsce utworzyła się nowa rządy i kto chce może pójść w polsku armii” zostało wygwizdane. Następnego dnia pojawiły się rosyjskie dziewczyny w mundurach z arkusami „Żelajuszczyje postupit’ w polsku armii”. Co to za polskie wojsko, gdzie organizują i rządzą Rosjanie, wrogo ustosunkowani do nas. Mimo to znaleźli się ochotnicy do Armii Berlinga. Wyprowadzono ich poza obóz. Okazało się nazajutrz, że większość z nich uciekła, resztę przyprowadzono z powrotem. Warunki bytowania w Miednikach były okropne, wyżywienie raz dziennie menażka rzadkiej zupy, dobrze, jeżeli udało się jej dostać. Większość spała na dworze. Dół kłoczny cuchnął niesamowicie, odchody płynęły potokiem. W końcu lipca wyprowadzono nas do wagonów. Przed wyjściem dokładna rewizja. Rekwirowano noże, brzytwy, zegarki itp. Pozwolono zabrać menażki i łyżki. Ja nic nie przemyciłem. Załadowano nas do towarowych wagonów, w moim wagonie było około 70 osób. Na środku wagonu w podłodze był otwór ok. 10-15 cm. Tu załatwialiśmy nasze fizjologiczne potrzeby. Transport składał się z około 50 wagonów. Byliśmy ściśnięci jak śledzie, o położeniu się wszystkich nie było mowy. W Mołodecznie na postoju stał obok transport z rannymi sowieckimi żołnierzami. Zdarzyło się, że ktoś poznał znajomego z akcji walk o Wilno. Jeden z rannych Rosjan zaczął krzyżeć: „Dokąd go wieziecie! On ze mną przelewał krew”. Eskorta, składająca się głównie ze skośnookich Azjatów, była niewzruszona, nie dopuściła do żadnego zbliżenia. W Mołodecznie dostaliśmy po małej puszczy konserw rybnych i po jednym solonym śledziu. Byliśmy bardzo głodni, otrzymane racje natychmiast skonsumowaliśmy, nie zdając sobie sprawy, że wkrótce dręczyć nas będzie okropne pragnienie, a wody nie dostawaliśmy. W naszym wagonie jeden z partyzantów przemycił zegarek, który wymienił z ruskim kolejarzem na dwa wiadra wody. To nie rozwiązało sprawy pragnienia. Dopiero silna

ulewa pozwoliła nam na zaspokojenie tej dolegliwości. W nocy na odcinku Mołodeczno – Mińsk w naszym transporcie była próba ucieczki. Pociąg zatrzymano. Słyszeliśmy strzały, ale o rezultatach niczego nie dowiedzieliśmy się. Po przeszło tygodniowej podróży w nocy usłyszeliśmy orkiestrę wojskową. Wagony otworzono i kazano nam wysiadać. Byliśmy w Kałudze. Pod eskortą przyprawiono nas do koszar wojskowych, do środka nas nie wpuszczono, nocowaliśmy na dworze. Byliśmy głodni, udało mi się przez płot wymienić buty na kawałek chleba. Następnego dnia grupami brano nas do fryzjera i do łaźni. Każdy miał wszy. Nie mieliśmy żadnych dokumentów. Zaczęto rejestrację. Starsi mówili, aby niekoniecznie podawać swoje rzeczywiste dane (nazwisko, datę urodzenia), więc z Bolkiem podaliśmy 1928, takich młodych było więcej. Utworzono batalion młodzieżowy („uczebnyj”). W skład tego batalionu wchodziły dwie rotę: „pulemiotnaja” (ckm-ów) i „PTR” (rusznic przeciwpancernych). Ulokowano nas w starych koszarach. Po pobudce mieliśmy kłopoty z owijaczami, które stale nam spadały. W naszej rotie PTR były dwa plutony po około 36 żołnierzy, w rotie „pulemiotnoj” były chyba 3 plutony. Niestety, nie pamiętam, ile batalionów liczył nasz pułk.

Dzień zaczynał się o godz. 6.00, następnie do WC, gimnastyka, mycie się – wszystko jak na komendę. Śniadanie – pół wiadra rzadkiej zupy, bochenek chleba na 10 osób. Chleb był jak glina z ziemniakami, miał ważyć 2 kg, nikt jednak tego nie sprawdzał. Potem ćwiczenia. Najpierw musztra, nauka o broni (karabiny dostaliśmy stare, bez amunicji) i ćwiczenia taktyczne na poligonie. Obiad był podobny do śniadania, dostawaliśmy tylko więcej chleba (po 250 g na osobę) i drugie danie, najczęściej kaszę jaglaną (proso). Młodzieżowy batalion tym różnił się od pozostałych, że po obiedzie przymusowo rozbierano się i przez godzinę spaliśmy. Po tym odpoczynku szliśmy znowu na poligon. Dwa albo trzy razy w tygodniu „politzanijatija” (pranie mózgow). Pewnego dnia spędzono nas na plac apelowy, gdzie odbył się pokazowy sąd polowy. Sądzone trzech naszych kolegów za dezercję: Zygmunta Kasperowicza, Bolesława Stacewicza i N.N. Chłopcy bronili się dzielnie, nie chcąc uznać przypisywanego im sowieckiego obywatelstwa. Wyrok był jednakowy dla wszystkich – 10 lat przymusowych robót. NKWD wzmogło czujność. Byłem raz wezwany na przesłuchanie, pytano mnie, kto planuje ucieczkę, przeszukano mój portfel, zabierając zdjęcia. W naszym batalionie nasi sowieccy podoficerowie namawiali nas do przysięgi dla Stalina. Byliśmy jednak odporni – mówiliśmy, że już składaliśmy przysięgę, od której nikt nas nie może zwolnić.

Przyszła jesień. Byliśmy kilka razy w nocy wysłani do pracy w porcie rzeczonym, do przerzucania węgla, który usypany w duże pryzmy po deszczach samozapalał się. Po takiej pracy pozwalano nam spać do obiadu. Pułk miał gospodarstwo rolne. Wysłano nas na wykopki. Norma na osobę to 7 wyoranych pługiem rzędów o długości 200 m. Pierwszego dnia nikt jej nie wykonał. Dowódca zarządził: „Kto nie wykona normy, nie dostanie jedzenia, zaś ten kto wykona, może sobie ugotować ziemniaki.” Urodzaj był dobry, sierżant doradził, aby nie zbierać tak dokładnie, mniejsze zostawiać w ziemi. Nam nie trzeba było tego powtarzać. Norma była wykonana, chociaż więcej ziemniaków pozostawało w ziemi. Mogliśmy gotować kartofle. Bolek dwa koszyki ziemniaków zamienił w pobliskiej osadzie na litr mleka. Mogliśmy sobie zrobić kluski kartoflane z mlekiem.

Po wykopkach powrót do Kaługi, łaźnia, po której dano nam stare, łatane ubrania i stare buciki. Zaczęło się wysyłanie do różnych prac. Nasz pluton oddelegowano do Szemiakina, około 50 km od Kaługi, gdzie pracowaliśmy przy załadunku wagonów drewnem opałowym. Po paru tygodniach wysłano nas do pracy w sowchozie. Na śniadanie dostawaliśmy miskę obranych gotowanych kartofli i miskę kapusty kiszzonej lub świeżej i nasz „suchy pajok” (suchary i jakieś kostki na zupę). Po śniadaniu przydzielano nas do różnych prac rolnych. Tu dopiero poznawaliśmy w praktyce ogólny bałagan i brak jakiegokolwiek organizacji – to brakowało odpowiednich narzędzi, to już ktoś inny wykonywał tę pracę lub w ogóle nie można było jej znaleźć. Zdarzało się, że wymęczone kobiety, bo one stanowiły główną siłę roboczą, prosiły naszych chłopców o spowodowanie awarii, np. młockarni, przez włożenie zmarzniętej słomy, w wyniku czego przez cały dzień była ona w naprawie. Praca w sowchozie dobiegła końca. Ponowny powrót do Kaługi i wyjazd do lasów pod Moskwą.

Do lasu przyjechaliśmy jako resztki naszego pułku w Kałudze. Ziemianki były już całkowicie gotowe. Ja z Bolkiem Stockim stanowiliśmy parę, dostaliśmy piłę i siekiere oraz normę dzienną 10 m³ drewna do ułożenia w sztaple. W ziemiance naprzeciw był Zygmunt Kasperowicz, ps. „Kędzierzawy”, z naszej 13 Brygady, ten, którego sądzono za ucieczkę w Kałudze. Pracowaliśmy również przy ładunku wagonów.

Warunki ładowania, szczególnie zimą, były bardzo ciężkie. Pewnego razu drewno było złożone ok. 200 m od wagonu, kłocze były bardzo grube, wmarznięte w ziemię. Jeden z moich kolegów powiedział głośno: „Nie będziemy ładować!” Usłyszał to nasz sierżant Kinzigułow – Tatar. Zaprowadził nas w jeszcze gorsze miejsce, gdzie już trzech innych też nie chciało ładować. Kiedy ponownie sierżant przyszedł nas sprawdzić, któryś w wagonie kopnął kłoc drewna. Spadł on tuż przed nosem Kinzigułowa. Za karę brał nas do wagonów, gdzie jeszcze trwał załadunek. I tak musiałem pracować do rana, a później musiałem wysłuchać jego reprimendy w ziemiance. Następnie zostałem wezwany do politruka, który zagroził wywiezieniem mojej matki na Syberię. Później dowiedziałem się, że Kinzigułow po powrocie do swojej wsi popełnił samobójstwo, rzucając się pod pociąg. Przeciwnikiem Kinzigułowa był nowy sierżant Łamanow. Był porządnym człowiekiem. Widział, jak trudno wykonać normy pracy, wiedział, że musieliśmy czasem „kombinować”, aby ją przekroczyć celem otrzymania „depe”. Pomagał nam w tym zabawiając „dziesiątnicę” (przyjmując od nas wykonaną pracę). A wyżywienie było bardzo złe, byliśmy stale głodni. Np. pewnego dnia kolega Cieszyński, ps. „Rombel”, zaproponował nam zakład, że zje swoją porcję obiadową oraz drugie danie całej dziesiątki. W przypadku przegranej nie dostanie przez 10 dni drugiego dania, jeżeli zje, to wygra zakład. Ponieważ bardzo prosił, zgodziliśmy się. Zjadł wszystko. Na koniec powiedział: „Gdybym jeszcze wypił kufel piwa, byłbym naprawdę syty”. Z tego można wywnioskować, jakie były te nasze porcje. Otrzymywany tytoń niepalący wymieniali na chleb lub ziemniaki. Do gotowania zimą braliśmy śnieg, wosną sok brzozy.

Na przedwiośniu mieliśmy ładować transport. Na nasz pluton miał przypaść najgorszy środek zestawu. Nasz sierżant Łamanow wyczekuje, aby dostać końcowe wagony, które można odzłupić i podepchać w pobliże większego zapasu drewna. Kombat zauważył nasze wyczekiwania i zrugął sierżanta, ale ten nie spieszy mówić: „Ostatni wychodzimy, ale pierwsi wracamy.” I tak było, raportuje majorowi „Załadowaliśmy 7 wagonów i parowóz”. Później w nagrodę załatwił nam lekką pracę przy paleniu gałęzi. Było już ciepło, zdjęliśmy buszłaty. Łamanow poucza, jeżeli siedzicie przy ognisku, to wystawiajcie wartownika, aby w czas uprzedził, kiedy ktoś nadchodzi, a sam odchodził do miejscowych kobiet. W czasie tej pracy spadła iskra z ogniska na mój buszlat, bawełna szybko się pali, a więc mało co udało się uratować. Następnego dnia rano deszcz ze śniegiem, zimno, nie mam co ubrać. Łamanow daje mi swój buszlat, sam włożył swój szynel (płaszcz), później załatwił z magazynem i dostałem cały buszlat. Za to go wszyscy ceniliśmy i poważaliśmy. Pod koniec kwietnia otrzymałem z domu paczkę, którą trzeba było odebrać w urzędzie pocztowym w Korobowie, odległym około 30 km. Po drodze ujrzałem jak 10 kobiet ciągnęło pług, jako siła pociągowa, obraz sowieckiej gospodarki. Towarzyszący mi sierżant usprawiedliwił: „To Hitler winien – wszystkie konie wybił”. Muszę jeszcze wspomnieć o dziwnym przypadku. W lesie wybuchł pożar. Chcieliśmy gasić, ale nam nie pozwolono. Dopiero później zrozumieliśmy, że w ten sposób chciano usprawiedliwić „ubytki” drewna. Różnice między zapisem przyjętego drewna a stanem faktycznym miał wyrównać pożar. Wreszcie nastąpiło coś dziwnego. Wezwano mnie do politruka i po nieprzyjemnej rozmowie dowiedziałem się, że jadę do domu, miałem podany rocznik 1928, a takich zwalniano. Odstawiono mnie do Kaługi, tam dostałem trochę lepsze, stare wojskowe ubranie i sprawkę. Nie dostałem biletu ani prowiantu na drogę, ale byłem szczęśliwy – wracam do domu. Do Moskwy jechałem z „opiekunem”, a potem pod ławką do domu. Koło Mińska kontrola biletów, pomarudzili, ale pozostawili w spokoju. Rano byłem w Mołodecznie, w domu.

Zygmunt Mozgiel – ur. 15.07.1924 r., Głębokie, żołnierz 7 Brygady „Wilhelma”, ps. „Kometa”

Został rozbrojony w Puszczy Rudnickiej 14.07.44 r. wraz z częścią swojej Brygady. Datę tę zapamiętał, bo 15 lipca były jego imieniny i tego dnia miał odwiedzinę matki, od której otrzymał boczek i chleb, a było to koło Miednik. Po rewizji w Miednikach pozostawiono mu chlebak z przyborami osobistymi. Wyjazd do Kaługi nastąpił 28.07.44 r., przyjazd do Kaługi 5.08.44 r. Przydzielony został do 3 kompanii, w nowych koszarach. O przesłuchaniach naszych chłopców przez służby specjalne nie słyszał. Do pracy w lesie wywieziony został 12.09.44 r., przydzielono go do III batalionu koło Średniakowa. Główną jego pracą był wyrąb lasu.

Mieszkaliśmy w ziemiankach. Wyżywienie było bardzo słabe, głównie zupy z kapusty. O ucieczkach naszych chłopców nie pamiętam. W końcu grudnia 1945 r. przewieziono nas do Kirowa. Tu zostaliśmy przemundurovani w angielskie sorty (UNRRA). W Białej Podlasce wydawano nam zaświadczenia, moje ma nr 1206, wyd. dnia 14.01.1946 r. Ludność Białej Podlaski przyjęła nas bardzo serdecznie.

Wiktor Iwanowski – ur.16.04.1925 r. w Wilnie, żołnierz 7 Brygady „Wilhelma”, ps. „Szpak”

Po rozbrojeniu internowany w Miednikach od 18 lipca do 28 lipca 1944 r., potem w Kałudze: 5.08-10.09.44. Następnie pracował w lesie, w III roboczym batalionie koło Średniakowa, skąd uciekł 15.08.1945 r. Był twórcą drobnych pamiątek. Tak opisuje technikę ich wykonania: „Te pudełeczka wykonywałem przy pomocy małego, zrobionego przez siebie noża i kawałka pilnika. Fajkę odlałem na ognisku, w pudełku po konserwach. Otwory ukształtowałem wciskając do formy odlewu, przygotowaną, mniejszą formę. Po wystygnięciu, żmudną pracą nadałem zaplanowany kształt”.

Profesor dr hab. Uniwersytetu Szczecińskiego, obecnie emerytowany. Autor książki Wilno, Ojczyzna moja... Wspomnienia (Szczecin 1994 r.).

Edward Andruszkiewicz – ur. 25.05.1920 r., Bejzagoto, woj. nowogródzkie, żołnierz 2 batalionu 77 pp AK „Kryśia” zwiadowca 6 kompanii, ps. „Los”

Rozbrojony ze swoim oddziałem w Puszczy Rudnickiej. Przed wyjazdem z Miednik, w czasie rewizji, zabierano wszystko, nawet żywność. Słyszałem, że kiedy matka jakiegoś chłopca w czasie marszu do stacji kolejowej chciała się o niego zbliżyć, konwojent strzelił do niej. W wagonach było bardzo ciasno, były przeładowane. W czasie drogi odczuwaliśmy ogromne pragnienie. Kiedy wypuszczano nas na krótko „do załatwienia się”, piliśmy brudną wodę z rojstowych kałuży. Do Kaługi przybyliśmy w nocy, przyjęto nas orkiestrą. Wręczono nam tam starą rosyjską broń z bagnietami. Dowództwo było rosyjskie i ćwiczone nas po rosyjsku. Pamiętam pokazowy sąd na placu, gdzie sądzono naszych kolegów, którzy próbowali uciec i zostali ujęci. Potem broń nam zabrano. Chodziliśmy około 10 km po cegły z rozbitych domów, które wiązaliśmy paskami i przynosiliśmy do naszych koszar. Pewnego dnia szukano różnych fachowców: kowali, cieśli, murarzy. Ja się zgłosiłem jako ślusarz. W czasie pracy w warsztacie, prowadziłem notatki, które pewnego dnia zaginęły. Zostałem aresztowany. Do lasu przywieziono nas, do ogrodzonego drutem kolczastym placu. Korzystając z nieuwagi konwojentów, starałem się wyczołgać poza ogrodzenie, w kierunku lasu. W pewnym momencie nastąpił wybuch i zostałem poraniony, ale w takim stanie udało mi się oddalić. Po drodze spotkałem dwie kobiety, które widząc mój stan (tłumaczyłem, że napadli na mnie Niemcy), doprowadziły mnie do szpitala. Tam leżałem przez dłuższy czas, rany nie goiły się, straciłem słuch i mowę. Po pewnym czasie odprawiono mnie do domu, do Radunia, woj. nowogródzkie. W Raduniu, mimo że byłem w mundurze sowieckim, aresztowano mnie i skazano za przynależność do polskiej partyzantki. Torturami zmuszano do ujawnienia innych kolegów z AK, szczególnie chodziło im o „Kryśiaków” [z batalionu „Kryśia”]. Aresztowano też ojca, brata i siostry. Dopiero po 10 latach wróciliśmy schorowani, ze zniszczonym zdrowiem.

Jan Karyszkowski – ur. 03.05.1927 r. w Przemyślu

Rodzice – rodowici wilnianie. Ojciec, z zawodu lekarz, podpułkownik, w latach 1927-1930 pracował w Wojskowym Szpitalu w Przemyślu, a następnie od 1930 r. pełnił funkcję st. ordynatora i z-cy komendanta Wojskowego Szpitala DOWar. - Wilno.

Janek uczęszczał do Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta. Był żołnierzem 3 Brygady „Szczerbca” – ps. „Szkwał”. Po rozbrojeniu przeszedł : Miedniki – Kaługa – lasy podmoskiewskie. Okres ten opisał w obszernym, rzeczowym opracowaniu pt. Z Wilna do Kaługi i dalej na wschód (Kraków 1994 r., 70 stron). Na podkreślenie zasługują między innymi zamieszczone tu obiektywne spostrzeżenia o niektórych naszych sowieckich przełożonych*.

Po ukończeniu w 1950 r. Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu zostaje zawodowym oficerem. W 1956 r. przechodzi do rezerwy w stopniu kapitana. W Lublinie kończy Wyższą Szkołę Inżynierską. Pracuje początkowo na stanowisku gł. mechanika w przedsiębiorstwach melioracyjnych, a następnie w Zespole Szkół Budowlanych w Lublinie. W 1984 r. przechodzi na emeryturę.

IV roboczy batalion – Średniakowo – 39 km

Ulokowany został w pobliżu III batalionu, na 39 kilometrze linii kolejowej. Obóz był ogrodzony, przy głównym

wejściu była wartownia. Trzon obozu stanowiły ziemianki dla 6 rot (kompanii), za nimi był areszt (gaubtwachta) i latryny. Kuchnia i warsztat gospodarczy znajdowały się z lewej strony, ziemianki d-cy batalionu, sztabu i oficerskie oraz amfiteatr ze sceną zajmowały tylną część obozu.

Wacław Gilicki – ur. 9.10.1924 r. w Wilnie, ps. „Gil”, zm. ok. 1987 r.

Wacek Gilicki pojawił się we wrześniu 1939 r. w II klasie Gimnazjum im. Zygmunta Augusta w Wilnie. Od razu zostaliśmy bliskimi kolegami. Był on jedynakiem. Poprzednio mieszkał z rodzicami w Mołodecznie. Ojciec jego był zawodowym podoficerem 85 pułku piechoty. W Wilnie Giliccy mieli duży drewniany dom przy ul. Trwałej, w pobliżu ul. Plutonowej, gdzie mieszkałem. Byliśmy najbliżej siebie mieszkającymi uczniami z klasy. W szkole siedzieliśmy w jednej ławce, chodziliśmy razem na ryby. Wacek był mistrzem w łowieniu uklejek. Byłem częstym gościem w jego domu, a on w moim. Przebrnęliśmy razem przez II i III klasę. Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej przerwał naszą edukację. Wtedy ja rozpocząłem pracę w warsztatach samochodowych HKP, a Wacek wybrał jakiś inny sposób ratowania się przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy Niemieckiej. Później byliśmy w partyzantce: on u „Szczerbca” (ps. „Gil”), ja w OR KO jako „Zawisza”. Spotkaliśmy się dopiero w Miednikach. Do Kaługi dotarliśmy oddzielnie, ale tutaj parę razy spotkaliśmy się. Po wysłaniu do lasu na „truda-front” (front pracy) nie widzieliśmy się. Dopiero w lutym 1945 r. moi rodzice przekazali mi jego adres. Dzieliło nas zaledwie 12 km. Nawiązaliśmy korespondencję, której plonem było 10 jego listów, pełnych humoru i swady. W listopadzie 1945 r. nasz batalion przeniesiono na 39 km. Znowu mogliśmy się widywać. Po przekroczeniu granicy, od Białej Podlaski, trzymaliśmy się z Wackiem zawsze razem. Razem wyruszyliśmy do Poznania, a potem do Gorzowa, gdzie zupełnie przypadkowo spotkaliśmy moją Mamę wychodzącą z porannej mszy. W pierwszych dniach pobytu w Gorzowie Wacek mieszkał u mojej rodziny. Później przeniósł się do swego kolegi Wilka Łapczyńskiego. W latach 1946-48 chodziliśmy razem do Liceum Handlowego, gdzie zdaliśmy egzamin maturalny. Wacek dostał się na Akademię Handlową w Poznaniu, dlatego kontakty stały się rzadsze. W czasie studiów Wacek przeszedł poważną operację, po której pozostała mu tylko część żołądka. Bardzo wtedy cierpiał, poznał działanie morfiny jako środka znieczulającego ból, ale i jako środka odurzającego. Po jednym piwie był już zamroczony. Po studiach osiedlił się z żoną w Międzyrzeczu, gdzie pracował w banku. Widywałem go od czasu do czasu, najczęściej podczas moich służbowych wyjazdów do Międzyrzecza. W latach osiemdziesiątych dowiedziałem się o jego tragicznej śmierci.

Fragmety listów Wacka

8-10.09.44

Moja Mamusia pisała, że długo nie odzywałeś się. Teraz dostałem Twój adres i piszę do Ciebie świętoszku. W jakim jesteś batalionie, na którym kilometrze? Ja w IV-tym na 39 km. Urządziłem się świetnie. Na jesieni trochę wagonów, potem w „nariadzie” (dyżur) na kuchni, następnie „dniewalny”, znowu „pokiwałem” (popracowałem) kilkanaście dni i stałym „dniewalnym” w rocie.

27.06.45

Jak widzę u was jest gorzej. U nas tylko jedna rota „staryków”, reszta to młodzi, przeważnie z Wilna. Obok mnie leży Gizel (Gizelewski), Cywa (Cywiński), Bohdanowicz, kilku kolegów z Mołodeczna i z Wilna. Chyba cała Łosiówka jest u nas. Jest Czesiek Ławrynowicz i wielu z Zygmunta Augusta. Naszą rotę od 10 bm. rozbili po innych, bo liczyła już tylko 80 ludzi i połowa sami „majstry”, którzy nie chodzą do roboty. Zbyszek Pietkiewicz wrócił do domu, jest bez ręki.

6.07.45

Z lasu „zdjęli”, pracuję teraz przy reperacji dróg, czyli zbieram poziomki. Zdaje się jednak, że pójdziemy na „wynoskę” drewna z lasu.

16.07.45

Przyjeżdżał do nas jeden facet z Wilna, więc posłałem przez niego kartkę, a teraz przyjechał ze słoninką. U nas chłopcy otrzymują moc paczek, przywożą je koniem (z poczty). U nas chłopcy mają spółki, po dwóch, trzech lżej się żyje. U nas był facet, który u Was mówił o naszym wyjeździe. Pytali go (wykreślenie – ingerencja cenzora). Chłopaki wykonują tylko pół normy, wzięto naszą rotę, mimo należnego odpoczynku.

Wierzę w nasz wyjazd. Nawet jak nie będę miał polskiego adresu rodziców, zapiszę się do Polski, bo jeśli podam Wilno, to oni coś wymyślą i znowu wylądujemy w jakimś lasu lub innej pracy.

23.07.45

U nas temat jest tylko – wyjazd, chociaż ja nie mogę w to uwierzyć. Wszystkich gnają do pracy, aby wypełnić plan, nawet cieśli, kowali, zdrowych „dniewalnych” i innych funkcyjnych, którzy nie chodzili do lasu. Ja natomiast na odwrót zostałem „dniewalny” – mam wrzód, stworzyłem taką atmosferę, że zostałem zwolniony od lasu na dłużej. Chłopcy na „grandę” szykują się do wyjazdu: szyją chlebaki, kociołki i inne rzeczy.

5.08.45

U nas ostatnio słabo z listami. Nim dostaniemy są one przed tym lekturą. Pisz więc przenośniami lub w ogóle nic takiego nie pisz. Od 15 nie pracuję, codziennie zjadam masę jagód, czasami chodzę na grzyby. Szkoda, że nie ma do nich kartofli, z którymi jest gorzej, młode są bardzo drogie. A teraz radzę, jeżeli „namacasz” jeża, to wal go w łeb, nieś do ognia i smal jak świnię. Skórka smalona, zupełny zapach i wygląd wieprzowiny. Tak chcę Ciebie ujrzyć, myślę, że cholernie się rozrosłeś, bo ja cherlak, tylko żaden czort mnie nie bierze. Jak wrzód wyskoczy – to ino na korzyść.

16.08.45

W naszej ziemiance nikt nie śpi, gdy zgaśnie światło, a nawet przy nim, miliony pluskiew po narach, belkach spaceruje, pchły skaczą, a myszy drapią po kociołkach. Wszystko to głodne, drapieżne i odważne. Czy u Was teraz ta cholerna – jak nasz sierżant Ukrainiec mówi – „bałanda”? Nie rozumiem waszej cholernej pracy. U nas gdzie by nie pracował, każdy nazbiera jagód i grzybów. Czesiek Cywa ma zamiar odejść.

8.09.45

Myślałem, że „zerwałeś się” (uciekłeś), bo u nas już sporo „posapało”. U nas nikt głodny nie chodzi. Chodzimy na pyrki, odżywiamy się nieźle. Na wyjazd kładę „pałeczkę”, bo oni dwa razy taką położyli na nas. Zrywać się (uciekać) nie myślę, bo wiem, że nie wytrwam. Bez szans trudno zająć, żebyś wiedział co za różne wypadki u nas z tym były.

17.09.45

Chłopcy z przemówień śmieją się. Politruk pyta: są pytania? Było zimno, więc jeden pyta, jaka dzisiaj temperatura? Jednym słowem humor jest i walek na wszystko. Wczoraj z powodu złej pogody odwołano koncert. Mamy fantastycznych komików, znają ich w całej okolicy, orkiestra też najlepsza. Jak żałuję, że Ciebie Janusz nie ma tu z nami.

Stanisław Golda – ur. 30.07.1926 r., Puzele, woj. wileńskie, żołnierz IX Brygady

Rozbrojony w Puszczy Rudnickiej 19 lipca 1944 r. wraz ze znaczną częścią swego oddziału. Do obozu w Miednikach doprowadzony 20.07. 44 r. Z Miednik wywieziony 28.07.1944 r. pierwszym transportem ze stacji kolejowej Kiena.

W wagonie było 45 osób, drzwi zostały zadrutowane oraz obsadzone uzbrojoną eskortą. W czasie transportu panowały warunki uwłaczające godności ludzkiej. Racje żywnościowe głodowe – dwa suchary i pół śledzia solonego. W lipcowe upalne dni dawano na 45 osób 1 wiadro wody, nie przegotowanej, w czasie deszczu łapaliśmy deszczówkę, by zaspokoić zapotrzebowanie organizmu na płyn. Czasem udawało się uprosić wartownika, najczęściej za zegarek, jeżeli któryś z kolegów miał i zgodził się go oddać, o podanie wiadra wody. Raz dziennie byliśmy wypuszczani z wagonów celem załatwienia spraw fizjologicznych. W końcu wielu zachorowało na krwawą dyzenterię, a więc częsta biegunka. Załatwiano się przez wysoko umieszczone okno, stojąc na ramionach kolegów. W czasie transportu, nocą, zdarzyła się, jeszcze na terenach Polski, przed Smorgoniami, udana ucieczka.

Do Kaługi dojechaliśmy 5.08.44 r. Zostałem przydzielony do IV batalionu. Po odmowie przez wszystkich żołnierzy przysięgi według sowieckiej rotacji wysłano nas do wyrębu lasów za Moskwę. Mieszkaliśmy w ziemiankach, wykonanych przez nas samych. Warunki mieszkalne były skandaliczne. Nie

było żadnego postania, prycze były z drągów, czasami wystanych gałęźmi świerkowymi. Szybko rozmnożyły się insekty: pchły, pluskwy i wszy. Te ostatnie były oficjalnie zwalczane (przeгляд „na W” i odkażanie w „prażyłce”), na pluskwy i pchły nie zważano. Praca w lesie była katorżnicza. Norma pracy z 2,5 m³ drewna na dwie osoby wzrosła do 12 m³ dziennie. Bardzo często po nocnym ładunku wagonów rano zmuszano do pracy przy wyrębie lasu. Wyżywienie przy tak ciężkiej pracy było niewystarczające, dotkliwy był brak tłuszczów. Zimą 1945 r. odzież była tak zniszczona, że do pracy do lasu wychodziło około 20 % stanu osobowego. Chorzy lub okaleczeni, mając względnie całe ubranie, oddawali je zdrowym, aby ci mogli iść do pracy. Latem 1945 r. nasiliły się ucieczki. Po złapaniu uciekinierzy początkowo byli sądzeni, później wracali do pracy. Zdarzył się tragiczny przypadek. Kiedy jeden z uciekinierów po kilkakrotnych próbach ucieczki, został złapany, dowódca roty na oczach prawie całego batalionu zastrzelił go bez żadnego wyroku i sądu. W końcu 1945 r. nastąpił wyjazd do Kirowa, gdzie dostaliśmy angielskie wojskowe płaszcze, koszule i kamasze. W Kirowie przebywaliśmy około 2 tygodni, spędziliśmy tu święta Bożego Narodzenia. Dnia 11.01.46 r. przekroczyliśmy granicę w Terespolu, gdzie przejęli nas żołnierze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

W Białej Podlasce wydano nam zaświadczenia. Moje nosi nr 1085 z datą wydania 13.01.46 r. 18.01.46 r. dotarłem do Myśliborza, gdzie była już moja rodzina repatriowana z powiatu Mołodeczno. Fragment listu Wacława Wałukiewicza do Okręgu Wileńskiego ŚŻŻAK:

Sprawa dotyczy ewidentnego mordu dokonanego przez oficerów kierujących łagrem w lesie, w Korobowskim rejonie, w pobliżu wsi Malejcha i Średniaki, dokonany na łagierniku dnia 1 maja 1945 r. Nazywał się on Józef Złotkowski, pseudonim „Ogórek”. Był żołnierzem AK. Rozbrojony w 1944 roku i wywieziony do Kaługi, a następnie do lasu w w/w rejonie. Józek z drugim kolegą biegli do lasu. Oficerowie pobiegli za nimi wzywając do powrotu. J. Złotkowski zatrzymał się i sam wracał z podniesionymi rękoma do góry. Przeprowadzili go do łagru i wtedy jeden z oficerów sowieckich strzelił do niego z bliskiej odległości. Następnie podbiegł drugi oficer – tylko oficerowie mieli przy sobie broń – strzelił do leżącego na ziemi J. Złotkowskiego, który już nie dawał znaków życia. Co zrobili z ciałem, nie wiem.

Zenon Sarnecki – ur. 1.01.1920 r. w Wilnie Żołnierz Garnizonu Wilno i 3 Brygady „Szczerbca” AK Okręgu Wileńskiego. 16 lipca 44 r. przebywał oficjalnie w Wilnie na podstawie zezwolenia sowieckiego gen. Czerniachowskiego, mimo to został aresztowany i osadzony w Miednikach. W czasie rewizji przed wyjazdem z Miednik ocalał jedynie medalik z łańcuszkiem, resztę skonfiskowano. 29.07.44 r. załadowany został wraz z innymi na stacji kol. Kiena do wagonów towarowych. Warunki podczas transportu określa jako tragiczne. Przyjazd do Kaługi nastąpił 5.08.44 r. Przydzielony został do 1 plutonu 2 kompanii w II batalionie, który był zlokalizowany w „nowych koszarach” (garaże po czołgach). Pluton liczył 35 ludzi. W batalionie były cztery rot (kompanie). W czasie szkolenia wojskowego przechodził musztrę i szermierkę (walka na bagnety). Do złożenia sowieckiej przysięgi przygotowywano na tzw. „politzaniatiach”. Znał mu były przypadki wzywiania przez służby specjalne na przesłuchania, z których przesłuchiwanie najczęściej nie wracali do swojej jednostki. Wykonywał w Kałudze prace pomocnicze: przynoszenie cegieł z miasta, zamurowywanie drzwi w garażach – sypialniach, remonty w „Ispalkomie”, oddelegowanie do zakładów pracy („Pałatnjanij Zawod”). Wspomina, jak na rozkaz dowódcy roty demontowali nocą słupy elektryczne, użyte później do budowy umywalni w koszarach. Od października 44 r. do czasu wyjazdu do pracy w lesie był włączony do plutonu narciarzy, których instruktorem był dr M. Pimpicki. Z plutonu miano wyłonić reprezentację pułku w zawodach narciarskich.

Do pracy w lesie przybył 24.12.44 r. Był w IV batalionie na 37 km, koło miejscowości Średniakowo. Początkowo pracował przy wycinie lasu, ładunku drewna, a następnie jako „piła-tocz” (ostrzenie pił) i w końcu jako mechanik obsługujący agregat do oświetlania. Agregat prądowórczy obsługiwał z kolegą Z. Christą (ps. „Mamut”). W marcu 1945 r. dostał obustronnego zapalenia płuc i dostał się do szpitala w Jegoriewsku. 13 lipca 45 r. został zwolniony na urlop zdrowotny do Wilna. W sierpniu został tu zatrzymany przez KGB, na ul. Piłsudskiego. Stał uciekł do Polski.

Zdzisław Christa – ur. 25.04.1925 r. w Lidzie, żołnierz 3 Brygady „Szczerbca”, ps. „Mamut”

Do obozu w Miednikach zgłosił się sam, ponieważ uznał to za lepsze rozwiązanie niż pozostanie w Wilnie,

gdzie los polskich partyzantów był niepewny. Podczas rewizji przed wyjazdem nie udało mu się niczego „nielegalnego” zachować. Jako datę załadowania do wagonów w Kienie podaje 4.08.44 r. Liczbę wagonów w transporcie określa na około 30. Warunki przewozu do Rosji: dotkliwy brak wody, bardzo ograniczone wyżywienie, brak możliwości załatwiania potrzeb fizjologicznych. W ostateczności dokonywano tego przez wysoko umieszczone okienko wagonu. Jak słyszał, w trakcie takiego „załatwiania się” w okolicach Wiaźmy został zastrzelony przez konwojenta jeden z naszych chłopców. Dokładnej daty przybycia do Kaługi nie pamięta. W czasie ewidencji podał się za Zdzisława Mamuta i pod takim nazwiskiem tam figurował. Został przydzielony do batalionu ckm-ów, do drugiej kompanii. Pluton liczył 50 żołnierzy, w kompanii były trzy plutony. Ilości batalionów nie pamięta, ale prawdopodobnie było ich 4. Jego batalion umieszczono w nowych koszarach („białych”), tj. po dawnych garażach. Szkolenie wojskowe obejmowało poza musztrą naukę o broni, szermierkę i zajęcia polityczne. Po pewnym czasie uczono w kompaniach rotę przysięgi wojskowej. Chłopcy pytali, ile razy przysięga żołnierz. Powiedziano im, że jeden raz, a więc już taką przysięgę złożyliśmy – odpowiadali nasi. I w ten sposób nie doszło do jej złożenia. Rozpoczął się okres różnych prac, jak noszenie cegieł, odbudowa pomieszczeń „Wojenkamatu”, prace w fabryce papieru koło Kaługi. Wreszcie wyjazd do prac leśnych. Zdzisław wyjechał w drugim rzucie, tj. 24.12.44 r., do IV batalionu koło miejscowości Średniakowo. W pierwszym okresie, tak jak większość naszych chłopców, był zatrudniony przy wyrębie lasu. Po wykonaniu instalacji elektrycznej w ziemiankach obsługiwał agregat prądotwórczy. Następnie został odkomenderowany do pracy w cywilnej firmie w Średniakach jako mechanik samochodowy. Warunki bytowania były bardzo prymitywne – brak jakiegokolwiek pościeli, niewystarczające jedzenie, pluskwy i pchły, zaziębienia, świerzb i wypadki w pracy. Jego partner od piły, Heniek Surowiak, wskazując do jadącego pociągu stracił nogę. Niektórzy podejmowali próby ucieczki. W przypadku złapania groziły wieloletnie wyroki obozu pracy. Zdarzył się i gorszy przypadek. Kiedy złapano naszego chłopca (ps. „Ogórek”), został zastrzelony przez d-cę I kompanii (sowieckiego oficera) na oczach zebranego w tym czasie przed koncertem prawie całego batalionu.

W połowie grudnia 1945 r. nastąpił wyjazd z lasu, przez Moskwę do Kirowa, gdzie Zdzisław wraz ze Zbyskiem Daszkiewiczem obsługiwali lokomobilę wytwarzającą prąd oraz pompę do wody i z tego powodu jako jedyni przyjechali do Polski z nieobciętymi włosami na głowie. Wyjazd z Kirowa nastąpił 4.01.45 r. W końcu była Biała Podlaska, gdzie wystawiano zaświadczenia Urzędu Bezpieczeństwa. Ludność Białej Podlaski zgotowała wspaniałe przyjęcie, dzieląc się, „czym chata bogata”!

Jerzy Jan Ossowski – ur. 20.04.1922 w Wilejce, żołnierz 3 Brygady „Szczerbca”, ps. „Osa” Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny herbu „Dołęga”, dokumentu-jące się od XVII w.

W 1939 r. był uczniem II klasy Liceum im. H.Sienkiewicza w Wilejce. Egzamin maturalny złożył w 1941 r. już w sowieckiej 10-latce. Działalność konspiracyjną rozpoczął w 1939 r. jako harcerz Kresowej Drużyny Żeglarskiej. Od listopada 1943 r. był żołnierzem 3 Brygady „Szczerbca”. Przed operacją „Ostra Brama” został dowódcą drużyny saperskiej, a po tej operacji dowódcą plutonu ckm. 18 lipca 44 r. został aresztowany. Trafił do obozu w Miednikach, a stąd do Kaługi, gdzie został przydzielony do IV batalionu ckm. Po odmowie złożenia sowieckiej przysięgi wywieziono go do prac leśnych w IV roboczym batalionie. Do kraju wrócił w styczniu 1946 r. W 1950 r. ukończył studia a Akademii Handlowej w Szczecinie. Tam też pracował jako rewident w Związku Spółdzielczości Pracy. Jeden z najaktywniejszych działaczy w środowisku byłych żołnierzy AK, ostatnio prezes Okręgu ŚZZAK w Szczecinie.

Jan Budzicz – ur. 20.02.1926 r. w Gończarach, pow. Baranowicze, woj. nowogródzkie. W Kałudze wcielono nas do 361 zapasowego pułku piechoty Armii Sowieckiej, traktując nas jako obywateli Białoruskiej Republiki. Po krótkim szkoleniu zażądano złożenia przysięgi na wierność ZSRS – po odmowie wszystkich żołnierzy AK zostaliśmy wywiezieni do lasów pod Moskwą do ciężkiej, niewolniczej pracy przy wyrębie lasów. Mieszkaliśmy w ziemiankach wykonanych przez nas samych, a do czasu ich zbudowania spaliliśmy w szałasach z gałęzi świerkowych.

Wyżywienie było głodowe. Chleb był z reguły mokry i ciężki jak glina. Po posiłkach byliśmy głodni, później nasze zasadnicze posiłki uzupełnialiśmy kupowanymi lub kradzionymi z pól ziemniakami. Praca trwała od świtu do nocy, szczególnie dla niewykonyjących norm pracy, która z początkowej 4 m3 na piłę (2 osoby)

wzrosła do ponad 10 m3. Ja należałem do słabych fizycznie i często z pracy wracałem późno (ok. 20-tej), to zależało od nadzorującego sierżanta (podoficera) sowieckiego. Jeszcze cięższą pracą był załadunek wagonów. Grupa ośmioosobowa ładowała duże pulmanowskie wagony, ładowano dwumetrowe kłocę przy nieraz bardzo wysokim położeniu wagonu. Pamiętam taki ciężki załadunek w nocy z 24 na 25 grudnia, kiedy trwał on wiele godzin, tylko sowieccy sierżanci zmieniali się, a my bez posiłków, napoju musieliśmy pracować. W następnym dniu, 26 grudnia, zachorowałem, miałem biegunkę i wysoką temperaturę, nadzorujący sierżant Kirpota (Tatar) zmuszał mnie do wyjścia do pracy, kiedy odmówiłem, zgłosił d-cy batalionu mjrowi Bułhakowi, który kategorycznie rozkazał iść do pracy.

Latem 1945 r. nasiliły się masowe ucieczki, mój partner od piły namawiał mnie do podjęcia takiego kroku. Byłem jednak bardzo osłabiony i wiedziałem, że nie sprostam takiemu wysiłkowi. On uciekł w połowie sierpnia 1945 r., do dzisiaj nie wiem, z jakim rezultatem. W styczniu 1946 r., po przemundurowaniu nas w angielskie sorty mundurowe, dowieziono nas do Terespoła, gdzie sowiecka eskorta przekazała nas polskiej bezpiece. W Białej Podlasce wydano nam odpowiednie zaświadczenia, otrzymałem je datowane 11 stycznia 1946 r. Rozjechaliśmy się po całym kraju. Ja trafiłem do Gdyni, gdzie zatrudniłem się w Straży Morskiej. Moja rodzina nadal mieszkała w Lidzie (na Białorusi).

Dnia 24.04.46 r. zostałem skierowany do służby wojskowej. Tutaj stałem się obiektem zainteresowania oficerów informacji, którzy przesłuchiwali mnie na okoliczność mojej działalności w AK, a następnie oskarżono mnie o współpracę z bliżej nie znaną mi organizacją niepodległościowo-kontrrewolucyjną pod nazwą „Zielona trawka”. Po zwolnieniu z wojska przez dłuższy jeszcze czas byłem przesłuchiwany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. W końcu po latach mogłem normalnie żyć, jak każdy obywatel. Powrót do kraju

Końcowy okres pobytu w lasach podmoskiewskich przedstawił w swoich wspomnieniach **Zygmunt Czernik**, ps. „Stefan”:45

Nastąpił trzeci ze wspomnianych okresów pobytu naszego w tym raj. Charakteryzuje się on dalszym rozluźnieniem, chociaż ciągle jeszcze obowiązuje dyscyplina, odbywają się apele, pracujemy w dalszym ciągu „na normę”, wyżywienie tak samo nędzne jak dotąd itd. Pozornie bez zmian, a jednak [...] „czuć powiew wolności”. Humory się poprawiły, ale wzrosła niecierpliwść czekania. Aż – późną jesienią, kiedy zaczynał już padać śnieg – wybuchło! Przed wieczornym „adbojem” zarządzili zbiórkę. Uszeregowali nas w ziemiance wzdłuż prycy i „kamandir” oświadczył, że następnego dnia – odmarsz do Sieriebriakowa – tam do wagonów i do Polski. Ale każdy musi złożyć pisemne oświadczenie [...]: „Ja – takoj to a takoj żelaju jechać w Polszu”. Kto chce zostać na stałe [...]nie składa żadnego oświadczenia. Termin składania i nieskładania – do „adboju”, to znaczy do godz. 9-tej.

Ogarniała nas niezmierna radość – nareszcie... A jednocześnie wielu wpadło w panikę: co robić? Dali nam zaledwie parę godzin czasu, a tu prawie nikt nie ma skrawka papieru, pisać po rosyjsku nie umie nikt, no może ze dwóch [...]. Normalnie kwitł handelek papierem listowym. Ci, którzy go mieli, bo im go przysłano z domu, cięli na kawałki wielkości dwóch dłoni i sprzedawali po ustalonej cenie. Taki arkusik to 10 rubli lub obiadowa porcja chleba. Teraz dopiero okazała się koleżeńska solidarność. Byli i tacy co mieli papier, cięli go na kawałki i rozdawali za darmo. Starczyło dla wszystkich. Znalazł się i chemiczny ołówek, bo tylko takim wolno było pisać. Ja i drugi kolega umiejący pisać po rosyjsku usiedliśmy przy czymś w rodzaju stolika, ustawiła się kolejka i do „adboja” wszyscy mieli oświadczenie gotowe. Oddaliśmy je „kamandirovi”. Wyraźnie widać było złość i zawód. Z całej rotacji liczącej stu ludzi tylko jeden zgłosił chęć pozostania, ale – chociaż urodzony w Wilnie – był to Rosjanin. Cała reszta, jak jeden mąż, zgłosiła chęć powrotu do Polski, chociaż wielu miało jeszcze rodziny na Wileńszczyźnie. Ale ogarnął wszystkich jeden przemożny impuls: jak najdalej od tej przeklętej ziemi! Każdy wolał jechać na ślepo, w nieznaną, byle tylko nie zostać w tym piekle, gdzie człowiek nie był człowiekiem. Był albo katem – oprawcą, albo ofiarą skazaną na beznadziejność.

Nazajutrz rano maszerujemy pełni najlepszej nadziei do tego Sieriebriakowa. Tam do nas dołączają ci,

którzy z różnych względów już tam przebywali, a potem na wagony! [...]. Nareszcie do tej wymarzonej, wyśnionej, wytęsknionej Polski! Jaką ją znajdziemy?– Nikt nie wie i nikt nie zaprzęta sobie tym głowy. Ważna jest ta jedna myśl: jedziemy!

W wielu wspomnieniach można znaleźć ciekawe opisy krótkiego pobytu w Moskwie, przez którą wieziono do następnego punktu postoju w Kirowie. Tu trzeba było spędzić drugie już Święta Bożego Narodzenia na wygnaniu. Były one już prawie radosne, bo mimo pewnej zwłoki wszyscy wierzyli w rychły powrót do normalnych warunków życia. Nastąpiło przemundurowanie w angielskie sorty i ostatni etap powrotu przez Brześć nad Bugiem – jako nowej stacji granicznej między Polską i ZSRR.

Zaraz po przekroczeniu polsko-sowieckiej granicy pociąg na chwilę się zatrzymał i tu opuściła nas sowiecka kadra. A tak się cieszyli, że pojedą z nami do Polski, która mimo ogromnych zniszczeń wojennych była uznawano jednak za obszar względnie ustabilizowany, o wyższym poziomie życia. Pierwszą polską stacją był Terespol. Ze wzruszeniem ujrzeliśmy polskich kolejarzy, stare przedwojenne, granatowe kolejarские rogatywki z małymi orzełkami. Wagony zostały otwarte przez polskich żołnierzy. Był to – jak się okazało – nowy konwój Służb Bezpieczeństwa. Rzuciliśmy się im na przywitanie. Zasypywaliśmy ich różnymi pytaniami, bo byliśmy ciekawi, co się dzieje w kraju. Przyjmowali to z pewną rezerwą, nie zdawaliśmy sobie bowiem sprawy, że oni pełnią „służbę”. I tak dotarliśmy do Białej Podlaski – był to dla nas pamiętny dzień 1 stycznia 1946 roku.

Nazajutrz kazano nam zgłosić się na posiłek do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego oraz do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego po zaświadczenia o zwolnieniu. Było nas parę tysięcy*, jednakowo umundurowanych. Nic więc dziwnego, że zwróciliśmy uwagę mieszkańców Białej Podlaski, którzy dowiedziawszy się, kim jesteśmy, spontanicznie organizowali nam pomoc – przede wszystkim wyżywienie i gościnę w prywatnych domach. Większość z nas musiała jednak nocować w wagonach. Do końca życia pozostaną niezapomniane te pierwsze chwile spędzone na polskiej ziemi, serdeczność mieszkańców Białej Podlaski, dzielących się wszystkim, co mieli.

Dniem szczególnym była niedziela 13 stycznia, kiedy wszyscy, w zwartych szeregach, z pieśnią na ustach udaliśmy się do kościoła. Półtora roku po pamiętnej mszy w Miednikach byliśmy znowu na mszy św. Ten chłodny, zimowy dzień był tak radosny i szczęśliwy i dla nas i dla nich jakby wybuchła nagła wiosna. Poczuliśmy, że rozpoczął się nowy etap w naszym życiu, chociaż większość nie знаła jeszcze miejsc pobytu swoich rodzin. Nieliczni tylko wiedzieli, gdzie szukać swoich. Wydawanie zaświadczeń i biletów kredytowych na przejazd do wskazywanego miejsca dokonywało się w błyskawicznym tempie. Władzom chodziło o rozładowanie tego dużego skupiska przeważnie młodych ludzi, których należało jak najszybciej rozproszyć po kraju.

Charakterystyczny ubiór, angielskie wojskowe płaszcze – to długo potem pozwalało nam się rozpoznawać. Już w Warszawie spotykaliśmy się bardzo często. Udzielaliśmy sobie wtedy nawzajem informacji, najczęściej o tym, gdzie można dostać coś do zjedzenia. Krążyliśmy od stołówki do stołówki i kiedy nie byliśmy już w stanie konsumować serwowanych smakowitych, gęstych zup, ukradkiem chowaliśmy do naszych toreb chleb, w obawie, że jutro może go nam zabraknąć. Był to swoisty „syndrom poobozowy”. Ludzie byli bardzo życzliwi, współczuto nam i cieszą się z naszego powrotu. Jedynie w Poznaniu jakby mniej interesowano się nami. Miasto nie było dotknięte większymi zniszczeniami, wyglądało prawie normalnie. Tu spotkałem grupę naszych z I batalionu. Byli nieco „podochoceni”. Pamiętam, że jeden z nich ślubował, tam w lesie, że jeżeli uda mu się wrócić do kraju, zostanie pełnym abstynentem. Pomyślałem nawet, że człowiek tak szybko zapomina o swoich przyrzeczeniach.

W końcu każdy z nas znalazł swoje miejsce w nowej rzeczywistości, obejmując na przykład opuszczone gospodarstwa na Ziemiach Odzyskanych. Większość, szczególnie młodszych, kontynuowała przerwana naukę. Wielu ukończyło studia wyższe, niektórzy poświęcili się pracy akademickiej. Dzisiaj trudno już prześledzić losy ludzi, którzy związani byli z tą kartą naszej historii. Wielu już nie żyje, a najmłodszy dożywa osiemdziesiątki. Niedługo więc zabraknie bezpośrednich świadków tamtych wydarzeń. Z tym większym poczuciem obowiązku podjąłem się tego opracowania, chociaż zdaję sobie sprawę z jego niedoskonałości.

Remigiusz Szczęsnowicz – ur. 02.01.1923 r. w Piotrkowie Trybunalskim, żołnierz I Brygady „Juranda” AK, ps. „Remwicz” Ojciec, uczestnik wojny 1920 r., ranny w bitwie pod Kijowem, był urzędnikiem skarbowym w Stołpcach, a od 1928 r. w Wilnie.

Remigiusz był uczniem Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie. W czasie okupacji kontynuuje naukę, do matury w III polskim gimnazjum. Od 1942 r. uczestniczy w działalności konspiracyjnej. Więziony przez litewską Saugumą, wywieziony do Niemiec, skąd w 1944 r. ucieka i trafia do I Brygady AK „Juranda”, bierze udział w ostatniej operacji pod Krawczunami (operacja „Ostra Brama”). Po rozbrojeniu dzieli losy większości żołnierzy AK Okręgu Wileńskiego: Miedniki – Kaługa – podmoskiewskie lasy. Po powrocie do kraju tworzą – z Henrykiem Czyżem, Bernardem Ładyszem, Leonem Janowiczem – Zespół Artystyczny Żołnierzy Repatriantów „Kaługa”, którego działalność była krótka. Wydane przez Wydział Kultury oficjalne zezwolenie zostało szybko cofnięte przez Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Pozostał jednak historyczny plakat zapowiadający tę imprezę, wyrosła z kulturalnej działalności naszych żołnierzy zesłanych do Kaługi.

Dalsze losy Remigiusza przebiegały jednak w powiązaniu z instytucjami zajmującymi się kulturą. A więc: praca w Wydz. Kultury St.RN Warszawy, ZAIKS, Dom Kultury na Targówku, dziennikarstwo w „Sztandarze Młodych”, a następnie w Agencji Informacyjnej API i Agencji Robotniczej; jako korespondent AR i Interpressu w Moskwie. Od 1983 r. na emeryturze.

Jego wspomnienia pt. Kaługa znaczy łagier zostały wydane w ramach Biblioteki Wileńskich Rozmaitości (Bydgoszcz 2002).

Posłowie

W czasie zbierania materiałów spotkałem się z głosami kwestionującymi określanie naszej jednostki jako jednostki wojskowej. Jednym z takich głosów jest list mego przyjaciela Janusza Bohdanowicza z Gdańska, który przytaczam w całości:

Gdańsk 1.02.2001 r.

Czołem.

List Twój z załącznikami otrzymałem. Dziękuję.

Janusz! Przesyłam Ci trochę materiałów do wykorzystania. Sam zdecyduj, czy będą potrzebne. Ponieważ coraz bardziej trudno mi z pisaniem i czytaniem, nie będę mógł nic więcej do tych papieruchów dodać. Posiadam jeszcze dużo zdjęć kolegów z różnych batalionów z lasu, ale nie wiem, czy to są ważne dokumenty.

Ja natomiast mam drobne zastrzeżenia co do koncepcji przedstawionej przez Ciebie w piśmie o tej całej sprawie. Mnie nie odpowiada obecnie koncepcja przedstawiania Kaługi tak jak obozów leśnych, w formule wojska, którego – jak odbieram – byliśmy żołnierzami. Ja nigdy nie czułem się obywatelem ZSRR, nigdy nie składałem przysięgi wojskowej wojsk ZSRR i dlatego bliższa dla mnie byłaby koncepcja demaskująca kłamstwa polityczne propagowane przez władze sowieckie jak i PRL-owskie. Faktycznie nigdy nie byliśmy armią sojuszniczą, ponieważ między ZSRR a Rzeczypospolitą Polską nie było w tamtym okresie żadnych stosunków dyplomatycznych. Według panującej wówczas opinii byli oni sojusznikami naszych sprzymierzeńców i tak powinno pozostać.

Cała otoczka naszej katorżniczej służby była i pozostanie tylko kłamstwem politycznym, z którym należałoby skończyć. Dlatego opisanie całej gehenny naszego pobytu na nieludzkiej ziemi wymaga opisanie tego z udokumentowaniem, ale jako pobytu karnego za ośmielenie się na działania dążące do niepodległego i niezależnego bytu Państwa Polskiego.

Wszystkie nazwy i określenia dotyczące nomenklatury wojskowej podawałbym w cudzysłowie. Janusz, Ty piszesz i Ty wybierasz, tak koncepcję jak i formę. Ja ośmieliłem się podać Ci tylko swoje zdanie. To opracowanie, którego kopię przesyłam, otrzymałem od kogoś, dzisiaj nie pamiętam od kogo. Powinno Tobie się przydać. Kiedyś Kolega z mojej Brygady próbował coś pisać o Kałudze, potem poważnie zachorował i nie wiem, czy coś z tego wyszło. Jeżeli chcesz z nim nawiązać kontakt, to podam jego adres. Wiem, że Kolega Żyndl z Łodzi również zbierał materiały o naszym pobycie w ZSRR. Może on coś mógłby

uzupełnić.

Z poważaniem i życzeniami sukcesu.

Załączniki:

Kserokopie fotografii szt. 5

Kserokopie szkiców dotyczące tego tematu szt. 5

Kserokopia opracowania nieznanego autora str. 18

To prawda, że większy czasokres naszego pobytu w Rosji przypadła na ciężką, katorżniczą pracę, nie różniącą się zasadniczo od warunków pracy w sowieckich łagrach. Podobnym nadużyciem, nie mieszczącym się w zasadach prawa międzynarodowego i zwykłej, zdrowej logiki było traktowanie mieszkańców dawnych Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej jako obywateli sowieckich. Narzucona nam forma jednostki wojskowej obcej nam ideologii – to jeden z chwytów systemu komunistycznego, rządzącego się swoistymi prawami, nie notowanymi w normalnym cywilizowanym świecie.

Patriotyczna postawa, odwaga i konsekwencja w podkreślaniu na każdym kroku naszej przynależności narodowej i państwowej zasługują wszakże na specjalne uznanie i pamięć historyczną. Stąd zamierzeniem autora było jak najrzetelniesze przedstawienie tego epizodu historii wileńskiej i nowogródzkiej Armii Krajowej i dlatego autor nie mógł pominąć tych realiów, które świadczą o tym, że sowieci traktowali nas jako jednostkę wojskową. Jak inaczej wytłumaczyć to, że od chwili przywiezienia nas do Kaługi zostaliśmy wtłoczeni w strukturę wojskową pułku, z obsadą sowieckiej kadry oficerskiej i podoficerskiej, która opuściła nas dopiero w drodze powrotnej, na granicy w Terespolu, że zmuszano nas do zachowania takich zewnętrznych atrybutów sowieckiego wojska, jak: umundurowanie, gwiazdki na nakryciach głowy, naramienniki, musztra wojskowa itp., że obowiązywała nas III kategoria norm żywienia (wojsk poza frontem), że umożliwiano nam korespondencję pocztą polową (nr 36990), a w szczególnych przypadkach mogliśmy korzystać ze szpitala wojskowego.

Te atrybuty nie przysługiwały przecież obozom pracy przymusowej. Aby zachować pełną prawdę, nie możemy więc zmieniać kwalifikacji naszego statusu, chociaż nie znamy powodów, dla których w ten sposób nas potraktowano. Być może kiedyś poznamy całą prawdę, o ile taka dokumentacja pozostała w archiwach sowieckich. Podkreślić wypada, że szczegółowy przegląd zasobu Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie nie wykazał naszej jednostki w wykazie obozów jenieckich, internowanych, batalionów roboczych i innych zesłań przymusowych Polaków – w odróżnieniu od obozu internowania polskich oficerów Armii Krajowej w Riazaniu, który w tym wykazie znajduje swoje miejsce. Jedynym dokumentem w tych zasobach, bezpośrednio związanym z omawianym problemem, jest Sprawozdanie operacyjne 86 pułku pogr. na tyłach 3 Frontu Białoruskiego, zwalczającego podziemie w rej. Wilna w okresie od 17-26.07.1944 r.

Używanie wobec nas określenia „żołnierze” nie jest naruszeniem prawdy. Nasz los wynikał z decyzji podjęcia walki zbrojnej z niemieckim okupantem. Żołnierzami polskimi byliśmy do końca, nawet w czasie przymusowej pracy w lesie. Dlatego na okładce książki – na tle mapki z Kaługą i obszarem naszej niewolniczej pracy – zamieściłem polskiego żołnierskiego orzełka, ale i pięcioramienną sowiecką gwiazdkę jako symbol zniewolenia i narzucenia nam obcej przemocy. Uważam, że ta z całą pewnością mniej znana karta dziejów II wojny światowej powinna być na stałe wpisana w historię wojska polskiego.

44 W.Walukiewicz, List do Okręgu Wileńskiego ŚZŻAK, „Pamiętnik Okręgu Wileńskiego AK”, Bydgoszcz 2000, nr 13.

45 Z.Czernik, Widać koniec ..., „Wiano. Trybuna Akowców Wileńskich”, Wilno – Łódź 2000, nr 6.

* W Archiwum Państwowym w Lublinie w zespole akt P.R.U. (sygn. 142) pod poz. nr 3 wymieniony jest transport z Kaługi, liczący 2.900 repatriantów, przybyłych 11.01.1946 r. do Białej Podlaski.

Dr Dariusz Rogut podaje liczbę 3.119 żołnierzy AK przybyłych w styczniu 1946 r. do Białej Podlaskiej – w artykule Polsko-sowieckie rozmowy dyplomatyczne w sprawie zwalniania z obozów Polaków i obywateli polskich z Wileńszczyzny (1945-1948) [w:] Polska i jej wschodni sąsiedzi w XX wieku. Studia i materiały ofiarowane prof. dr. hab. Michałowi Gnatowskiemu w 70-lecie urodzin, pod red. nauk. H. Konopki i D. Boćkowskiego, Białystok 2004, s. 438.

* Zdjęcia na str. 205-206 ze zbiorów J. Bohdanowicza.

Bibliografia

- Bohdanowicz J., Brygada „Wilhelma”. Oddziały partyzanckie „Żuka” i „Gozdawy”, Gdańsk 1998.
- Borodziejewicz W., Szósta Wileńska Brygada AK, Warszawa 1992.
- Czarnecki W., Kresowe losy, Bydgoszcz 1995. TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Biblioteka Wileńskich Rozmaitości, Seria A, nr 9.
- Czernik Z., Widać koniec ... [w:] „Wiano. Trybuna Akowców Wileńskich” 2000, nr 6.
- Czernik Z., Powrót ... [w:] „Wiano. Trybuna Akowców Wileńskich” 2000, nr 7.
- Fechner M.W., Kaługa, Moskwa 1971 (w jęz. ros.).
- Ginko T., Wspomnienia z Kaługi 1944-1946, TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1993. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości T.3.
- Grunt-Mejer Z., Hoppen-Zawadzka J., Iwanowski L., Kłosiński Z., Szostak H., Koniec epopei, TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1996. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości. Seria B, nr 7.
- Hrybacz J., Ucieczka z podmoskiewskich lasów Mieczysława Turka „Kmiecia” z ORKO, [w:] „Wileński Przekaz” 1992, nr 5, Wydawnictwo Okręgu Wileńskiego – Środowisko ŚZZAK w Gdańsku.
- Hrybacz J., List na korze brzozy do matki [w:] Zesłanie na Sybir. Praca zespołowa: J.O.Ostrowska i in. Komisja Historyczna Związku Sybiraków Oddziału Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 1999.
- Iwanowski W., Wilno, Ojczyzna moja Wspomnienia, Wyd. Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 1994.
- Jankowski Z., Wspomnienia z 2 Wileńskiej Brygady AK oraz z Kaługi. TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1998.
- Jurginis J., Medininku Pilis (Zamek Miednicki), Vilnius Mintis, Wilno 1984 (w jęz. lit.).
- Karyszkowski J., Z wilna do Kaługi, i jeszcze dalej..., Biblioteka Wileńskich Rozmaitości, Bydgoszcz 2004.
- Kiałka Stanisław. Legenda wileńskiej konspiracji. Materiały biograficzne i pisma wybrane. Red. L.J.Malinowski, TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2000. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości. Seria B, nr 30.
- Kłosiński Z., Pierwsza udana ucieczka z obozu w Kałudze [w:] „Pamiętnik Okręgu Wileńskiego AK”. Wyd. Komisja Historyczna Okręgu Wileńskiego AK ŚZZAK, Bydgoszcz – Warszawa 1998, nr 3.
- Krauze K., Ostatni raport [w:] „Wileński Przekaz” 1997, nr 14. Wydawnictwo Okręgu Wileńskiego – Środowisko ŚZZAK w Gdańsku.
- Malinin D.I., Kaługa. Rys historyczny, Kaługa 1992 (w jęz. ros.).
- Morozowa G.M., Kaługa. Przechadzki po starej Kałudze, Kaługa 1993 (w jęz. ros.).
- Niwiński R., Okręg Wileński AK w latach 1944-1948, Volumen, Warszawa 1999.
- Rogut D., Polsko-sowieckie rozmowy dyplomatyczne w sprawie zwalniania z obozów Polaków i obywateli polskich z Wileńszczyzny (1945-1948) [w:] Polska i jej wschodni sąsiedzi w XX wieku. Studia i materiały ofiarowane prof. dr. hab. Michałowi Gnatowskiemu w 70-lecie urodzin, pod red. nauk. H. Konopki i D. Boćkowskiego, Białystok 2004.
- Siedlecki J., Losy Polaków w ZSRR w latach 1939-1986, Gryf Public., Londyn 1990.
- Szczęsnowicz R. „Remwicz”, Kaługa znaczy łagier. Wspomnienia żołnierza I Brygady AK. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości, Bydgoszcz 2002.
- Szostak H., Ucieczka z lesozagatowki [w:] Grunt-Mejer Z., Hoppen-Zawadzka J., Iwanowski L., Kłosiński Z., Szostak H., Koniec epopei, TMWiZW – Oddział w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1996. Biblioteka Wileńskich Rozmaitości. Seria B, nr 7.
- Tomaszewski L., Wileńszczyzna lat wojny i okupacji 1939-1945, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1999.
- Walukiewicz W., List do Okręgu Wileńskiego ŚZZAK, [w:] „Pamiętnik Okręgu Wileńskiego AK”, Bydgoszcz 2000, nr 13.

Wołkonowski J., Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej Armii Krajowej w latach 1939-1945, Warszawa 1996.

Wołkowicz W., Leśne ścieżki, Wyd. Mał-Rys, Opole 1996.

Indeks nazwisk i pseudonimów

Abaszkin, sow. st. sierż. 82, 152
Abec Bolesław 132
„Abisynka” NN. 92
Ada zob. Banaszewska Ada
Adamkowiczówna Wanda 92
Agnieszka NN. 93
Aletwimowicz Albin 142
„Ali” zob. Dunowski Tadeusz
„Alina” zob. Roszczewska-Nowaczyk Irena (Rogiecka)
Anders Władysław, gen. 149
Andruszkiewicz Edward ps. „Los” 183
Andruszkiewicz Leon ps. „Pilot” 157
Angiełow, mł. lej. 7, 81
„Anglik” zob. Iwanowski Józef
Antonow 58, 59
Arigazi-Abdul-Azis, sułtan 70
Ażubajew, sow. sierż. 82
Babiński Czesław 180, 181
„Baca” zob. Ładysz Bernard
Baliński Michał 63
Bałucki Michał 48
Banaszewska Ada 87, 92
Baniukiewicz 64
Baranowski Jan 162
Barborowicz ps. „Baśka” 166
„Basia” zob. Rokicka-Jurałowicz Stanisława
„Baśka” zob. Barborowicz
Beria Ławrentiew 55, 57, 58, 59, 60, 61
Berling Zygmunt, gen. LWP 7, 14, 15, 46, 60, 63, 76, 87, 100, 146, 159, 174
Białożył Czesław 64
Białożył Henryk 64
Białożył Stanisław ps. „Brom” 14, 64
Bielkin-Gładyszew, sow. gen. 57
Bieńko Stanisław ps. „Cyganko” 96, 97, 107, 182
Biernacka Zofia zob. Dąb-Biernacka Zofia
ps. „Ewa”
„Bil” zob. Koźlecki Zenon
Biłuński Zbigniew 160
Birn Leon 99, 100
Blumski Izydor, ppłk, ps. „Strychański” 10
Boćkowski D. 203, 214
„Bohdan” zob. Gorski Stanisław
Bohdanowicz Janusz ps. „Czortek” 86, 105, 186, 187, 189, 197, 205, 211, 214
Bołotnikow Iwan 70
„Bończa” zob. Mieczkowski Tadeusz
Borodziejewicz Wincenty 95, 214
Borucki Bolesław 206
Borysewicz Jan ps. „Kryśia” 157, 160, 183
Brajlecki Mieczysław 142

„Brom” zob. Białożyt Stanisław
Branicki Franciszek Ksawery, hetman polny 70
Brzozowski 163
Brzozowski Jan, lekarz 83
Buchowski Bogdan, student med. 83
Budrewicz Czesław, ppor., ps. „Topór” 77, 78, 83
Budzicz Jan 200
Bukowski Czesław ps. „Gustaw” 129, 145, 154
Bułhakow, sow. kpt. 80, 97, 107, 200
Bunieszewicz Józef 142
Buryń, sow. st. sierż. 43, 81
Burzyński Antoni ps. „Kmicic” 96
Buszkowski 142
Buszyński 40
Butkiewicz 40
Bystrzanowski 40
Cejkówna-Kiałka Wanda 91
Cetys Teodor, mjr, ps. „Szczerbicz”, „Wiking”, „Sław”, „Sławek” 55
Cholewina-Rykowska Zofia zob. Rykowska-Cholewina Zofia
Chadzyński S. 64
Chain (Tatar), sow. starszyna 81
Chmielewski (komik) 43
Chmielewski Henryk 95
Christa Zdzisław ps. „Mamut” 193, 194, 195
Cichocki 40
Cieszyński ps. „Rombel” 177
Cioroch Grzegorz 71
„Cyganka” NN. 92
„Cyganko” zob. Bieńko Stanisław
„Cywa” zob. Cywiński Czesław
Cywiński Czesław „Cywa” 43, 189, 190
Czapliński 148
Czapski, hrabia 165
Czarnecki Witold ps. „Kadet” 74, 95, 96, 105, 190, 214
Czechow Antoni 44
„Czeczkin” zob. Klepacki Franciszek
Czernalewski Konstanty, sow. sierż. 142
Czerniachowski Iwan, sow. gen. 10, 58, 59, 60, 73, 193
Czernik Zygmunt ps. „Stefan” 202, 214
Czerwiński Jan ps. „Żuk” 105, 214
„Czortek” zob. Bohdanowicz Janusz
„Czupczyk” zob. Kaczanowski Kajetan
Czyż Franciszek 160
Czyż Henryk 43, 114, 207
Dajnowski 40, 127
„Dal” zob. Hotówko Piotr
Damian św. 71
„Dan” zob. Kłosiński Zygmunt
Danilenko, sow. mjr 80, 150
Danilewicz 142
Danilewicz Andrzej 142
Daszkiewicz Zbigniew 195
„Dąb” zob. Rostkowski Mieczysław
Dąb-Biernacka Zofia ps. „Ewa” 90
Dembowski 40

Dębicki Czesław, mjr, ps. „Jarema” 11
 Dęmska Anna 92
 Dobrochotow 70
 Dobrogost Władysław 38, 40, 43, 127
 Dobrowolski 148
 Dobrucki, sow. starszyna 81
 Dolata Stanisław 123, 126, 141
 Dolińska zob. Poraj-Dolińska
 Dordzik 47, 142
 Druchowski 148
 Dunowski Tadeusz ps. „Ali” 99
 Dymitr Samozwaniec II 70
 Dziedziewicz 40, 125, 127, 141
 Dziekciarewicz Henryk 205
 Dziekciarewicz Waclaw 197, 205
 Dzikiewicz 64
 Dżoga S. 160
 „Edmund” zob. Szostak Henryk
 „Ewa” zob. Dąb-Biernacka Zofia
 „Ewa” zob. Rykowska-Cholewina Zofia
 Fechner M.W. 70, 214
 Fedorowicz Zdzisław ps. „Hubert” 111
 Fróg Gracjan ps. „Szczerbiec” 91, 101, 143, 184, 188, 193, 194, 198
 Frunze Michaił 55
 Gawrygin, lej. 7, 80
 Gerbert-Błażejowski Zygmunt, rtm., ps. „Grom” 17, 146, 167
 Gierasimczuk 40
 „Gil” zob. Gilicki Waclaw
 Gilicki Waclaw ps. „Gil” 43, 48, 118, 188, 189
 Ginko Tadeusz, lekarz, ps. „Jan” 32, 77, 78, 79, 83, 85, 87, 88, 108, 110, 118, 119, 144, 181, 214
 Girej Szagin, chan 70
 Giza 97
 „Gizel” zob. Gizelewski Aleksander
 Gizelewski Aleksander „Gizel” 43, 189
 Gładyszew zob. Bielkin-Gładyszew
 Głaskow, sow. mł. sierż. 160
 Gnatowski Michał 203, 214
 Golda Stanisław ps. „Żak” 191, 192
 Gorski Stanisław, ppor., ps. „Bohdan” 66, 68
 Gotowiecki 40
 „Gozdawa” zob. Rożałowski Jerzy
 Grażul Feliks 162
 Griniewscy 71
 Griniewski Lew zob. Gryniewski Lew
 „Grom” zob. Gerbert-Błażejowski Zygmunt
 Grombczewski Czesław ps. „Jurand” 91, 92, 160, 196, 207
 Grunt-Mejer Zygmunt 103, 214
 Gryniewski Lew, architekt 71
 „Grzmot” zob. Roguski Zbigniew
 Grzywacz Hanka zob. Szyszko-Grzywacz Hanka
 Gusiew, sow. st. lej. 78, 79, 80
 „Gustaw” zob. Bukowski Czesław
 „Gwóźdź” zob. Stanulewicz Józef
 „Hajduczek” NN. 91
 „Halina” NN., pielęgniarka 88, 92

Hawryłkiewicz Sylwia (sąsiadka rodziny Hrybaczków) 43 167, 168
 Hiller prof. 108
 Hitler Adolf 38, 76, 178
 Hoppen-Zawadzka Jadwiga 103, 214
 Hotówko Piotr, pchor., ps. „Dal” 151
 Hrybacz Jan (ojciec Janusza i Jerzego) 16, 17, 41
 Hrybacz Janusz ps. „Zawisza” 21, 33, 40, 48, 49, 63, 103, 126, 141, 188, 189, 190, 209, 210, 211, 212, 214
 Hrybacz Jerzy ps. „Mur” 10, 35, 41, 43, 48, 98
 Hrybacz Zofia (matka Janusza i Jerzego) 15, 17, 37, 43, 48, 98, 188, 214
 „Hubert” zob. Fedorowicz Zdzisław
 „Huzar” zob. Kłosiński Zygmunt
 Ignasz NN. 88, 91
 „Irys” zob. Klepacki Franciszek
 Iwan III Groźny, car ros. 70
 Iwanowicz 40
 Iwanowski Józef ps. „Anglik” 133, 134
 Iwanowski Lech 103, 214
 Iwanowski Wiktor ps. „Szpak” 79, 80, 84, 96, 97, 98, 104, 107, 111, 112, 115, 116, 170, 182, 214
 Iwanowski Witold (brat Wiktora) 104, 111, 181
 Iwaszkiewicz Eugeniusz 162
 Iza NN. 93
 Jagiełło Władysław, król 63
 Jabłuszewski Henryk ps. „Pirat” 186, 187
 „Jan” zob. Ginko Tadeusz
 Jankowski Zenon 112, 114, 162, 214
 Janowicz A. 162
 Janowicz Leon 207
 „Jarema” zob. Dębicki Czesław
 „Jasny” NN. 103
 Jastrzębscy 71
 Jaszczur Bolesław 142
 Jaworowscy 71
 „Jedyna” zob. Kaczanowska-Kujawa Teresa
 Jeleński J. 169
 „Jelonek” zob. Kiałka Stanisław
 Jenz Jerzy ps. „Krepdeszyn” 56
 Jergilewicz 142
 Jermakow, sow. st.sierż. 81
 Jermołow, sow. ppłk 19, 24, 75, 77, 149
 Jerzy św. 71
 Jodko-Narkiewicz M. 162
 „Jurand” zob. Grombaczewski Czesław
 Jurałowicz Stanisława zob. Rokicka-Jurałowicz Stanisława
 Jurginis Juozas 63, 214
 Kaczanowska-Kujawa Teresa ps. „Jedyna” 91
 Kaczanowski Kajetan, sanitariusz, ps. „Czupczyk” 83, 85
 „Kadet” zob. Czarnecki Witold
 „Kalina” NN. 92
 Kalinowska Barbara (siostra Sabiny) 91
 Kalinowska-Korejwo Sabina ps. „Sabina” 88, 89, 91
 Kapronow, płk 57
 Karczewski Zbigniew 40, 127
 Karwatówna Barbara 93
 Karyszkowski Jan ps. „Szkwał” 7, 79, 80, 184, 185, 214
 Kasałapowa, st. lej., lekarka 80, 84, 163

Kasperowicz Zygmunt ps. „Kędzierzawy” 176, 177
Kasplicki zob. Krzyżanowski Aleksander
Kazewicz 160, 161
Kazia 44
Kazimierz św. 13
„Kaźka” zob. Żejmo-Paradowska Kazimiera
„Kędzierzawy” zob. Kasperowicz Zygmunt
Kiałka Stanisław, ppor., ps. „Jelonek” 99, 214
Kiałka Wanda zob. Cejkówna-Kiałka Wanda
Kiewlicz Witold ps. „Wujek” 66
Kilian 40
Kinzigułow, sow. sierż. 82, 97, 177
Kirpota (Tatar) 200
Klepacki Antoni 162
Klepacki Franciszek (komik „Czeczkin”) ps. „Irys” 114, 160, 161, 166
Kłosiński Zygmunt ps. „Huzar”, „Dan” 13, 99, 100, 103, 214
„Kmicic” zob. Burzyński Antoni
„Kmieć” zob. Turek Mieczysław
Kobylańska Zofia 68
Komar Zygmunt ps. „Żuraw” 64
„Kometa” zob. Mozgiel Zygmunt
„Konar” 99
Koncewiczowie 71
Kondratowicz Bolesław 40, 125, 127, 141, 142
Kononowicz Ryszard 158
Konopka H. 203, 204
Kopczuk (Ukrainiec), sow. sierż. 82, 137, 138
„Korba” zob. Smyk
Korejwo Marian ps. „Milimetr” 91
Korejwo Sabina zob. Kalinowska-Korejwo Sabina
Korzeniowski 142
Kosma św. 71
Kosowicz Kazimierz ps. „Kusy” 99, 100
Kossakowscy 71
Kostanowski 40, 43, 141
Kościuszko Tadeusz 10
„Kozaczek” NN. 91
Kozakiewicz, student medycyny 64, 108
„Kozioł” zob. Kozłowski Kazimierz
Kozłowski 40
Kozłowski Kazimierz ps. „Kozioł” 97, 171, 174, 179
Kozłowski Zenon ps. „Bil” 114
Krasowski A. 162
Krauze-Wawrzecki Kazimierz 83, 214
„Krepdeszyn” zob. Jensz Jerzy
„Kruk” zob. Szulżycki Henryk
Krych 123
Krynicky 40
„Krysia” zob. Borysewicz Jan
Krysin, lej. 7, 81
Krzyszowski Lubosław, ppłk, ps. „Ludwik” 59
Krzyszowska Jadwiga (ciocia Jadzia) 48
Krzywiec 40
Krzywna 43
Krzyżanowski Aleksander, płk, ps. „Wilk” 10, 15, 55, 56, 57, 58, 67, 87, 174

Kudrin, sow. lej. 45, 81
Kujawa Teresa zob. Kaczanowska-Kujawa Teresa
Kulczycki zob. Krzyżanowski Aleksander
Kulesza 160
Kurek Mikołaj 40, 44, 123, 125, 127
Kuryłowicz Witold ps. „Lord” 160
„Kusy” zob. Kosowicz Kazimierz
„Kwiat” zob. Matyjaszkojć Stanisław
Kwieciński Marian 196
Lala NN. 93
Laskowski Antoni (Tosiek) 13, 43, 44, 46, 160, 167, 168, 169
Leśkiewicz Tadeusz 40, 126, 127
Leśków 40, 123, 125
Lewicki Anatol 70
„Lin” zob. Mineyko Zygmunt
Lipiński Tymoteusz 63
Lizatowicz 64
„Lord” zob. Kuryłowicz Witold
„Los” zob. Andruszkiewicz Edward
Lubin, sow. gen. mjr NKWD 53
„Ludwik” zob. Krzeszowski Lubosław
Łabuński 40
Ładysz Bernard ps. „Baca” 43, 114, 147, 207
Łamanow, sow. sierż. 82, 177, 178
Łapczyński W. 188
„Ławryn” zob. Ławrynowicz
Ławrynowicz „Ławryn” 43, 189
Łukomscy 71
Łunaczarski A.W. 70
„Łupaszka” zob. Szendzielarz Zygmunt
Maciulewicz Józef 142
Mackiewiczowie 71
Macutkiewicz Stanisław 145
„Madelon” zob. Pałubińska Bronisława
Makarewicz Stanisław 40, 125, 141, 142
Makowiecki 40
Maksymilian I Habsburg, cesarz 63
Malewski 40, 142
Malinin Dmitrij Iwanowicz 70, 214
Malinowski L.J. 99, 214
Malinowski M. 63
Małachowski Edward 161
„Mamut” zob. Christa Zdzisław
Mańkowski Jan, lekarz 83, 181
Markiewicz 40
Markowna Maria, sow. st. lej., lekarka 81, 84
„Marny” zob. Stocki Bolesław
Maruszevska Barbara 92
Maruszevska Krystyna (siostra Barbary) 92
Maruszevski Jerzy (brat Barbary) 92
Mascianica Józef 133
Matuszczak 40, 127
Matyjaszkojć Stanisław ps. „Kwiat” 142, 145
Mejer Zygmunt zob. Grunt-Mejer Zygmunt
Michajłow, sow. lej. 80, 81, 129

Michalkiewicz, bp wileński 16
Michał św. 16
Michniewicz Czesław 160, 161
Michniewicz Józef (starszy brat Czesława) 155
Michniewicz Wojciech 154
Michno 40, 44
Mickiewicz Adam 207
Mieczkowski Tadeusz ps. „Bończa” 98
Mierkułow, mł. lej. 81
Mikułko Anatol, oficer LWP 14
„Milimetr” zob. Korejwo Marian
Mineyko Zygmunt ps. „Petroniusz”, „Lin” 52, 62, 164
Mirsajtow, sow. sierż. 82, 129
Mniszchówna Maryna 70
Mołotow Wiaczesław 58, 59
Moroz Waclaw 162
Morozow, płk 57
Morozowa G.M. 70, 214
Mozgiel Zygmunt ps. „Kometa” 180, 181
Mrowelski Romuald 40, 125, 127
„Mruk” zob. Radzikowski Zbigniew
Mukin, lej. 81
„Mur” zob. Hrybacz Jerzy
Mustafa Subchi 70
Nagłowski A. 169
Nagłowski Luśka 169
Nagłowski Tadeusz 65, 66
„Namiętny” NN. 160
Narkiewicz M. zob. Jodko-Narkiewicz M.
Narkiewiczówna 92
„Nietoperz” zob. Walczak Adam
Niwiński R. 214
Nosewicz 158
Nosko 40, 43, 44, 142
Nowaczyk Irena zob. Roszczewska-Nowaczyk Irena
Nusia NN. 92
Odachowski 40
Ogonowicz Bernard 161
„Ogórek” zob. Złotkowski Józef
Oleszkiewicz 160
Olgierd, Wielki Książę Litewski 63, 70
Olinowicz 40
„Orda” zob. Sienkiewicz Romuald
Orzecka Zofia zob. Rykowska-Cholewina Zofia
„Orzeł” zob. Pimpicki Mieczysław
„Osa” zob. Ossowski Jerzy
„Osa” NN., lekarka 85
Ossowski Jerzy ps. „Osa” 198, 199
Ostaszewski 126
Ostrowska J.O. 214
Ostrowski 40
„Pajac” NN. 127
Pałubińska Bronisława ps. „Madelon” 92
„Pantera” zob. Wołkowicz Waldemar
Paradowska Kazimiera ps. „Kaźka” zob. Żejmo-Paradowska Kazimiera

Pażydajew, st. lej. 43, 80
 „Pączek” NN. 92
 „Petroniusz” zob. Mineyko Zygmunt
 Piasecki Sergiusz, pisarz 118
 Pieracki Władysław ps. „Pirat” 199
 Pietkiel Stanisław Stanisławowicz 83
 Pietkiewicz Zbigniew 189
 „Pilot” zob. Andruszkiewicz Leon
 Piłsudski Józef 193, 210
 Pimpicki Mieczysław, lekarz, ps. „Orzeł” 83, 88, 193
 Piontkowski Wacław 40, 126
 Piotrowska Janina 93
 Piotrowski 40, 126
 „Pipkin” zob. Witkowski
 „Pirat” zob. Jabłuszewski Henryk
 „Pirat” zob. Pieracki Władysław
 Piskunowicz Henryk dr 73
 Piwnik Jan ps. „Ponury” 158
 Pławgo Wiktor 43, 46, 160, 167, 168, 169
 Plejewski Czesław 66, 67
 „Poleszuk” zob. Szydłowski Adam
 „Poniatowski” zob. Sawala Henryk
 „Ponury” zob. Piwnik Jan
 Poraj-Dolińska 92
 Puciato Mieczysław 126
 Putrament Jerzy, oficer LWP 14
 Radzikowski Zbigniew ps. „Mruk” 99, 100
 Radziwinowicz 126, 141
 „Ragner” zob. Zajączkowski Czesław
 „Remwicz” zob. Szczęsnowicz Remigiusz
 Repnin, ambasador ros. w Warszawie 70
 Robson Paul, śpiewak 26
 Rodziewicz 142
 Rogiecka zob. Roszczewska-Nowaczyk Irena
 Roguski Zbigniew ps. „Grzmot” 84, 106, 109, 120, 149, 163
 Rogut Dariusz 203, 214
 Rokicka-Jurałowicz Stanisława ps. „Basia” 93
 „Rombel” zob. Cieszyński
 „Ronin” zob. Wojciechowski Longin
 Rostkowski Mieczysław ps. „Dąb” 104
 Roszczewska-Nowaczyk Irena (Rogiecka) ps. „Alina” 93
 Rożałowski Jerzy ps. „Gozdawa” 105, 214
 Różyńska Lusja 91, 92
 Rusak 160
 Rykowska-Cholewina Zofia (Orzecka) ps. „Zosia”, „Ewa” 90, 93
 Rymian Jan, lekarz 83, 88
 Rzewuski Seweryn, syn hetmana Wacława Rzewuskiego 70
 Rzewuski Wacław, hetman polny koronny 70
 „Sabina” zob. Kalinowska-Korejwo Sabina
 Sadawoj, starszyna 7, 81
 Sadowski Jerzy 210
 „Sarna” zob. Sarnecki Zenon
 Sarnecki Zenon ps. „Sarna” 193, 194
 Sas, sow. kpt. 38, 76, 80
 Sawala Henryk ps. „Poniatowski” 16, 115, 117, 139, 142, 143, 144

Sawala Stanisław (ojciec Henryka) 143, 144
 Siedlecki J. 214
 Siedmiogrodzki Antoni 159
 Sielewiorstow, sow. kpt. 76, 80, 152, 160
 Siemionow-Tokariew 10
 Sienkiewicz Henryk 118, 198
 Sienkiewicz Romuald ps. „Orda” 198, 199
 Sierow Aleksandrowicz Iwan, gen. NKGB 55, 57, 58, 59, 60, 73
 Sikorski Władysław, gen. 209, 210
 Silewicz 40
 Simeon, syn Iwana Groźnego 70
 Skoda, lej.politruk 79, 81
 Skorwid, poeta 40, 123, 127, 141
 „Sław” zob. Cetys Teodor
 „Sławek” zob. Cetys Teodor
 Sławiński Roman ps. „Szturlis” 99, 100
 Smagur 40
 Smyk (brat Ryszarda) ps. „Korba” 160, 169
 Smyk Ryszard ps. „Zawór” 160, 169
 Sołtyk Kajetan, bp krakowski 70
 Soroka, mjr LWP 14, 15, 63, 67, 174
 Sosinowski 165
 Sperski Aleksander ps. „Szary” 146, 148
 Stacewicz Bolesław 176
 Stalin Józef 55, 58, 59, 60, 61, 73, 79, 176
 Stankiewicz 160, 161
 Stanulewicz Józef ps. „Gwóźdź” 156
 Stasiuk 160, 169
 Stec Szczepan 95
 „Stefan” zob. Czernik Zygmunt
 Stochik 142
 Stocki Bolesław ps. „Marny” 97, 172, 173, 174, 175, 176, 177
 „Strychański” zob. Blumski Izidor
 Strykowski Maciej, historyk, poeta 63
 Subocz A. 162
 Suchow, sow. kpt. 52
 „Sulima” NN., pielęgniarka 88, 92
 Surow 132, 179
 Surowiak Henryk 195
 Sykuła Antoni Zdzisław 197
 Szaban 35
 Szabliński 40
 Szagin Girej zob. Girej Szagin
 „Szary” zob. Sperski Aleksander
 Szarycz Stanisław 197
 Szastin, lej. 89
 „Szczerbicz” zob. Cetys Teodor
 „Szczerbiec” zob. Fróg Gracjan
 Szcześnowicz Alicja 66
 Szcześnowicz Remigiusz ps. „Remwicz” 7, 65, 75, 76, 207, 214
 Szendzielarz Zygmunt ps. „Łupaszka” 62, 96
 „Szkwał” zob. Karyszkowski Jan
 Szniger 160
 Szostak Henryk ps. „Edmund” 103, 214
 „Szpak” zob. Iwanowski Wiktor

„Szturlis” zob. Sławiński Roman
 Szulżycki Henryk ps. „Kruk” 129, 131
 Szydłowski Adam, płk, ps. „Poleszuk” 59
 Szydłowski Jan 142
 Szymkiewicz Antoni 7
 Szys Franciszek 169
 Szyszko-Grzywacz Hanka 93
 Tamulewicz Stanisław 101
 Taraszewski 121
 Tokariew zob. Siemionow-Tokariew
 Tomaszewski Longin 55, 56, 214
 „Topór” zob. Budrewicz Czesław
 Truchlewski Franciszek 142
 Tupikowski Wilhelm ps. „Wilhelm” 105, 141, 180, 182, 197, 214
 Turek Mieczysław, plut., ps. „Kmieć” 100, 101, 103, 111, 214
 Tymiński Witold, sanitariusz 83, 88
 Urysow Apasłun, książę nogajski 70
 Uszko Juliusz 198, 199
 Usik 160
 Walczak Adam ps. „Nietoperz” 172, 174
 Walukiewicz Wacław 192, 214
 Wałęsa Lech, prezydent 90
 Warpachowicz 162
 Wasyl Ciemny, syn cara Iwana III 70
 Waszczuk Eugeniusz, lekarz 83
 Wawrzecki Kazimierz zob. Krauze-Wawrzecki Kazimierz
 Wićka NN. 104
 Wejksznia 142
 Werda 160
 Wierzbicki Jan 148
 Więcek 40
 „Wiking” zob. Cetys Teodor
 „Wiktor” 86
 „Wilhelm” zob. Tupikowski Wilhelm
 „Wilk” zob. Krzyżanowski Aleksander
 Wińka NN. 104, 111
 „Wiosenka” NN. 89, 91
 Wirszyło, aktor 40
 Witenes, ks. litewski 63
 Witkowski 40, 44, 142, 143
 Witkowski (komik II bat.) ps. „Pipkin” 114, 166
 Wojciechowski Longin ps. „Ronin” 137
 Wojciechowski Wiktor 180
 Woljeński G.A. 71
 Wołkonowski Jarosław 214
 Wołkow 40
 Wołkiewicz Waldemar ps. „Pantera” 214
 Wołójko Ryszard 160, 161
 Wotawa 40, 123, 127
 Wroński Stanisław 64
 Wróblewski Bronisław 147, 148
 Wróblewski Ryszard 162
 „Wujek” zob. Kiewlicz Witold
 Zacharow, sow. st. sierż. 160
 Zajączkowski Czesław ps. „Ranger” 90, 96

Załoski Józef, bp kijowski 70
Zawadzka Jadwiga zob. Hoppen-Zawadzka Jadwiga
„Zawisza” zob. Hrybacz Janusz
„Zawór” zob. Smyk Ryszard
Zdanowicz 40
Zdanowicz Wacław 181
Zieleńkowski 40
Zielonka 40
Zielonko Zygmunt 137, 138
Złotkowski Józef ps. „Ogórek” 192, 195
„Zosia” zob. Rykowska-Cholewina Zofia
„Zośka” NN. 93
„Zych” zob. Żogło Władysław
Zygmunt, poseł niemiecki 63
Zygmunt August, król 67, 184, 188, 189
Żabiński Jan 162
„Żak” zob. Golda Stanisław
„Żejmian” 62, 66, 67, 164
Żejmo-Paradowska Kazimiera ps. „Kaźka”, sanitariuszka 86, 92
Żogło Władysław ps. „Zych” 90
Żolnierowicz Stefan 7
„Żuk” zob. Czerwiński Jan
Żukowski 160
Żukowski Bronisław 182
„Żuraw” zob. Komar Zygmunt
Życinieć 127
Żyndul Robert 212

Numery stron w wersji drukowanej

Nową edycję Karty dziejów wileńskiej i nowogródzkiej Armii Krajowej dedykuję z okazji 750 rocznicy miastu Gorzów Wielkopolski – jako wyraz hołdu dla mojej drugiej Małej Ojczyzny, z którą od 60 lat wiążą się moje życiowe drogi (wiążą się moje losy?)